

ATENEUM.

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

ZBIORU OGÓLNEGO TOM XXIV.

ROK VI.

TOM IV.—ZESZYT I.

Październik,

WARSZAWA.
DRUKIEM K. KOWALEWSKIEGO,
ulica Królewska, Nr. 23.

1881.

SPIS RZECZY.

Druk ukończono 29 Września 1881 r.

BUDŻET MIASTA WARSZAWY

NA ROK 1881.

Wchodząc do mieszkania nieznajomego nam człowieka, z pierwszego już rzutu oka odbieramy pewne wrażenie, które upoważnia nas do robienia wniosków o charakterze właściciela. Możemy tam spotkać konfort i elegancyą połączoną z porządkiem, albo zbytkowne sprzęty w nieładzie i zaniedbaniu, możemy przy najskromniejszém umeblowaniu dostrzedz staranność o udogodnienie i uprzyjemnienie życia, albo téż pretensyonalne skupienie niektórych rzeczy w tych miejscach gdzie wchodzą goście, z niedbałością o to wszystko co służy do użytku codziennego. Nieraz, nawet przy zupełném ubóstwie uderzy nas czystość i ład w małéj ilości przedmiotów znajdujących się w izdebce. Obok więc środków materyalnych, jakiemi rozporządza każdy gospodarz, charakter jego, to jest pierwiastek natury czysto moralnéj, odbija się wyraźnie na wewnętrznym urządzeniu jego mieszkania.

Podobnego rodzaju różnice można dostrzedz i w prowadzeniu gospodarstw zbiorowych, w gminach i miastach:—i tutaj pierwiastek moralny musi téż odegrywać swą rolę. Jakoż podróżnicy zwykle wnioskują o stopniu cywilizacyi i uspołecznienia narodu z tego co widzą na ulicach miast, lub na co się napatrzą przejeżdżając po wioskach. Wnioski te jednak, bardzo ogólnikowéj natury, tylko warunkowo mogą służyć do oceniania porównawczego dwóch narodów, czy kilku miast lub okolic kraju: opierać na nich sądy stanowcze, potępiać lub chwalić bezwzględnie—byłoby krokiem zbyt śmiałym. Bo w gospodarstwie miejskiém środki finansowe grają rolę bodaj ważniejszą niż sam charakter mieszkańców.

Jeżeli dla utrzymania czystości, ładu i porządku w gospodarstwie prywatném wystarczają dobre chęci lub zamiłowanie gospoda-

rza, to w gospodarstwie miejskiém stoją one na drugim planie, sama bowiem rozległość działania wymaga znacznych środków materyalnych, bez których dobre chęci i sprężystość gospodarza nie wiele zdziałać potrafią; gdy w gospodarstwie prywatném sam gospodarz może być wykonawcą swych chęci lub wymagań, to w miejskiém wykonanie powierza się mnogim i rozlicznym organom, które przedewszystkiém opłacić potrzeba; gdy w pierwszém utrzymanie porządku i czystości opędzać się może wydatkami nieznacznemi, to w drugiém porządek ten, pod postacią dobrych bruków, chodników, czystości placów i ulic i dostatku dobréj wody, bez znacznych nakładów utrzymać się nie da; gdy nareszcie w urządzeniu i utrzymaniu w porządku mieszkania prywatnego możliwa największa oszczędność, to w gospodarstwie miejskiém częstokroć niepodobieństwem jest powstrzymać się od wydatków.

Widzimy z powyższego, że zasoby materyalne odgrywają tu rolę główną, i gdy świadomość, że się coś robi dla siebie, jest główną dźwignią ku utrzymaniu gospodarstwa prywatnego w porządku, to w miejskiém czynnik ten oddziaływa o tyle tylko, o ile gruntuje się na poczuciu obowiązku rządzącego lub administratora. Skoro więc środki materyalne decydują prawie stanowczo o utrzymaniu gospodarstwa miejskiego w porządku, przeto chcąc sobie zdać sprawę z przyczyn takiego lub owego stanu tego gospodarstwa, najlepiéj jest rozejrzéć się w budżecie danego miasta. Odnośnie do Warszawy wiemy, iż obecny przedstawiciel jéj zarządu ożywiony jest najlepszemi chęciami, niemniéj jednak dobrze jest poznać stronę finansową gospodarstwa, którego ster może już w niedalekiéj przyszłości powierzony zostanie wybranéj z pomiędzy mieszkańców radzie miejskiéj, o zadaniach któréj pisaliśmy w zeszycie kwietniowym w artykule „Samorząd miejski.“ Nareszcie wskazanie cyfr, zapożyczonych z książki niedostępnéj dla ogółu, bo nie znajdującéj się w handlu księgarskim, posłuży do zoryentowania się, o ile słuszném jest rozpowszechnione mniemanie, że względnie do wysokości opodatkowania mieszkańców miasta i nieruchomości. porządek, ład i udogodnienia życia w mieście mogłyby być w Warszawie na wyższym szczeblu rozwoju.

Wszystkie poniższe dane liczbowe czerpiemy z projektu budżetu ułożonego przez magistrat.

Zatwierdzonego budżetu nie mamy i nie wiemy, czy posiada go już p. prezydent. W ogóle dotychczasowa procedura, którą przejść musi projekt budżetu m. Warszawy, zanim stanie się rzeczywistym preliminarzem budżetowym, niezmiernie jest przewlekła. Gdy w miastach używających praw samorządu zatwierdzenie budżetu należy do

rady miejskiéj, w Warszawie projekt budżetu przejść musi trzy instancye. Najprzód przez komitet budżetowy zorganizowany w roku 1870, w którym pod prezydencyą gubernatora obradują oprócz pp. prezydenta i ober-policmejstra, prezesi izb kontroli i skarbowéj, delegaci z ramienia p. generał-gubernatora i zarządu komunikacyi oraz czteréj obywatele miasta (1). Komitet roztrząsa przedstawiony przez prezydenta projekt budżetu i albo wprowadza doń zmiany, albo zatwierdza go w pierwotnéj formie. Następnie budżet przechodzi do p. generał-gubernatora, gdzie znowu uledz może zmianom, a nareszcie przedstawiają go do ministeryum spraw wewnętrznych, zkąd powraca ze zmianami lub bez nich, lecz już w ostatecznéj formie preliminarza budżetowego.

Te same instancye przechodził naturalnie i projekt budżetu na r. b.; o ile wiemy, w komitecie budżetowym nie uległ on ważniejszym zmianom, czy zaś w téj saméj formie został zatwierdzony przez ministeryum nie jest nam wiadomo; zwlekać wszakże z rozpatrzeniem go nie widzimy powodu: raz, że ważnych zmian nie przypuszczamy, powtóre że chwila tego ostatecznego zatwierdzenia zbyt jest nieujętą: gdy projekt budżetu na r. 1880 zatwierdzono już 29 Marca tegoż roku, to na sankcyą budżetu na r. 1878 wypadało czekać aż do 14/26 Czerwca.

Projekt budżetu na r. b. obejmuje, jak i wszystkie poprzednie, tylko dochody miejskie i zamierzone z nich wydatki; inne opłaty ściągane za pośrednictwem kas miejskich, lecz przeznaczone bądź na cele specyalne, bądź na dochód skarbu, nie figurują naturalnie w budżecie—niema w nim więc ani podatku podymnego przynoszącego skarbowi 311.000 rub. rocznie, ani opłaty kwaterunkowéj, ani dochodów i wydatków ze składek za ubezpieczenia ruchomości od ognia.

W dalszym ciągu znajdą czytelnicy szczegóły o tych opłatach, teraz zaś wracamy do dochodów i wydatków z funduszów miejskich, stanowiących właśnie treść książki, którą mamy przed sobą.

---

(1) Udział obywateli w naradach nad budżetem miasta nie należy do bardzo czynnych. Mieliśmy sposobność przejrzéć wypisy z protokułów posiedzeń komitetu za trzy lata ostatnie—znaleźliśmy w nich tylko dwa żądania i jeden wniosek, płynące od grona obywateli. Pierwsze dotyczyły obostrzenia kontroli przy poborze rogatkowego i nieczystości wody dostarczanéj przez wodociągi miejskie, a drugi polegał na zaznaczeniu konieczności pięcioletniéj lustracyi domów dla oznaczenia wysokości podatku szacunkowego. Tak nieznaczna liczba żądań i wniosków albo przemawia na korzyść zarządu miasta, szafującego dochodami miejskiemi, albo też dowodzi, że w obec przewagi w komitecie żywiołu biurokratycznego obywatele uznaja bierne zachowywanie się przy obradach za właściwą swoję rolę.

Dochody dzielą się na zwyczajne i nadzwyczajne; szczegółowe źródła pierwszych podzielono na siedm oddzielnych kategoryj mianowicie:

Stosunek do ogólnéj sumy dochodów.

§. 1. Dochody z majątku miejskiego i dzierżaw czyli czynsze emfiteutyczne, kanony, laudemia, dzierżawy z domów i placów miejskich (96.124 r.), opłaty za zajęcie chodników pod altany przy cukierniach i z wodą sodową; nadto zaliczono tu procenty od kapitałów miejskich ulokowanych w Banku Polskim (20.308 r.) i zahipotekowanych na nieruchomościach (1.292 r.)—ogólna suma tego paragrafu wynosi . . . . 137.911 r. — k. 6,88%

§. 2. Podatki od obywateli osiadłych: podatek szacunkowy (420.000 rub.) ustanowiony w r. 1871 w zamian dawniejszych opłat, jak brukowe, latarniowe itd. następnie 33⅓% podatku podymnego płaconego skarbowi (103.200 r.), i opłaty za przeprowadzenie wodociągów do domów prywatnych (31.750 r.) . . . . 554.950 r. — k. 27.65%

§. 3. Podatki od przemysłowców: opłaty od świadectw handlowych i przemysłowych, 50%-owa opłata od patentów akcyznych, opłaty od dorożkarzy i omnibusów i od świadectw na prawo adwokatury, w ogóle . . . . 217.505 r. — k. 10.85%

§. 4. Podatki pośrednie: opłaty od zabaw i widowisk publicznych, podatek od psów, opłaty za karty pobytu (51.460 r.), od paszportów (35.100 r.), rogatkowe (260.030 r.), z miar i wag, od bicia bydła w szlachtuzach (86.640 r.) i dochód z protestu weksli i aktów notaryalnych (127.000 r.), ogółem . . . . 573.111 r. — k. 28,59%

§. 5. Obejmuje „Dochody pomocnicze:“ Czasowy zasiłek ze skarbu na utrzymanie policyi (268.669 r.) i stałe na szkółki elementarne i rzemieślnicze (6.937 r.) i sekcyą do spraw skarbowych (2.775 r.), zasiłki z funduszów lombardu, z funduszu ubezpieczeń (47.624 r.), z funduszów bóżnicznych i kwaterunkowych . . . . 340.790 r. — 17%

§. 6. Dochody różne i przypadkowe. Główne pozycye tego działu stanowią dochody z Gazety policyjnéj (12.500 r.), z paltów egzekucyjnych (7.400 r.), z opłat i kar wymierzanych przez sędziów pokoju (36.800 r.), dochody biura adresowego (2.380 r. i inne pomniejsze . . . . 67.053 r. 82 k. — 3,35%

§. 7. Dochody zwrotne, mianowicie: opłaty za sprzedane grunta miejskie (5.980 r,), zwrot pożyczek budowlanych (11.283 r. 50 k.) i procent od złożonego w Banku funduszu budowlanego (24.036 r. 65 k.), zwrot kosztów kuracyi w szpitalach niższéj służby policyjnéj i strażaków (1.760 r.), zwrot szpitalom kosztów poniesionych na bicie bydła (2.700 r.) . . . . 45.760 r. — 2,28%

Dochody nadzwyczajne wynoszą . . . . 67.160 r. — 3.37%

Suma ta odpowiada pozycyi wydatkowéj, mieszczącéj w sobie niezapłacone wydatki służby roku 1879 i stanowi

część zatrzymanéj w tym celu gotowizny z wpływów tegoż roku.

Ogół więc dochodów wpisanych do projektu budżetu wynosi *2.004.540 r. 82 k.*

W sumie téj wszakże mieszczą się, jak widzimy ze szczegółowych pozycyj budżetu, i dochody nie obciążające wcale mieszkańców miasta w r. b.; do rzędu takich zaliczyć należy: procenty od kapitałów ulokowanych w Banku Polskim, zasiłek ze skarbu państwa i dochody nadzwyczajne powstałe z wpływów lat ubiegłych. Dla ustanowienia przeto sumy, mającéj wpłynąć do kas miejskich pod formą podatków i opłat na rzecz miasta za rok bieżący, należy z ogółu, spodziewanych według budżetu, dochodów strącić: 44.344 r. 65 kop. stanowiące procenty z Banku Polskiego, 278.381 rub. czyli wysokość zasiłków ze skarbu państwa i 67.460 rub. dochodów nadzwyczajnych, w ogóle 390.185 r. 65 kop.; pozostanie przeto, jako dochód płynący wyłącznie od mieszkańców miasta, suma 1.614.355 r. 17 kop. Przedstawiwszy w sposób powyższy szczegóły budżetu a przeto i wysokość opłat wnoszonych na rzecz kasy miejskiéj, winniśmy dla całości obrazu opodatkowania miasta, wskazać jeszcze ciężary na rzecz skarbu i mające przeznaczenie specyalne. Wszystkie te ciężary mogą być uważane za opłaty z nieruchomości, one bowiem prawie wyłącznie dźwigają je na sobie.

Opłaty te są następujące:

Podatek „podymne" wnoszony na rzecz skarbu, opłata kwaterunkowa dla potrzeb całéj masy wojsk konsystujących w Warszawie i opłata za ubezpieczenie nieruchomości od ognia.

Pierwszy, jakeśmy to widzieli, przynosi skarbowi 311.000 rub. rocznie i pobiera się, stosownie do obowiązujących przepisów, w stosunku $7\frac{1}{2}\%$ od połowy dochodu surowego z nieruchomości. Dla ustanowienia wysokości tego podatku, odbywa się co lat pięć tak zwana lustracya dochodu z nieruchomości.

Właściciele domów podają deklaracye o dochodzie jaki im nieruchomość zapewnia; po sprawdzeniu rzetelności tych deklaracyj przez specyalną komisyą, do składu któréj wchodzą delegaci magistratu i obywatele miasta, służą one za podstawę do oznaczenia sumy podatku. Ostatnia z takich lustracyj dokonana w r. 1874 wykazała, że dochód surowy z posesyj zabudowanych wynosił 8.294.000 rub., w stosunku więc do tego dochodu obliczonym został podatek „podymne" w sumie 311.000 rub.

Te same deklaracye, *respective* ta sama lustracya służy do obliczenia wysokości opłaty kwaterunkowéj. Różnią się tylko zasa-

dy obliczeń: gdy „podymne“ stanowi 7½% od połowy dochodu surowego z nieruchomości bez względu na wysokość dochodu, to opłata kwaterunkowa, jakkolwiek oblicza się także na podstawie dochodu surowego, uwzględnia mniejszy lub większy dochód. W ogóle, dla oznaczenia wysokości téj opłaty, domy podzielone są na dwie kategorye: przynoszące dochodu mniéj od 500 rs. i więcéj nad tę sumę.

Wynaleziona w ten sposób suma dochodu surowego, winna być podzielona na dwa działy i uledz opodatkowaniu, że jednak gmachy rządowe i instytutowe nie opłacają podatku kwaterunkowego a nadto domy nowopobudowane korzystają z krótszych lub dłuższych ulg w opłacaniu téj składki, przeto z ogólnéj sumy dochodu surowego (8.294.000 rs.) należy strącić jako dochód z nieruchomości pierwszéj kategoryi 91.184 rs. 90 kop. i drugiéj 107.600 rs. 50 kop., w ogóle 198.785 rs. 40 kop.; pozostaje więc do opodatkowania 8.095.806 rs. 94 kop. dochodu surowego. Z téj ostatniéj sumy na domy, przynoszące dochodu mniéj niż 500 rs. rocznie, przypada 169.024 rs. 50 kop. a na domy, dające więcéj niż 500 rs., wypadnie 7.926.782 rs. 44 kop. Pierwsze płacą 4, a drugie 5% od dochodu surowego.

Obliczona na takich podstawach opłata kwaterunkowa z nieruchomości na r. b. wynosi 403,100 rs. 10 kop. Nie jest to wszakże cała suma téj opłaty, bo oprócz nieruchomości, pociągnięci są do udziału w niéj rzemieślnicy i przemysłowcy. Stosownie do zasadniczych przepisów wydanych przez b. Radę Administracyjną w r. 1867, winni oni zapłacić $^1/_{10}$ część ogólnéj sumy wydatków przeznaczonych wyłącznie na potrzeby wojska, a ponieważ wydatki téj kategoryi obliczone na r. b. zużyją 408.797 rs. 55 kop., przeto rzemieślnicy i przemysłowcy winni zapłacić w r. b. 40.879 rs. 75 kop. Ogólna więc suma opłaty kwaterunkowéj mająca wpłynąć w r. b., równać się będzie 443.979 rs. 85 kop. — O wydatkach z funduszów kwaterunkowych, zawierających w sobie pozycye dość ciekawe, powiemy późniéj, teraz skończmy z opodatkowaniem: pozostaje więc jeszcze składka za ubezpieczenie nieruchomości od ognia. O téj opłacie wiemy tylko tyle, że wynosi ona przeciętnie 2 do 3% od dochodu. Jaką zaś ogólną sumę przewidziano na rok bieżący nie zdołaliśmy się poinformować. Możemy wszakże, bez obawy o nadmierne zwiększenie lub zmniejszenie ogólnéj cyfry téj opłaty, wziąć 2½% od dochodu surowego z nieruchomości, jako normę składki za ubezpieczenie ich od ognia. Gdy obliczymy teraz po 2½% od znanych już nam 8.294.000 rs., to otrzymamy 207.350 rs., które przyjmiemy za dochód roczny ze składek za ubezpieczenie od ognia nieruchomości m. Warszawy.

Na tém kończą się opłaty ciążące na mieszkańcach Warszawy. Na rzecz kasy miejskiéj wnoszą oni według streszczonego budżetu wogóle . . . . 1.614.355 rs. 17 kop.
„podymne“ na dochód skarbu wynosi . . . 311.000 „ — „
opłata kwaterunkowa . . . . 443 979 „ 85 „
i składka za ubezpieczenie od ognia według rachunku przypuszczalnego. . . . . 207.350 „ — „

Ogółem. . . 2 576.685 rs. 2 kop.

co przy ludności wynoszącéj 357.000 stanowi po 7 rs. 22 kop. na jednego mieszkańca.

Dane powyższe pozwalają nam teraz przystąpić do zapowiedzianego wykazania stanu opodatkowania nieruchomości m. Warszawy. I tak:

Na rzecz miasta płacą one podatek szacunkowy i podymne $33\frac{1}{3}\%$. Pierwszy oparty jest na dochodzie surowym z nieruchomości i oblicza się na podstawie wspomnianych już wyżéj pięcioletnich lustracyj, drugi stanowi $\frac{1}{3}$ część takiegoż podatku pobieranego na dochód skarbu.

Wysokość podatku szacunkowego stosuje się do dochodu z domu: przy dochodzie 500 rs. pobiera się 2%, przy 1.000 rs. dochodu—3%, przy 2.000 rs.—4%, przy wyższym nad 2.000 rs. 5%, przeciętnie więc podatek szacunkowy wynosi . . . . $3\frac{1}{2}\%$

Podatek „podymne“ stanowi $\frac{1}{3}$ część podymnego płaconego na rzecz skarbu, czyli że nieruchomości płacą od dochodu surowego bez uwzględnienia różnic w dochodzie. . . . . . $1\frac{1}{4}\%$

Na rzecz skarbu. „Podymne“ w stosunku $7\frac{1}{2}\%$ od połowy dochodu surowego, czyli od całkowitego dochodu . . $3\frac{3}{4}\%$

Opłata kwaterunkowa stanowi 4 albo 5% stosownie do dochodu czyli przeciętnie. . . . . $4\frac{1}{2}\%$

Wogóle podatki pochłaniają z dochodu surowego z nieruchomości 13%

Dodając nadto składkę ogniową za ubezpieczenie nieruchomości od ognia, stanowiącą od dochodu z domu przeciętnie. $2\frac{1}{2}\%$

Otrzymamy, że nieruchomości w mieście Warszawie opłacają ogółem od dochodu. . . . . $15\frac{1}{2}\%$

Nader interesującém byłoby porównanie powyższych rezultatów ze stopniem obciążenia nieruchomości miejskich w innych krajach Europy, porównanie to wszakże jest prawie niemożliwe dla braku odpowiednich danych statystycznych. Statystyka dotąd nie

może się pochwalić pracami porównawczemi na polu skarbowości, finanse państw wcale jeszcze nie tknięte, a chociaż finanse gmin miejskich a raczéj miast szczęśliwsze są pod tym względem, to wszakże jedyna istniejąca dotąd praca, mająca na celu porównawcze zestawienie stanu skarbowości stolic i znaczniejszych miast Europy, nie daje nam potrzebnych do porównania szczegółów.

Mówimy tu o pracy p. Körösiego (1), dyrektora biura statystycznego w Peszcie.

Autor podaje szczegóły o gospodarstwie finansowém 26 większych miast, ale rubryki, przez niego ułożone a potwierdzone na kongresie statystycznym peszteńskim z r. 1876, nie mieszczą w sobie całkowitych sum dochodów i wydatków zawartych w budżetach i zamknięciach rachunkowych miast, które stanowią przedmiot jego pracy. Na str. 20 sam autor powiada, że w jego rubryki weszło z dochodów miasta Pesztu 74%, Wiednia 94%, Stockholmu 89%, Rzymu 91%, Kopenhagi 90%, z wydatków zaś Pesztu tylko 55%, Wiednia 85%, Stockholmu 80%, Kopenhagi 65% a Rzymu zaledwie 37%. To przyznanie się Körösiego tak dalece osłabia wartość jego statystyki, że wypada wstrzymać się zupełnie od użycia cyfr jego do wywodów porównawczych. Choćbyśmy nawet przypuścili, że pominięte przez niego dochody należą do kategoryi opłat niestałych, a przeto że stałe, do rzędu których należą opłaty pobierane z nieruchomości, podane zostały zupełnie ściśle, to i w takim razie nie moglibyśmy posługiwać się dziełem statystyka węgierskiego, z powodu braku ścisłych wskazówek o zasadach przyjętych do opodatkowania. Dla jedénastu miast wskazówek tych wcale nie ma, podane zaś dla niektórych w dodatkach do tablic szczegółowych nie są wyczerpujące i zawierają przeważnie dane o stosunku opłat miejskich do podatków pobieranych na rzecz skarbu, o wysokości których nie ma żadnych szczegółów. Wyczerpujące zaś wskazówki dla Stuttgardu, Monachium, Turynu i Stockholmu, nie nadają się do porównań z podatkami pobieranemi w Warszawie, ponieważ same podatki są zupełnie odmienne.

Z tych wszystkich względów międzynarodowa statystyka finansów miast p. Körösiego, nie może służyć za materyał do porównania budżetu m. Warszawy z budżetami większych miast Europy, innych źródeł nie mamy, a przeto ograniczymy się do powtórzenia za p. prezydentem ogłoszonych przezeń odnośnych szczegółów dostarczonych mu przez właściwe organa zarządów miejskich.

---

(1) Statistique internationale des grandes villes.—Deuxieme section.—Statistique pes finances. Tome I, Buda-Pest, 1877.

Według tych danych, nieruchomości w Berlinie opłacają na rzecz skarbu 4% a do kasy miejskiéj 2²/₉% od dochodu, w ogóle 6²/₉%; w Paryżu podatek gruntowy i od drzwi i okien (contribution fonciere i contribution des portes et fenêtres) wynosiły w r. 1880 *na rzecz skarbu* 3.4679% od dochodu surowego, na rzecz departamentu 1.5150% i na rzecz kasy miejskiéj 1.8542%, w ogóle więc 6.8371%. W Wiedniu ogół podatków pobieranych z nieruchomości wynosi 42.09% od dochodu surowego, a we Florencyi podatek państwowy pobierany od dochodu czystego wynosił na rzecz prowincyi 16.25% i na dochód miasta 19.23%, w ogóle 41.23%.

Widzimy więc, że jeżeli nieruchomości warszawskie płacą mniéj niż florenckie i wiedeńskie, to znaczniéj więcéj od domów w Berlinie i Paryżu; zobaczmy teraz, jaki zachodzi stosunek między Warszawą a znaczniejszemi miastami Cesarstwa.

Tam na nieruchomościach miejskich ciążą trzy opłaty: na dochód skarbu opłacają one podatek główny i dodatkowy na kwaterunek, któren stanowi w większych miastach 73% głównego, zaś na dochód kasy miejskiej płacą tylko podatek szacunkowy, którego wysokość nie jest wszędzie jednostajną.

Do porównania bierzemy Petersburg, Moskwę i Odessę, ponieważ potrzebne dane i budżety tych miast udało nam się pozyskać. I tak:

W Petersburgu, podatek główny opłacany na rzecz skarbu, przy dochodzie surowym z nieruchomości ustanowionym przez lustracyą z r. 1874 w wysokości 35.000.000 rs. w zaokrągleniu, wynosi w stosunku do tego dochodu 0.96%
Dodatkowy na kwaterunek stanowiący 73% głównego. . 0.69½%
Szacunkowy na chodód kasy miejskiéj pobierany w stosunku $^8/_{10}$% od ogólnéj wartości domów i obliczony w stosunku do dochodu surowego z nieruchomości stanowi . 5.69%
Ogółem od dochodu surowego. . 7.34½%

Pierwszy podatek wynosił w r. z. 336.042 rs., drugi 245.311 rs., a trzeci według budżetu z r. 1879 w całkowitéj sumie (1) 1.991.922 rs. 5 kop., ogółem 2.572.575 rs.

W Moskwie podatek główny, ustosunkowany do dochodu czystego z nieruchomości, wynosił 0.78%
dodatkowy na kwaterunek (73% głównego). 0.56½%
szacunkowy na dochód miasta od dochodu czystego, obliczonego w sumie 21.715.623 rs. . . . . 9.%—
Ogółem od dochodu czystego. . 10.34½%

(1) W preliminarzu budżetu wpisano, jako dochód spodziewany w r. 1879, tylko 75% przypadającego istotnie na rzecz miasta podatku szacunkowego mianowicie 1.493.941 rs. 50 kop.

Pierwszy podatek wynosił 168.000 rs., drugi 122.640 rs. a trzeci 1.901.511 rs. 45 kop., ogółem 2.192 151 rs. 45 kop.

W Odesie podatek główny stanowi od dochodu czystego z nieruchomości 0.75%
dodatkowy prawie 0.62%
szasunkowy na rzecz miasta 8%

W ogóle. . 9.37%

Suma podatku pierwszego równała się w r. z. 90.000 rs., drugiego 64.651 rs. a trzeciego 525.000 rs., ogółem 679.651 rs.

Zestawienie tych szczegółów z przytoczonemi wyżéj pozycyami dotyczącemi Warszawy pozostawiamy samym czytelnikom: z łatwością przekonają się oni o ile podatki, opłacane przez nieruchomości warszawskie, wyższe są niż opłaty, obciążające domy znaczniejszych miast cesarstwa.

Większe opodatkowanie domów Warszawy podatkami skarbowemi sprawia, że pomimo różnic zachodzących między Warszawą a Petersburgiem i Moskwą pod względem ich wielkości a tém samém i ilości domów, Warszawa płaci skarbowi prawie półtora raza tyle co Petersburg i prawie trzy razy tyle co Moskwa, opłaca bowiem na potrzeby skarbu podymnego i kwaterunkowego 711.272 rs., gdy Petersburg podatku głównego i dodatkowego 581.353 rs. a Moskwa zaledwie 290.640 rs.

Na tém zakończymy rzecz naszą o stronie dochodowéj, budżetu i przechodzimy do wydatków.

Ogólna ich suma przewidziana na r. b. wynosi 2.003.660 rs. 11 kop. i dzieli się na 19 kategoryj.

Podajemy je szczegółowo, lecz z sum wykazanych w projekcie budżetu potrącimy przy odnośnych pozycyach te części wydatków, które uskutecznione będą z dochodów nie płynących od mieszkańców miasta a szczegółowo wykazanych przy przedstawieniu dochodów.

			Stosunek do ogólnéj sumy wydatków.
§ 1.	Spłata długów wynosi 135.908 rs. 97 kop. z których Bankowi Polskiemu przypada 96.390 rs. 12 kop., potrącając zaś z téj sumy 20.308 rs. stanowiące procenty pobierane z Banku otrzymamy, że na wydatki téj kategoryi przypadnie w r. b. z funduszów wnoszonych przez mieszkańców miasta.	115.600 rs. 97 k.	7.16%
§ 2.	Utrzymanie zarządu miejskiego, bez 2.775 rs. wydawanych z funduszów skarbu na sekcyą skarbową przy magistracie	149.940 „ 50 „	9.29%
§ 3.	Utrzymanie wodociągów	82.085 „ — „	5.09%
§ 4.	Utrzymanie szlachtuzów	38.906 „ 44 k.	2.41%
§ 5.	Utrzymanie zarządu ober-policmejstra i policyi, bez zasiłku przyznanego ze skarbu, kosztuje 260.956 rs.,		

§		rs.	k.	%
	urzędu lekarskiego 7.500 rs., komitetu lekarsko-policyjnego 15.160 rs. i wydawnictwo gazety policyjnéj 9.280 rs., w ogóle	292.896 rs.	— k.	18.15%
§ 6.	Utrzymanie straży ogniowéj	196.586 „	— „	12.19%
§ 7.	Emerytury „	6.624 „	20 „	0.41%
§ 8.	Utrzymanie sądu zjazdowego i sędziów pokoju. . .	56.542 „	— „	3.51%
§ 9.	Zewnętrzny porządek miasta.	363.720 „	— „	22.54%
§ 10.	Oświetlenie miasta	51.888 „	— „	3.22%
§ 11.	Opłaty i czynsze z nieruchomości będących pod zarządem miasta.	4.276 „	— „	0.26%
§ 12.	Różne wydatki dotyczące gospodarstwa miejskiego, urządzenie jarmarku wełnianego, spłaty wartości placów zajętych na potrzeby miasta, wydatki na stemple do kart pobytu i inne drobne wydatki	34.506 „	— „	2.14%
§ 13.	Wydatki na potrzeby wojsk, najem podwód, reparacya odwachów i wsparcia rodzinom zabitych i ranionych żołnierzy podczas ostatniéj wojny	13.445 „	— „	0.83%
§ 14.	Utrzymanie zakładów naukowych, bez zasiłku przyznanego ze skarbu.	48.565 „	— „	3.01%
§ 15.	Utrzymanie zarządu zakładów dobroczynnych i zasiłki szpitalom.	45.311 „	— „	2.81%
§ 16.	Zasiłki skarbowi, na utrzymanie żandarmów, za rewizyą rachunków miasta i na filje pocztowe . . .	75.859 „	— „	4.70%
§ 17.	Wydatki nieprzewidziane	15.000 „	— „	0.93%
§ 18.	Wydatki zwrotne: mianowicie przekaz do Banku Polskiego wpływów za sprzedane place miejskie i na spłaty pożyczek budowlanych, bez procentów pobieranych z Banku od funduszu budowlanego (24.036 rs. 65 kop.), oraz odpowiadające pozycyom dochodowym zwroty za kuracyą policyantów i strażaków a także za bicie bydła dla szpitali	21.723 „	35 k.	1.35%

Ogólna więc suma wydatków wyniesie . . 1.613.474 rs. 46 k.

Pominęliśmy paragraf 19 budżetu, gdyż on zawiera w sobie wydatki z dochodów nadzwyczajnych płynących, jakeśmy to widzieli, z wpływów lat poprzednich. Największą przeto część dochodów miejskich pochłaniają wydatki na zewnętrzny porządek miasta. Okoliczność ta w dziwnéj staje sprzeczności z ciągle słyszanemi narzekaniami na złe bruki i chodniki, złą wodę do picia, brak kanalizacyi i czystości na ulicach i placach. Sprzeczność to wszakże tylko pozorna, a chociaż nie zamierzyliśmy kruszyć kopii w obronie zarządu miasta, jednakże winniśmy zaznaczyć, że podobne przedsiębierstwa, jak kanalizacya, nigdzie nie dają się dokonać z dochodów bieżących; jeżeli zaś istotnie woda, bruki, chodniki i czystość dużo pozostawiają do życzenia, to usprawiedliwia się to tém, że chociaż zewnętrzny porządek miasta pochłania największą część dochodów

miejskich, to wszakże nie więcéj nad 365.000 rs., a fundusze téj wysokości nie mogą wystarczyć na zaspokojenie tych wszystkich wymagań i potrzeb i utrzymanie ich w zupełnym porządku, sama bowiem przestrzeń na jakiéj rozciąga się obecnie Warszawa a z drugiéj strony upadek kursu, a ztąd i ogólne podskoczenie cen potrzebnych materyałów i pracy, zdają się temu stawać na przeszkodzie.

Doszliśmy tedy do wniosku, że szczupłości zasobów przypisać należy brak tych udogodnień i porządku, jakiemi się cieszą mieszkańcy innych miast, z tego zaś wypływa, że jeżeli, nie mówiąc już o kanalizacyi, domagamy się tych udogodnień, to możemy je mieć tylko drogą zwiększenia dochodów miasta, respective podatków na rzecz kasy miejskiéj.

Nie myślimy wszakże kreślić programu postępowania dla obecnego zarządu miejskiego lub spodziewanéj rady miejskiéj, nam chodzi o rozpatrzenie budżetu; nie przesądzając przeto kwestyi wprowadzenia, lub nie, nowych podatków czy opłat, przypatrzmy się powodom zniewalającym zarząd miejski do przeznaczania na „zewnętrzny porządek miasta“ nie więcéj jak 22.54% z ogólnych wydatków.

Zdaje nam się, że to pochodzi z dwu przyczyn, a najprzód z powodu pewnéj niedokładności w ustawie o podatku szacunkowym. Twórcy ustawy, stosując się do terminu lustracyi dochodu z nieruchomości co lat pięć ustanowionego dla podatku podymnego, nieuwzględnili téj okoliczności, że pomiędzy jednèm pięcioleciem a drugiém wznoszą się nowe domy, które na równi z innemi powinnyby opłacać podatek szacunkowy do kasy miejskiéj, tymczasem zaś pozostają one wolne od opłaty aż do czasu nowéj lustracyi.

Niedokładność powyższa przy normalnym nawet wzroście miasta, ujemnie oddziaływa na dochody miejskie, w ostatnich zaś kilku latach szkodliwiéj niż kiedykolwiek. Pod względem rozrostu miasta, ostatnie lat kilka należą do iście niezwykłych: pobudowano masę nowych domów, potworzyły się nowe ulice i nowe dzielnice, miasto zaś nietylko nie pobierało z nich żadnych dochodów, lecz musiało jeszcze łożyć na bruki i chodniki, a łożyć naturalnie z ogólnych funduszów, których przeznaczeniem właściwém byłoby zaspokojenie potrzeb dzielnic dawniejszych jako jedynie opodatkowanych. Drugą przyczynę upatrujemy w tém, że z powodu obowiązkowego lokowania kapitałów w Banku Polskim miasto nie ma możności odpowiedniego obecnym warunkom ekonomicznym wyzyskania zaoszczędzonych funduszów i musi z ujmą w dochodach poprzestawać na bardzo nizkim procencie; wreszcie, że na dochodach miasta ciążą wydatki obowiązkowe, od których miasto uwolnić się nie ma prawa.

Do rzędu tych ostatnich należą: nap. wieczysty czynsz pp. Kanoniczkom w sumie 7.950 rub. rocznie za plac zajęty pod budowę teatrów. Właściwie czynsz ten jest zasiłkiem opłacanym przez miasto teatrowi, temu samemu, któren przed piędziesięciu laty kosztował miasto 750.000 rub. i zwolniony został od wszelkich z niém obrachunków. Następnie opłata 2.655 r. rocznie, pod nazwą kompetencyi, która obecnie prawie w całości przeszła na dochód skarbu, a stanowi spłatę wartości placów, przeszłych na rzecz miasta od parafii Ś-go Andrzeja. Daléj idzie policya pochłaniająca wraz z zasiłkiem opłacanym skarbowi na utrzymanie żandarmów 365.539 rub. czyli 22.65% z ogólnéj sumy dochodów miejskich. Żadne modyfikacye w téj kategoryi wydatków nie są dozwolone magistratowi: urządzenie, skład osobisty, etaty i wogóle służba policyjna stosują się do poleceń rządu, któren jedynie decyduje tu o potrzebie utrzymania takiéj a nie innéj liczby służby policyjnéj i ze ściśle oznaczoném przez rząd wynagrodzeniem. Do wydatków obowiązujących miasto, a nie dających się spotykać w budżetach innych miast Europy, należy zaliczyć 56.542 rub. stanowiące koszt utrzymania sądu zjazdowego i sędziów pokoju i 1.500 rubli przeznaczone corocznie z funduszów miejskich jako zasiłek skarbowi na utrzymanie filij pocztowych.

Gdyby wszystkie wydatki powyższe, jeżeli już mają obciążać fundusze miejskie, miały przynajmniéj to za sobą, że oznaczenie ich wysokości pozostawione było decyzyi magistratu, wówczas możebyśmy ujrzeli w budżecie Warszawy większe niż dotąd sumy nie tylko na „zewnętrzny porządek miasta,“ ale i na utrzymanie szkół, które obecnie korzystają zaledwie z 48.565 rub. rocznie stanowiących 3% ogólnéj sumy wydatków.

W budżecie nie znajdujemy żadnych szczegółów ani o liczbie szkół, ani uczących się, ani uczących, nie możemy więc podzielić się niemi z czytelnikami i poprzestalibyśmy na zaznaczeniu tylko szczupłości wydatków na oświatę, gdyby nie to że zestawienie ich z podobnemi wydatkami innych miast zniewala nas do przytoczenia odpowiednich danych liczbowych. Gdy w Warszawie tylko 48.000 r. poświęca się na szkoły, to w Lipsku w r. 1874 wydano 1.509.912 franków, w Stuttgardzie 423.100 fr., w Monachium 705.028 fr., we Frankfurcie nad Menem 1.076.460 fr., we Wrocławiu 1.961.719 fr., w Genewie 862.539 fr., we Florencyi 786.153 franki. Sprawiedliwość nakazuje dodać, że we wszystkich tych miastach, z wyjątkiem Monachium, nauczanie nie jest bezpłatne, opłaty wszakże wnoszone przez uczących się w małych tylko częściach pokrywają wydatki łożone na zakłady naukowe: w Lipsku nap. opłaty te przyniosły w r. 1874

433.000 fr., w Stuttgardzie 94.300 fr., we Frankfurcie 495.000 fr., we Wrocławiu 502.000 fr., w Genewie i Florencyi po 27.000 fr.

Nie pod każdym wszakże względem Warszawa stoi niżéj od innych miast Europy: jeśli taniéj opłaca urzędników zarządu, jeśli z powodu niedostatecznych funduszów nie daje mieszkańcom dobréj wody, dobrych bruków i chodników, jeśli dla braku kanalizacyi nie odznacza się czystością, a dla potrzeb sanitarnych niema dostatecznych środków, to za to góruje w wydatkach na policyą. My wydajemy 365.500 rub. rocznie, a Lipsk w r. 1874 wydał 602.000 franków, Stuttgard 352.800 fr., Monachium 63.000 fr., Frankfurt nad Menem 170.240 fr., Liège 151.450 fr., Kopenhaga 500.000 fr., Wrocław 78.000 fr., Bukareszt 547.000 fr., Genewa i Florencya po 500.000 fr.

O ile ten przepych warszawski jest pocieszającym—niech każdy z czytelników sam osądzi, my zaś przechodzimy do wydatków z funduszów kwaterunkowych.

Obliczono je na r. b. w sumie 425.797 rubli.

Szczegółowe pozycye wyłącznego dla tych funduszów budżetu informują nas, że prawie 30.000 rub. przeznacza się corocznie na spłatę długów. Długi te wszakże nie były zaciągnięte przez miasto, włożono tylko na nie obowiązek spłacenia,—płaci więc Warszawa skarbowi 16.198 rub. rocznie na pokrycie 269.968 rub. zapłaconych przezeń długów zahipotekowanych na zajętych domach hr. Andrzeja Zamojskiego, 12.175 rubli rocznie do czasu spłaty 487.000 rub. zapłaconych ze skarbu jako wartość domu N. 413 nabytego od spadkobierców Skwarcowa i 1.625 rub. na zwrot kosztów skarbu poniesionych na wybudowanie na Pradze „punktu zbornego.“ Inne wydatki przeznaczone są na utrzymanie służby kwaterniczéj 6.850 rub., na zasiłek skarbowi 600 rub. rocznie, na najem domów dla wojskowych i urzędów wojennych 15.164 rub., na koszt kwater dla generałów, oficerów i urzędników zarządów wojskowych i na wsparcia rodzinom żołnierzy powołanych do służby w r. 1876 i 1877—329.988 rubli, na najem lokali dla urzędów i urzędników sądowych i opał tych lokali 25.500 rub. i na pokrycie wydatków z lat poprzednich i niedobory r. b. 17.700 rub. Pozostaje więc z dochodów r. b. 18.182 rub. 20 kop. które zostaną przelane do Banku Polskiego na lokatę.

Do szczegółów powyższych tyle tylko dodać możemy, że podobnie jak wysokość niektórych wydatków miejskich nie zależy od uznania zarządu miasta, tak téż i wydatki z funduszów kwaterunkowych ściśle są przez rząd oznaczone, całe zadanie magistratu polega na zaspokojeniu według przepisanéj taryfy potrzeb całéj masy wojsk konsystujących w Warszawie i spłata długów wyżéj wykazanych. Nawet przewyżki dochodów nad wydatkami nie idą na zmniejszenie

podatku w roku następnym, ale wbrew ustawie o podatku kwaterunkowym, z r. 1867, kapitalizują się w Banku Polskim, jako fundusz na budowę koszar.

Z dniem 1 Stycznia r. b. fundusz ten wynosił już przeszło 300.000 rubli. Mogłyby one pokryć znakomitą część wydatków jednego roku i uwolnić nieruchomości od jednorocznych przynajmniéj opłat, gdyby nie odwrócono ogólnéj zasady, że przewyżki dochodów mających specyalne przeznaczenie używają się na zmniejszenie opłat w latach następnych.

Na zakończenie podajemy jeszcze szczegóły o kapitałach stanowiących własność miasta i długach przez miasto zaciągniętych a dotąd nie spłaconych.

Pierwsze dzielą się na trzy kategorye:

1⁰ Kapitały złożone w Banku Polskim na lokatę stałą, od których bank opłaca 4% wynoszą one	249.697 r. 43 k.
2⁰ Kapitały zlokowane w tymże Banku na 3%, powstały one z funduszu budowlanego	763.745 „ 47 „
i z przewyżek dochodów	197.381 „ 90 „
3⁰ Kapitały zahipotekowane na nieruchomościach	110.785 „ —
W ogóle kapitały miasta wynoszą . . .	1.231.609 r. 80 k.

Długi miasta w d. 1 Stycznia r. b. wynosiły:

1⁰ Reszta pożyczki zaciągniętej w Banku Polskim, na 5% i ½% na amortyzacyą, na budowę zjazdu ku Wiśle	641.333 r. 90 k.
2⁰ Reszta pożyczki zaciągniętéj w tymże Banku, na 3% i 7% na amortyzacyą, na budowę ratusza	28.705 „ 35 „
3⁰ Zarządowi górniczemu za bruk żelazny	115.579 „ —
4⁰ Koszta sądowe w sprawie o nieruchomość N. 2.798	142 „ 35 „
W ogóle	785.760 r. 60 k.

Kapitały więc miasta przenoszą długi jego o 445.849 rub. 20 kop. Pod tym względem Warszawa przewyższa inne miasta, nie wiele bowiem możnaby naliczyć z będących w tak szczęśliwych warunkach materyalnych; i jeżeli przyszła rada miejska, chcąc zaspokoić potrzeby mieszkańców, będzie miała dużo do zrobienia, to pod względem funduszów i długów miasta obejmie je w warunkach najbardziéj dogodnych.

A. P.

PAMIĘTNIKI METTERNICHA.

Mémoires, documents et écrits divers laissés par le prince de Metternich publiés par son fils, le prince Richard de Metternich. — Deuxième partie L'ère de paix, 1816—1848.—Tome troisième et quatrième, Paris, 1881.

Publikacya podjęta przez księcia Ryszarda Metternicha, uporządkowana i zebrana przez archiwistę wiedeńskiego p. Klinkowströma, postępuje w niemieckiém i francuskiém wydaniu raźno naprzód i znaczy swój postęp nowemi dwoma tomami. Obejmują one epokę od roku 1816 do 1829 włącznie. Nim przystąpimy do sprawozdania i rozbioru ich treści, rozpatrzmy się nieco w ich zewnętrznym układzie i rozkładzie. Rzecz to, jak się przekonamy, niezupełnie obojętna w ocenieniu i zrozumieniu należytém samejże treści. Na wstępie tedy powiadamy, że najniewłaściwszą dla obu tomów, które mamy przed sobą, byłaby nazwa *Pamiętników*. *Pamiętnikami* można było nazwać w pewnéj przynajmniéj części pierwsze dwa tomy obecnéj publikacyi; dwa drugie, teraz wydane, nie przedstawiają nigdzie jakiegobądź ciągłego opowiadania, składają się raczéj z mozaiki memoryałów do cesarza Franciszka w różnych, bieżących kwestyach polityki europejskiéj, z korespondencyi dyplomatycznéj między kanclerzem a ambasadorami austryackimi na różnych dworach, wreszcie, co najważniejsza, najciekawsza i najlepsza, z listów kanclerza do różnych członków rodziny i ludzi zaufania, jak np. do sławnego w swoim czasie Gentza.

Wobec podobnych pierwiastków składowych téj publikacyi, nasuwa się dość naturalne pytanie, o ile one wpływają na wartość i ciekawość rzeczy saméj. W odpowiedzi na to zapytanie wchodzi w znacznéj mierze w rachubę—talent pisarski samegoż kanclerza austryackiego. Wzgląd ten w ocenieniu niniejszéj publikacyi nie jest zaiste małéj wagi. Pamiętnikowéj treści ustępy, charakterystyki, li-

sty księcia Metternicha przekonywają nas najdowodniéj, że pomijając stronę serca, charakteru, uzdolnienia politycznego, mąż stanu austryacki jest *przedewszystkiém* człowiekiem wysokiego ukształcenia estetycznego i wcale niepospolitego talentu pisarskiego. W porównaniu, narzucającém się dość naturalnie, między nim a dzisiejszym mężem stanu pruskim, przedstawia się nam istnie przeciwbiegunowe *niepodobieństwo*. O ile mąż stanu pruski nie przebiera w środkach prowadzących go do celu i gardzi wszelkim doktryneryzmem, o tyle jest kanclerz austryacki jedynie tylko na stanowisku swém polityczném doktrynerem i poświęcającym często najważniejsze względy dobra państwowego doktrynie konserwatywnéj. O ile mąż stanu pruski z pewną ostentacyą lubuje się w krótkich, nieociosanych stylowo frazesach, wyrażających jego myśl i intencye polityczne, o tyle jest kanclerz austryacki obfitym w słowa, eleganckim stylistą, estetykiem rozpisującym się szeroko i ze znajomością rzeczy czy to nad nowoskomponowaną operą, czy to nad portretem Lawrence'a, czy nad posągiem Canowy lub Thorwaldsena. Wobec podobnego przymiotu żałować-by tedy może przyszło, że książę Metternich nie zostawił w ciągłém opowiadaniu pamiętników przedstawiających jego polityczną działalność w najważniejszéj i najświetniejszéj jéj epoce. Z drugiéj przecież strony nie śmielibyśmy rozstrzygać, czy nie zyskała przez to istotna i niefarbowana prawda historyczna. *Pamiętniki* we właściwém tego pojęcia znaczeniu byłyby pod zręczném i eleganckiém piórem kanclerza austryackiego wyszły raczéj na świetny wywód adwokacki, aniżeli obraz prawdy historycznéj. Owa mozaika memoriałów, dokumentów, korespondencyj rodzinnéj i dyplomatycznéj przedstawia nam ją, nawet w widoczném okaleczeniu przez wydawców, lepiéj i wierniéj. Czytelnik traci na wydawnictwie, jakie mamy przed sobą; zyskuje najniewątpliwiéj historyk. Wspomniana mozaika rozmaitych pierwiastków składa się na barwny i charakterystyczny obraz, którego dokładność nie pozostawia niczego do życzenia.

Nieodżałowaną szkodą dla téj publikacyi, zawodem dla zaciekawionego czytelnika pozostaje, iż wewnętrzne dzieje kongresu wiedeńskiego, iż jego narady i spory, iż skutki, jakie wywarł powrót Napoleona z wyspy Elby, na jego postanowienia i postawę, nie znajdują w obecnie wydanych dwóch tomach równie żadnéj wzmianki, jak nie znalazły w obu pierwszych. Materyał trzeciego i czwartego tomu wprowadza czytelnika od razu *in medias res*, w tajniki roboty Metternicha około utrzymania w nietkniętéj całości zewnętrznéj i wewnętrznéj budowy europejskiéj, wzniesionéj przez traktaty wiedeńskie. Dla zrozumienia stanowiska kanclerza austryackiego, dla

pojęcia szczegółów jego współczesnéj działalności politycznéj, należy sobie uprzytomnić z jednéj strony charakter ówczesnego położenia Europy, z drugiéj przypomniéć wiarę jego i przekonania polityczne.

Pogrom Napoleona przez koalicyą mocarstw, wśród chętnego i samorodnego udziału ludów, pozostawił społeczność europejską w stanie pewnego, z każdym dniem więcéj rozdrażniającego się wyczekiwania. W nagrodę wysileń, za pomocą których wspólny wróg monarchii z bożéj łaski i swobody ludowéj legł po długich latach olbrzymiej walki i znalazł Prometeuszowy przytułek na odludnéj wyspie Oceanu, wyczekiwały narody europejskie, zachodu przedewszystkiém, swobód politycznych i społecznych, objętych programem rewolucyi francuskiéj z roku 1789. Nadzieje te znalazły się zawiedzionemi; ztąd wzrastający od dnia do dnia ferment, nurtujący bądź to katakumbowo w spiskach i sprzysiężeniach, bądź wybuchający na zewnątrz w częściowych powstaniach, jakich liczne przykłady zapisują mianowicie podówczas ludy romańskie. Zachodnia Europa chora w owéj epoce, chora politycznie i moralnie, dzięki, nienaturalnemu skrępowaniu, odbierającemu jéj swobodę oddechu, nie dopuszczającemu normalnego funkcyonowania jéj organizmu.

Jakże teraz, zapytaćby należało, ma się książę-kanclerz do owego chorobliwego usposobienia zachodniéj Europy?—Odpowiedź na to zapytanie nie wypada ani na korzyść politycznego jasnowidzenia człowieka, uchodzącego przez długie lata za pierwszorzędnego męża stanu, ani na zaszczyt jego politycznego charakteru. W jednym ze swych listów późniejszych, do Gentza, jeżeli się nie mylimy, pisze książę Metternich: „W porównaniu z epoką obecną (rokiem 1819), rok 1789 nawet był samém zdrowiem moralném!“ Z tego wychodząc stanowiska, uważa istotnie kanclerz całą Europę, nie wyjmując dworu berlińskiego, nie wyjmując dworu petersburskiego wraz z samymże cesarzem Aleksandrem I, panią de Krüdener, hr. Capodistrią, Pozzo di Borgo, za moralnie i politycznie chorą, siebie—za powołanego przez opatrzność lekarza do leczenia groźnéj klęski, do zapobiegania jéj dalszym postępom. Kongres wiedeński zbudował sobie pod przewodnictwem i za inicyatywą jego wspaniały i ozdobny dom z kart; biada, ktoby go chciał wstrząsnąć lub popsuć. Namiętności zachowania go w nietykalnym pierwoskładzie, poświęca się wszystko, całą działalność polityczną osobistą, co ważniejsza, wszystkie środki państwowe i interes Austryi. Zasadnicze te znamiona wielkiéj polityki Metternicha przemawiają z każdego wiersza, z każdego słowa niemal jego memoryałów, not dyplomatycznych czy rodzinnéj korespondencyi, wśród niesłychanego zadowolnienia z samego siebie, wśród pochwał i komplementów sypanych sobie wcale nie skąpą miarą.

Pierwszy rok pokoju europejskiego, 1816, znajduje się słabo reprezentowanym w nowém wydawnictwie. Napotykamy tu tylko projekt konkordatu z Rzymem pióra Metternicha, projekt, jaki późniéj wszedł istotnie w życie przy schyłku dni kanclerza w roku 1855; napotykamy daléj memoryał jego w kwestyi reformy finansowéj w Austryi. Rok następny, 1817, przedstawia za to dla czytelnika o wiele ciekawszy i rozmaitszy obraz. Córka cesarza Franciszka I wychodzi za mąż za następcę tronu portugalskiego, Dom Pedra. Wspaniała fregata portugalska czeka w porcie Liworneńskim na arcyksiężniczkę Leopoldę, któréj zaszczyt odprowadzenia na miejsce dostaje się księciu-kanclerzowi. Po raz pierwszy przy téj to sposobności przychodzi nam podziwiać przymiot rzeczywisty i prawdziwy tego męża stanu, przymiot, którego mu ani zazdrość, ani choćby najwygórowańsza surowość sądu historycznego zaprzeczyć nie są zdolne. Przymiotem tym jest wspomniany wyżéj talent pisarski. Podróżując z arcyksiężniczką wskroś Włoch, kreśli kanclerz w malowniczy sposób swe wrażenia, swe spostrzeżenia, mające za przedmiot piękność natury, sztukę w najrozmaitszych jéj objawach, obyczaje i zwyczaje ludności, bez żadnéj przymieszki żywiołu politycznego. Mediolan, Ferrara, Bologna, Lucca, Piza, Florencya—otóż drogoskazy podróży, która pod piórem stróża konserwatyzmu europejskiego znajduje opis nie potrzebujący się powstydzić Heinego „Obrazów z podróży,“ z tejże saméj Lukki czy Florencyi. Listy te z włoskiéj podróży potrącają raz jeden tylko o politykę. Kanclerz zapisuje z zadowolnieniem, „że wszyscy *dobrzy* we Włoszech witają go z tryumfem, kiedy źli zgrzytają zębami.“

Jeżeli jednak owa prywatna korespondencya lubuje się przedewszystkiém w pięknościach natury i sztuki, odkładając według maksymy epikurejczyków starożytności *„res severas in crastinum,“* nie należy sądzić, aby nawet pośród wrażeń owéj Yorickowéj podróży, działalność polityczna, i to działalność, w pewnym wyraźnie obranym kierunku, była wypoczywała ze strony kanclerza austryackiego. Rok owéj podróży, rok 1817, nie zapisuje się jeszcze we współczesnéj kronice europejskiéj tak burzliwym fermentem, jakim wrą i kipią następne lata. Mimo to, niepokoi Metternicha usposobienie Europy, skreśla on memoryały charakteru zachowawczego w sprawie wewnętrznéj administracyi Austryi, odbiera informacye ze strony Tytusa Manzi, byłego ministra Murata, o położeniu i usposobieniu w tymże samym sensie, alarmuje się już wtedy Piemontem i politycznemi sektami Włoch, w czém dlań pociechą, że Lombardya i Wenecya są najlepiéj administrowaną ich częścią, wreszcie przesyła hrabiemu Lebzeltern, posłowi austryackiemu w Petersburgu, noty, w których prze-

mawia obawa, aby polityczny i religijny mistycyzm pani Krüdener nie odniósł zwycięztwa na dworze petersburskim ku szkodzie prawdziwego konserwatyzmu.

Za powrotem do Wiednia, pod wpływem podobnych obaw rodzi się w kanclerzu myśl powstrzymania ducha rewolucyi i liberalnych dążności za pomocą jakoby ciągle funkcyonującéj, zachowawczéj kontroli. W podjęciu podobnéj myśli gra niewątpliwie swoję rolę doktryna konserwatywna, ale, co nie mniéj pewna, ma téż w niéj nieskąpy udział ambicya własna i chęć zyskania Austryi jakoby Agamemnonatu konserwatywnego nad kontynentem europejskim. Z rokiem 1818 wchodzi Europa w pamiętną epokę „*kongresów*,“ powtarzających się za inicyatywą Austryi od roku do roku, stawiających sobie niewdzięczne zadanie okiełznania ducha europejskiego za pomocą całego, sztucznego stosu środków prewencyjnych i represyjnych. I w téj, najciekawszéj bez wątpienia i najważniejszéj z całego jego publicznego i prywatnego życia epoce, przedstawiają nam korespondencya i dokumenta kanclerza w dwóch odmiennych postaciach, w postaci utalentowanego, świetnego turysty z jednéj, ponurego i niesmacznego doktrynera politycznego z drugiéj strony. *Turysta* Metternich opisujący swe podróże, swe wrażenia, kreślący charakterystyki osób uczestniczących w zwoływanych przezeń kongresach, jest niezrównany w swoim rodzaju, nie mniéj sympatyczny, jak pouczający dla czytelnika. *Mąż stanu* Metternich. jednostronny, wyłączny w swojém widzeniu rzeczy, doktryner usiłujący kongresowemi kleszczami powstrzymać i powściągnąć odzywającego się we wstrętnym mu kierunku publicznego ducha europejskiego, czyby miał prawo zyskać sobie to samo uznanie—*inna* kwestya. Na szczęście nie ma *kongresu*, którego-by nie poprzedziła *podróż* i nie ma memoryału, ani dyplomatycznéj korespondencyi, których-by nie poprzedziły opisy podróży, zapiski osobistych wrażeń i charakterystyki wpływowych i znaczących osób. W ten to sposób *turysta*, w obec czytelnika przynajmniéj, wykupuje *męża stanu*, a książka staje się ciekawą i zajmującą.

Rok 1818 zapisuje się w dziejach Europy kongresem akwisgrańskim; w dziejach osobistych kanclerza austryackiego zapisuje się poprzednio podróżą do Karlsbadu, Francensbadu, Marienbadu i Johannisberga. Wstęp ten kongresu akwizgrańskiego jest ciekawym i charakterystycznym. W opisie jego czuć zadowolnienie miłości własnéj, czuć zwycięzcę, widać odzywającą się do wysokiego stopnia miłość własną, optymistyczne może nieco daléj przeświadczenie wyniesienia Austryi na stanowisko mocarstwa przeznaczonego raz na zawsze panować moralnie i politycznie w Niemczech. Posłuchajmy, co Met-

ternich pisze o sobie w liście z Frankfurtu nad Menem dnia 4 września: „Nie można sobie zrobić wyobrażenia o wrażeniu, jakie sprawiło moje ukazanie się na sejmie. Co może nie byłoby skończone nigdy, załatwiło się w trzech lub czterech dniach. Codziennie nabieram więcéj przekonania, że wielkich rzeczy dokonywa się tylko przez samego siebie. Wszystko, co się znajduje w drugim rzędzie, wikła się, zabija, nie postępuje. Stałem się rodzajem moralnéj potęgi w Niemczech a może nawet i w Europie, potęgi, któréj próżnia dałaby się uczuć, skoroby znikła a zniknie przecież, jak wszystko, co zależy od słabéj i biednéj natury ludzkiéj. Spodziewam się, że niebo udzieli mi jeszcze czasu potrzebnego do zrobienia niejednego dobra: jest-to mojém najszczerszém życzeniem.“

Wystawienie sobie samemu podobnie pochlebnego świadectwa, podobny objaw tego, co medycyna trudniąca się obłędami umysłowemi podciąga pod kategoryą „manii wielkości,“ nie przeszkadza przecież barwnemu, zajmującemu, ciekawemu opisowi całéj téj podróży odbytéj przy boku Franciszka I wskroś Niemiec do Akwizgranu. Turysta i beletrysta górują tu znowu nad mężem stanu a opisy przejazdu przez Niemcy, pobytu we Frakfurcie czy w Kolonii rywalizują znów nie bez powodzenia z najlepszemi w tego rodzaju dziedzinie utworami. *Politycznie* przebija z nich radość z tryumfalnego przyjęcia cesarza austryackiego w Niemczech, a równocześnie pewne, ciche zadowolnienie z upokorzenia Prus i króla Fryderyka Wilhelma IV. „Przybyłem,“ pisze Metternich, „o godzinie siódméj do Kolonii. Nieprzeliczony tłum wyległ naprzeciw cesarza. Moje sześć koni i powozy mego orszaku spowodowały, że mnie wzięto za niego. Nadmiernie zatrzymywałem się co pięć minut, aby zapewniać lud, że się myli i że nie zasługuję na tyle honorów. Nic to nie pomagało. Doszedłszy do pierwszéj bramy, pochód rozpoczął się w najlepsze. Dzwony, wiwaty, szał ludności sześćdziesięciotysięcznéj około mego powozu, stłumiły mój głos i Gentza, którego przypadkowo spotkałem w Bonn i zabrałem z sobą. Zaledwie mi się udało uniknąć tego, że mi nie odprzężono koni. Byłem wściekły a Gentz drżał na całém ciele. Usłyszałem jeden tylko głos rozsądny w tym tłumie. Człowiek pewien, którego zapewniałem, że to *ja* jestem, odpowiedział mi: Kochamy dosyć *naszego* cesarza, aby krzyczeć dwa razy, jeżeli nim nie jesteś! Przybywam nareszcie do hotelu starego patrycyusza Geygera. Pan, pani i córki jego, panny których nigdy nie widziałem, opanowały moję osobę przy wysiadaniu z powozu. Byłem okryty młodemi i staremi pocałunkami; cały dom płakał, krzyczał i klął. Płakał z radości, ściskając mnie, ministra Austryi; krzyczał: „Niech żyje Cesarz!“—klął przeciw przeznaczeniu zmieniającemu dawny po-

rządek rzeczy. Otoczony wszystkiemi powagami miasta, wciągnąłem całą rodzinę do pokoju i błagałem ją, aby przecież była rozsądną. Odpowiedzieli mi samorzutném i kategoryczném zaręczeniem, że rozumieją w *tén* właśnie sposób być nimi i że nie chcą nimi być inaczéj. Począłem pojmować, że racye moje rozbiją się w obec podobnego postanowienia i oddałem się pocałunkom z heroiczną rezygnacyą. Powrócony wolności, spostrzegłem, że Giroux (kamerdyner księcia) znajduje się w objęciach służby; zdawała się nie widziéć, że zaniedbał swą brodę od przeszło tygodnia. Cesarz przybył nareszcie do swego hotelu, o dwoje drzwi ode mnie, a tłum i pocałunki przeniosły się o dwadzieścia kroków dalćj. Z pewnością, gdyby ktoś przypuszczał, że szczęście, iż się było Francuzem a że się jest Prusakiem, przemazuje w Kolonii i nad Renem pamięć dziewięciu wieków, myliłby się bardzo. Prasy drukarskie stękają tymczasem pod tém kłamstwem! Podróż nad Renem była ciągłym tryumfem dla cesarza i stawała się dlań kłopotliwą. Cały jéj charakter powtórzył się na nowo jak najpiękniéj za jego przybyciem do Akwizgranu. Wszystko oddycha tylko cesarstwem w rodzinném i ukochaném mieście Karola W. Lud widzi tu tylko w cesarzu jego następcę; milczy, gdy którybądź z innych monarchów przejeżdża, nie przestaje krzyczeć tłumnie: „*Niech żyje nasz cesarz!*" wszędzie, gdzie się tylko cesarz pokaże. Położenie Akwisgranu, którego wspomnienie nie jasne przed 26 lat wyniosłem, jest bardzo malownicze. Okolica przedstawia wiele urozmaicenia i bardzo bogatą kulturę. Pogoda wspaniała i wyzywa do przechadzki. Jesteśmy wszyscy bardzo dobrze pomieszczeni a środki, zapobiegające tłumnemu kupieniu się dyplomatów, sprawiają, że mamy dość dużo miejsca. Zwiedzaliśmy dzisiaj po południu z cesarzem katedrę. Król pruski przybył tam również, ponieważ nie widział jeszcze relikwij, które się wszystkie datują jeszcze od Karola W. a które wystawiają na widok publiczny tylko co 7 lat, lub téż, skoro która z głów koronowanych katolickich przybędzie je zwiedzić. Pokazano nam: 1) małą sukienkę Jezusa Chrystusa, którą nazywają w Wiedniu *Kinder-Rückel*, 2) suknię Matki Boskiéj, 3) przepaskę, którą Jezus Chrystus miał na krzyżu, 4) chustkę, w której Herodiada przyniosła głowę św. Jana Chrzciciela. Niechaj kto chce, nie wierzy w autentyczność wspomnianych przedmiotów; nie mniéj przecież jest rzeczą prawdziwą, że Karol W. dał je kościołowi przed 1.000 laty i że ten monarcha mógł je tylko nabyć ako noszące ślady najodleglejszéj starożytności. Wyborne ich zachowanie należy tylko przypisać nadzwyczajnym, podjętym około nich staraniom. Pokazują także czaszkę tego cesarza i wiele jego kości, dowodzących, jak wysokiéj był postawy. Na grobie jego po-

stawiono klęcznik, gdzie cesarz odprawiał swoję modlitwę. Lud, który otworzył gwałtem drzwi, aby widzieć tamże cesarza, poklakł natychmiast, a króla (pruskiego) znalazłem bardzo źle umieszczonego stojącego pośród swego ludu. Na jego miejscu nie byłbym wcale przychodził. Cesarz Aleksander przybył tu tegoż samego dnia wieczorem. Przepędziłem u niego trzy godziny i znaleźliśmy się, jak w roku 1813. Rozpoczęliśmy dzisiaj nasze konferencye pod najlepszemi wróżbami i mam powód spodziewać się, że nam będzie trzeba trzech a najwięcéj czterech tygodni, aby nasze sprawy załatwić. Rezultaty będą jak najpowszechniéj zadowolniającemi. Cesarz Aleksander przybędzie ztąd do Wiednia. Nie ma już mowy o jego podróży do Włoch. Nie przypuszczam, aby jego pobyt w Wiedniu mógł trwać dłużéj nad dwa tygodnie, 1 Grudnia tedy wszystko powróci do dawnego porządku."

Przytoczyliśmy umyślnie powyższy długi list Meternicha, raz dla tego, aby dać naszym czytelnikom próbę jego stylistyki, następnie aby na żywym przykładzie jego własnych słów udowodnić jego usposobienie dla Prus i króla Frydryka Wilhelma III, jego niewczesne żale z powodu usadowienia się nad Renem rywalizującego odwiecznie z Austryą mocarstwa, do którego wzrostu i rozrostu, dzięki swéj polityce z roku 1813, sam nieskąpą miarą się przyłożył. Obecnie zastępują u niego mała zazdrość i cichy gniew akcyą wielkiéj polityki, która tak doskonale chybiła w stanowczéj chwili; szczegóły téj zazdrości i tego kłopotu zobaczymy jeszcze niżéj...

Głównym rezultatem kongresu akwizgrańskiego było ze strony monarchów koalicyi postanowienie ewakuacyi Francyi. Innych następstw zjazdów chwilowo nie miał, ponieważ ferment rewolucyjny lat późniejszych nie jest jeszcze ani tak groźnym, ani tak widocznym w r. 1818, a żale i podejrzenia konserwatywne Metternicha zwracają się raczéj przeciw liberalizmowi gabinetów berlińskiego i petersburskiego, przeciw Hardenbergom, Capodistriom i Pozzo di Borgo, aniżeli przeciw wyczekującemu naówczas jeszcze i cierpliwemu liberalizmowi ludowemu.

Cichą stosunkowo i pogodną w zawodzie politycznym Metternicha epokę między rokiem 1818 a 19 wypełnia korespondencya jego z cesarzem Franciszkiem, któréj przedmiotem są *Prusy*. Kto wie, coby się było stało daléj, gdyby wewnętrzne zaburzenia Niemiec, gdyby groźniejsze od nich wstrząśnienia ludów romańskich nie były zwróciły uwagi męża stanu austryackiego w inną stronę i zmusiły go, niepotrzebnie może, poszukiwać raczéj w dziele okiełznania ducha europejskiego, *przymierza* gabinetu berlińskiego, aniżeli ubiedz go i upokorzyć na widowni niemieckiéj. W zimie z r. 1818 na 19

widzimy wyjątkowo, że Metternich dąży z jednéj strony do upokorzenia Prus przez Austryą, z drugiéj do zadowolnienia wołań ich ludności przez nadanie im nowego organizmu politycznego na wewnątrz. Jakżeż wymownym pod tym względem list Metternicha do cesarza Franciszka jeszcze z przedkongresowéj epoki! „Wasza cesarska mość znajdzie tutaj w załączeniu kilka sprawozdań p. Händla (konsula austryackiego we Frankfurcie nad Menem). Przekona się w. c. mość z nich, jakie ją czeka przyjecie nad brzegami Renu. Znam uczucia ludności nadreńskiéj i uważałem za obowiązek radzić w. c. mości jechać wzdłuż rzeki, ponieważ jestem przekonany, że podróż ta przybierze charakter prawdziwego tryumfu. Zresztą zadadzą demonstracye prowincyj nadreńskich dotkliwy cios stronnictwu źle usposobionych. Objawy szczere i samodzielne kilku kroć stu tysięcy ludzi warte więcéj i przekonywają wymowniéj, aniżeli deklamacye profesorów i uczniów Jeneńskich. Na tymczasem, podróż cesarza Aleksandra i króla pruskiego nie będzie w niczém podobna do podróży w. c. mości. Jestto wypadek, który będzie miał dla Niemiec z pewnością szczęśliwe następstwa.“ Z drugiéj strony znajdujemy obok owéj dążności upokorzenia Prus, chęć, jak dopiéro powiedziano, obdarzenia ich nowym organizmem politycznym. Pod *tym* względem nie można odmówić kanclerzowi austryackiemu ani trafności oka, ani praktyczności spostrzeżeń. Metternich zna i rozumie Prusy; rozumie je i pojmuje lepiéj ich tradycyjny charakter aniżeli wszyscy ideolodzy pruscy. Odpowiednio do dziejowéj ich genezy i ustroju politycznego, na jaki się złożyły wieki a jakiego zmienić na prawdę nie mogło być zadaniem i dziełem ani jakiejś liberalnéj fantazyi, ani kawałka papieru, uważał kanclerz austryacki akt centralizującéj reprezentacyą kraju ustawy konstytucyjnéj za równie niepraktyczny, jak kłamiący istocie rzeczy. Był więc i oświadczał się w korespondencyi swéj z gabinetem berlińskim stanowczym przeciwnikiem *takiéj* konstytucyi dla Prus, kiedy natomiast przemawiał bardzo gorliwie za reprezentacyą stanową i prowincyonalną kraju. Nawiasowo powiedzmy, że rada ta zwyciężyła i znalazła się wprowadzoną w życie przez tak zwane, późniejsze z roku 1823, prawodawstwo stanowe.

Pogodnie stosunkowo rozpoczął się rok 1819; stan Austryi, Niemiec, Włoch nie zwiastował żadnéj politycznéj chmurki i z rychłą wiosną tegoż roku widzimy Metternicha puszczającego się wraz z ces. Franciszkiem w podróż do Włoch. Podróż ta odsłania nam w kanclerzu austryackim znów i przedewszystkiém to, czém się urodził i na co go Opatrzność stworzyła,—znakomitego turystę, literata, ściśléj jeszcze powiedziawszy, *felietonistę*. Ostatni ten wyraz bierzemy

najdosłowniéj, bez żadnéj przenośni. Metternich jest na prawdę w ciągu swéj podróży, sięgającéj przez Florencyą, Rzym, Neapol, Pompei, Puzzuoli, korespondentem wychodzącego w Wiedniu pod redakcyą nadwornego radcy Pilata pisma pod tyt. *Oestreichischer-Beobachter* a korespondencye jego i wrażenia podróży mogłyby bez przesady być ozdobą każdego pierwszorzędnego czasopisma europejskiego. Opisy czy to piękności natury, czy arcydzieł sztuki, czy przedmiotów starożytności są pełne wdzięku, znajomości rzeczy i zręczności pióra. Wśród wszystkich tych rozkoszy otaczającego świata przecież *latet anguis sub herba*...

Kiedy cesarz Austryi wraz ze swym kanclerzem lubują się w pięknéj naturze Włoch, kiedy Metternich opisuje z wdziękiem i szczegółowością prawdziwego znawcy i człowieka nauki gmachy, posągi i obrazy muzeów florenckich i rzymskich lub wykopaliska pompejańskie; kiedy monarcha jego odbywa podróż swą po półwyspie apenińskim jako uznany małych królów i książąt włoskich władzca,—nadchodzi z Niemiec wiadomość o zamordowaniu w Mannheimie profesora Kotzebue'go przez Sanda. Był to bez wątpienia wypadek, pominąwszy smutną jego stronę moralną, nie bez charakterystycznego znaczenia; świadczył wymownie o usposobieniu niemieckich uniwersytetów, o fermencie niezadowolnienia ogarniającym coraz szersze warstwy społeczeństwa niemieckiego. Bez wątpienia nie można było uniknąć ani ukarania winnego, ani rozpatrzenia się w pobudkach jego czynu, ale zarazem wywoływał podobny pojaw natarczywie badawczość i zastanowienie prawdziwego męża stanu w kwestyi polityki przyszłości. Zrozumiéć a następnie ogarnąć swą działalnością ferment, pokierować nim może umiejętnie ku własnym celom,—otóż zadanie, jakie się otwierało daléj i szerzéj patrzącemu mężowi stanu Niemiec i stanowiącéj naówczas część ich Austryi. Inaczéj Metternich. Dla niego istnieje tylko polityka represyi. W fermencie niemieckim nie może się, czém był, dopatrzéć pożądanego materiału dla zadań przyszłościowej polityki austryackiéj, lecz jedynie tylko objaw buntowniczego ducha, który psuje dzieło europejskie traktatów wiedeńskich a który jedynie tylko środkami represyi powściągnąć należy. Myśl ta zasadnicza polityki Metternicha powtarza się na tysiączne odmiany w listach jego z podróży włoskiéj do Gentza i daje początek słynnemu w swoim czasie kongresowi karlsbadzkiemu z r. 1819.

Pomysł tego kongresu rodzi się w czasie podróży włoskiéj, może pod dachem ambasady austryackiéj w Neapolu, któréj reprezentantem jeszcze od czasów nieszczęsnego króla Joachima jest ciągle rodak nasz książę Jabłonowski. Zadaniem zaś zamierzonego, nowe-

go monarchiczno-ministeryalnego zjazdu ma być 1) okiełznanie uniwersytetów przez nałożenie wędzidła profesorom i związkom uniwersyteckim, 2) ograniczenie swobody prasy, 3) ustanowienie osobnéj komisyi śledczéj. Dzieło to przygotowuje się powoli w czasie podróży włoskiéj, dojrzewa za powrotem z niéj w naradach między Gentzem a Meternichem w Wiedniu, przychodzi do skutku w ciągu lata na widowni karlsbadzkiéj. Kanclerz austryacki charakteryzuje swe zadanie i oddaje sobie samemu sprawiedliwość w następnym liście do żony z dnia 26 Lipca z Karlsbadu. „Niepisałem do ciebie przez pierwszego, wyprawionego ztąd do ciebie kuryera, ponieważ nie znalazłem na to czasu. Udam się jutro do Teplic, gdzie przepędzę całe trzy dni. Chwila obecna jest chwilą życia lub śmierci. Zdaje się, że Teplice są miejscem przeznaczoném do mych wielkich czynności. Za pomocą boską, spodziewam się pobić rewolucyą niemiecką zupełnie w sposób podobny, jak zwyciężyłem zdobywcę świata. Rewolucyoniści niemieccy sądzili, że jestem daleko, ponieważ się znajdowałem o 300 mil. Omylili się; trzymałem się pośród nich a teraz wymierzam swe ciosy. Znalazłaś dziwną wspólność między odkryciami i aresztowaniami w Prusach i Niemczech a moją przeprawą przez Alpy. Przypuszczam, że się przekonają o tém nareszcie, skoro się dowiedzą, że Niemcy gromadzą się tutaj około mnie. Hrabia Münster jest tutaj; Rechberg, Winzingerode, Berstett, baron Marschall, minister kierujący sprawami nassauskiemi i Bernstorff (Prusak), znajdą się tutaj około 1 Sierpnia. Podejmiemy wielką sprawę. Czy będzie dobrą? Bóg to zdecyduje. Nazywam ją wielką, bo z niéj wyniknie ocalenie lub obalenie ostateczne porządku społecznego. Wszystko to zostaje między nami.“

„*Wielka sprawa*“, jak ją nazywa kanclerz austryacki, powiodła się najzupełniéj. Okiełznano niemiecką prasę i uniwersytety niemieckie; utworzono komisyą śledczą w Moguncyi ku śledzeniu tak zwanych demagogicznych agitacyj. Wyniknęłoż ztąd jednakże, jak Metternich pisał i tryumfował, „*ocalenie ostateczne porządku społecznego*?“ Broń Boże! Urósł tylko w Karlsbadzie stos represyjnych postanowień, które świecą do dziś dnia przysłowiowo niepopularnością w Niemczech, które świadczą o dziwném krótkowidztwie politycznem przechwalającego się ich autorstwem kanclerza Austryi, które zabiły moralnie i politycznie stanowisko jéj w Niemczech i opinii publicznéj niemieckiéj, które w ostatecznym rezultacie rezultatów pokazały się w najściślejszém znaczeniu tego wyrazu robotą „*pour le roi de Prusse.*“ Metternich, późniéj nieco, wypowiada następną maksymę polityczną, któréj praktyka przecież objawia się już w czasie zjazdu karlsbadzkiego i stanowi jądro jego postanowień. „Istnieje tak dla

indywiduów, jak dla państw wspólna reguła postępowania, stwierdzona doświadczeniem wieków i dni dzisiejszych; reguła ta brzmi: że nie trzeba pośród wzburzenia namiętności myśléć o reformach; rozsądek wymaga, aby w podobnych chwilach ograniczać się na utrzymaniu stanu obecnego..." Reguła ta praktykowana przez cały ciąg rządów Metternicha wydała dla Austryi owoce, które miały dojrzéć w pożodze roku 1848, lepiéj jeszcze na polach bitew pod Solferino i Sadową...

Przy tego rodzaju widzeniu rzeczy, przy podobnych pojęciach i zasadach, nie spodziewajmy się naturalnie, aby kiedykolwiek w ciągu téj roboty była w umyśle austryackiego kanclerza zaświtała wątpliwość co do wartości i skuteczności jego roboty. Przeciwnie: on zadowolniony z siebie i ze swego dzieła; pali sam sobie nie skąpo kadzidła, mówi najpoważniéj o jego wielkości i niespożytości wiekowéj. Podobnym duchem tchną wszystkie jego listy, memoryały i rozmowy z epoki po karlsbadzkiéj, z końca r. 1819

W zimie z tegoż roku na następny odbywają się jeszcze w Wiedniu ministeryalne konferencye; pieczętują one ostatecznie różnemi szczegółowemi dodatkami dzieło karlsbadzkiego zjazdu ku wielkiemu znów tryumfowi kanclerza austryackiego, który, jeźli wśród ogólnego zadowolnienia i pochwał na każdéj niemal stronnicy niniejszego dzieła sobie nieszczędzonych, zaniepokojony i rozdrażniony czémkolwiek, to postawą cesarza Aleksandra a nadewszystko jego ministra Capodistrii, nienawistnego mu jako Greka, podejrzanego jako wyznawcę ówczesnych liberalnych opinij. Metternich, kształtując porządek rzeczy europejski na podstawie konserwatyzmu religijnego, politycznego, społecznego; uważając go za oparty niewzruszenie na gruncie stypulacyj wiedeńskich, okazuje dziwną czułość, dziwną drażliwość na jakibądź objaw tego, co się w jego języku nazywa *liberalizmem.* Piżmo jego trąci mu wszędzie, czy to z łamów peryodycznéj prasy, czy to z „*komersów*" uniwersyteckich, czy z gabinetów dworów europejskich nawet, a nie ręczylibyśmy, rozpatrując się w jego pamiętnikach, memoryałach i korespondencyi, czy w barometrze jego gniewów i drażliwości *ostatnie* właśnie nie najwyższego dochodzą stopnia. Hardenberg w Berlinie, Canning w Londynie, Capodistria w Petersburgu,—otóż jego stałe nienawiści, powtarzające się z utrapieniem istnych widziadeł nocnych na każdéj stronicy jego zapisek. Uprzywilejowane przecież miejsce w tych jego nienawiściach zajmuje dwór petersburski, dla tego może właśnie, iż *zawodzi* jego konserwatywne nadzieje i oczekiwania.

Wspomniane dopiéro co ministeryalne konferencye wiedeńskie ciągną się przez pierwszą połowę r. 1820. Przebieg ich, odbywający

się ku najzupełniejszemu zadowolnieniu Metternicha, przerywa w dniu 6 Maja 1820 śmierć jego córki Klementyny...

Wogóle, zauważmy przy téj sposobności,—nie jest książę kanclerz austryacki ani szczęśliwym ojcem, ani szczęśliwym mężem. W czternastoletnim przeciągu czasu, który obejmują niniejsze dwa tomy jego pamiętników, traci pierwszą żonę, dwie córki i syna Wiktora,—wszystko już w dojrzalszym wieku. Wiktor mianowicie był obiecującym młodym człowiekiem i zajmował dyplomatyczne stanowiska w Londynie i w Paryżu jako sekretarz ambasady austryackiéj. Jeżeli zaś ze stanowiska czy to odmiennych przekonań, czy doświadczeń historycznych dałoby się wiele zarzucić księciu Metternichowi jako mężowi stanu, nakazują prawda i sprawiedliwość oddać mu wszelką cześć i uznanie jako głowie familii. W obec każdéj nowéj trumny w łonie jego rodziny, jakże rzewne objawy uczucia i serca odzywają się ze strony człowieka, którego *polityka* wcale sercową nie jest, który równocześnie pod twardym swym kluczem czy to pod *dachami ołowianemi* pałacu dożów, czy to w Kufszteinie lub na Spielbergu trzyma Confalonierich, Pellicików i Maroncellich! Z jakąż smutną lubością opisuje w swych listach kanclerz austryacki miejsce ostatniego spoczynku swego sędziwego ojca; z jakimże melanholijnym spokojem i bólem skreśla od godziny do godziny nieledwie postęp śmiertelnéj choroby córki swéj Klementyny; z jakąż czcią dla jéj pamięci daje polecenie zaprzyjaźnionemu z sobą, najsłynniejszemu swéj epoki portreciście, malarzowi angielskiemu Lavrence, uwiecznienia jéj rysów na płótnie! Na ubocznéj owéj dziedzinie rodzinnego życia, niewiadomo, co tu bardziéj podziwiać, czy serce i wrażliwość uczucia męża i ojca, czy też znakomitość pióra, umiejącego podobnym uczuciom dać równie artystyczny, jak naturalny wyraz...

Lekarstwem na stłumienie owych cierpień i bólów rodzinnego życia jest dlań. jak sam powiada, *praca*, praca polityczna, któréj charakter i dążność znamy, któréj ostatecznym celem nałożyć Europie wędziło, ścisnąć jéj rwącego się ku odmiennym przeznaczeniom ducha w kleszcze wiedeńskiego szablonu. Środkiem do podobnego celu zjazdy i kongresy, udyscyplinowanie, jeźli tak wolno powiedzieć, gabinetów europejskich w kierunku zachowawczości *jego* autoramentu. Hasłem zwoływania podobnych kongresów jest regularnie jakibądź wybuch czy objaw rewolucyjny w jakimbądź zakątku europejskim; jednostajną ich bronią materyalna represya bez głębszego liczenia się z przyczynami i powodami...

Wśród podobnych to kłopotów rodzinnego i prywatnego życia, wśród podobnych prac i zajęć politycznych, widzimy znów, w miesiącu Lipcu r. 1820 Metternicha wybierającego się na zwykły swój

wypoczynek i pobyt karlsbadzki, gdzie wolny na chwilę od codziennych swego stanowiska zatrudnień, spędza czas w towarzystwie wspomnianego przez nas co dopiéro malarza Lawrence'a. Jestto właśnie przeddzień wybuchu rewolucyi neapolitańskiéj, któréj bezpośrednim rezultatem na kontynencie europejskim ma być znowu nie co innego, jak zwołanie nowego kongresu, na ten raz w Opawie, znów naturalnie pod patronatem i za inicyatywą kanclerza austryackiego. Nim jednakże, trzymając się w sprawozdaniu naszém o ile możności porządku chronologicznego, potrącimy o przebieg i niektóre szczegóły, tego nowego kongresu,—niechaj nam w interesie prawdy historycznéj faktu innéj, odleglejszéj, choć dla tego nie mniéj ciekawéj epoki,—będzie wolno dotknąć nawiasowo również nawiasowéj uwagi ze współczesnych zapisek Metternicha. Wykaże nam się ztąd problematyczność głębokości historycznéj Thiersa, wykaże nam się, co więcéj może, prawda zasadniczéj natury i jak niebezpiecznėm dla jakiegobądź parweniuszostwa jest zetknięcie się z powagami i firmami staréj daty. Thiers, traktowany w pamiętnikach Metternicha z pewném arystokratyczném lekceważeniem jako parweniusz i demagog, spotykał się z nim po dwa razy, we Włoszech r. 1838, w Bruxelli r. 1852. Thiers brał wszystkie opowiadania Metternicha z istną pokorą parweniusza zaszczyconego towarzystwem wielkiego pana, bez dobrodziejstwa inwentarza, na seryo. Między innemi np. twierdzi na podstawie owych Metternichowych zwierzeń, iż Napoleon mógł w r. 1813, po zawieszeniu broni w Poischwitz, uzyskać pokój z pośrednictwem i neutralnością Austryi, gdyby w *końcu* Czerwca, podczas konferencyi z Meternichem w Dreznie, nie był z lekceważeniem własnego i Francyi interesu, odrzucił propozycyj austryackich. Ztąd naturalnie zwala odpowiedzialność dalszéj wojny i jéj nieszczęsnych dla Francyi następstw na karb Napoleona. Cóż tymczasem znajdujemy w poufnéj korespondencyi Metternicha? „*1 Czerwca 1820.* Dzisiaj siedm lat opuściłem Wiedeń w towarzystwie cesarza, który jechał objąć dowództwo wojsk zgromadzonych w Czechach i około tegoż kraju. W tejże saméj godzinie, w któréj kreślę niniejsze wyrazy, spotkałem Nesselrodego przejeżdżającego przez pewną wieś. Myślał, że siedzimy jeszcze spokojnie w Wiedniu. Doręczyłem mu depeszę dla cesarza Aleksandra, depeszę tak lakoniczną, że sobie jeszcze ją dzisiaj przypominam słowo w słowo. Była zredagowana w sposób następny: N. Panie, jesteśmy na miejscu, cierpliwości i zaufania! Zobaczymy się w przeciągu trzech dni, a w sześć tygodni będziemy sprzymierzonymi. Zaufanie nie istniało jeszcze, znalazło się późniéj i było usprawiedliwionėm. Co do cierpliwości, znalazła się również, ponieważ byliśmy zdecydowani najzu-

pełniéj nie spieszyć się.“ Jasny w tém poufném zwierzeniu dowód, że Austrya już w pierwszych dniach Czerwca 1813 była zdecydowaną stanąć po stronie koalicyi przeciw Francyi, że zwłoka była jéj potrzebną do dokończenia uzbrojeń i przygotowań wojennych, że propozycye austryackie w Dreznie nie były Napoleonowi robione na seryo, że Napoleon poznał się na nich, a że Thiers, twierdząc inaczéj, pozwolił się po prostu Metternichowi wyprowadzić w pole...

Wracając po tym nawiasie do głównego naszego przedmiotu, spotykamy się w miesiącu Lipcu 1820 w zapiskach Metternicha z wrażeniami rewolucyi neapolitańskiéj czyli owego tragikomicznego wybuchu, który wystrzeliwszy deklamacyą, miał się skończyć sromotnym systemem ucieczki... Że kanclerz austryacki znajdzie w owéj „*rewolucyi*“ dostateczny argument do zwołania nowego kongresu i że pomyśli o europejskiéj represyi, uważamy, znając go, za rzecz wielce naturalną. Co natomiast ciekawsza, to że wybuch neapolitański przypisuje wpływom rosyjskim, przy czém znów naturalnie Capodistrii dostaje się główna część winy... Ostatnie miesiące roku 1820 spoglądają tedy na widowisko monarchiczno-ministeryalnego zjazdu w Opawie, który postępując w swej zachowawczo-represyjnéj robocie daléj, przenosi swe penaty na pierwsze cztery miesiące roku następnego do Lublany. Że kongres ten w zapiskach Metternichowych jest znów wielkiém i wiekopomném dziełem, że największą jego zasługę ma książę kanclerz austryacki a że rezultatem jego może być tylko represya, zbyteczną prawie powiadać rzeczą. Posłuchajmy tymczasem zwierzeń księcia o kongresie.

„*6 Stycznia 1821.* Dzisiaj święto Trzech Króli· Trzéj monarchowie zgromadzili się w téj chwili; otóż, to się zdarza wyśmienicie. Jesteśmy bardzo grzeczni i urządzimy w ten sposób, że stary Ferdynand (król neapolitański) wyciągnie migdał. Drugi to raz dostaje mi się zadanie postawienia go na nogi, zwłaszcza, że ma zły zwyczaj ciągłego upadania na nowo. Wielu przecież królów wyobraża sobie, że tron jest krzesłem, na którém można wygodnie zasypiać. Cokolwiekbądź, w roku 1821, jest takie krzesło bardzo mało wygodne do spania i bardzo źle wysłane... Mój dostojny monarcha przybył dzisiaj. Od długich miesięcy miałem dopiéro jeden dzień spokojny; był nim wczorajszy. Są to wyjątki w mojém życiu, które sobie pamiętam. Jutro przybędzie cesarz Aleksander a pojutrze król neapolitański. Obowiązki, które mam do spełnienia są na nieszczęście tego rodzaju natury, iż byłoby mi bardzo przyjemnie nie przedsiębrać nowego zadania po skończeniu pierwszego. Kategoryczny frazes zmarłego księcia Lawal stosuje się bardzo dobrze do spraw,

które mnie zatrudniają. Mówił mi dnia pewnego: Nie pożyczam nigdy nikomu ani jednego solda. Pocóż miałbym to robić? W najkorzystniejszém przypuszczeniu oddanoby mi tylko moje pieniądze. Jest w tym aksiomacie niezaprzeczalna prawda.

„*10 Stycznia*. Jeśli się ziemia nie rozstąpi, jeśli się niebo nie zapadnie lub jeśli hultaje najnędzniejsi i najtchórzliwsi świata nie wytępią zupełnie poczciwych ludzi pełnych dobréj woli i energii, wygramy naszą sprawę. Capodistria skaka jak dyabeł w święconéj wodzie; lecz jest w niéj zupełnie zanurzony i nie może nic zrobić. Głównym czynnikiem działalności, którą rozwijamy w téj chwili, jest moja zupełna zgoda z cesarzem Aleksandrem. Pod tym względem sprawia herbata cuda, jak w przeszłych latach.“

Proces został istotnie wygrany, według wyrażenia Metternicha; kongres mimo protestów reprezentantów neapolitańskich postanowił zbrojną interwencyą przeciw rewolucyi na półwyspie apenińskim, wykonawcą jéj uczyniła się Austrya. „Dzisiaj,“ pisze Metternich pod dniem 6 Lutego, „przeprawia się 60.000 ludzi przez Po. W przeciągu mniéj, niż trzydziestu dni zasiędą na kurulnych krzesłach prawodawców partenopejskich, co dowiedzie, że umiem się *nie* wahać. Moi nieprzyjaciele przekonają się, że im jestem bardzo niewygodny. Proklamacya austryacka jest dobra, prosta i bez frazesów. Doznaję dzisiaj tego samego uczucia, jakiego doznawałem 15 Sierpnia 1813. Jestto przecież wielkim ciężarem mieć armią na swych barkach.“

Wiadomy aż nazbyt dobrze, przysłowiowo już nawet, przebieg owéj represyi neapolitańskiéj. „*Nie skończę po neapolitańsku*“, mawiali generałowie współcześni innych narodów znajdujących się w podobném położeniu. Bez krwawych spotkań, bez trudu, wyjąwszy marszów, odbyła się przechadzka Austryaków, od równin Lombardyi do ostatniego cypla Kalabryi, dzieło restauracyi w Neapolu było spełnione; reakcya burbońska rozkoszowała. Wartoż było a nadewszystko miałże Metternich prawo tryumfować z owéj bezkrwawéj kampanii, szczycić się jéj rezultatem jako prawdziwém zwycięztwem, przypisywać nadewszystko sobie samemu zaszczyt owego zwycięstwa i stawiać sobie pomniki w zwierciedle własnéj próżności? Jakiekolwiek przecież są istotne tytuły kanclerza austryackiego do oddawania sobie z tego powodu pochwał, nie szczędzi ich na każdéj stronicy swéj korespondencyi, tém więcéj, że szczęśliwy przypadek pozwala mu przy sposobności téj kampanii, jakoby po drodze, zbierać nowe laury. Z wiosną roku 1821 był ruch neapolitański stłumiony, większa część armii austryackiéj miała się z powrotem do Lombardyi. W tém, pod koniec Marca 1821 rzuciła jéj łaska losu niespodziany,

tryumf pod nogi. Nastąpił wybuch wojskowy w Piemoncie, którego sprawcą, jak późniéj (za ukazaniem się interwencyi austryackiéj) zdrajcą, był przyszły król Karol Albert. Zgnieść go, poniżyć i zgnębić moralnie i politycznie następcę piemonckiego tronu,—cóż znowu za tryumf dla Metternicha, cóż za nieprzebrane źródło samochwalczych wykrzykników! Skreśla siebie jako atletę, który raz na zawsze powalił o ziemię rewolucyonizm europejski, powiada z najpoważniejszą miną, że od Karlsbadu i Lublany będzie się datowała nowa era ludzkości, opisuje wreszcie swe wrażenia podróży po Niemczech, gdzie (mówi to zaś z pewną pogardą dla rewolucyjnych żywiołów kraju) „sukces jego jedna mu zwolenników i gdzie samiż studenci uniwersytetów lipskiego i hallskiego wznoszą mu łuki tryumfalne i wykrzykują wiwaty. Nawet znienawidzony Capodistria, nawet cesarz Aleksander, nie zdołali przeszkodzić „*wielkiemu i dobremu dziełu*“ a kongres lublański, którego postanowienia podpisują w imieniu swych monarchów Metternich, Vincent, Krusemark, Capodistria, Pozzo di Borgo i Nesselrode, kończy się dnia 12 Maja 1821, w tydzień zaledwie po zgonie Napoleona na odległéj wyspie Oceanu, bez wzmianki, bez wymówienia jego imienia wśród swego grona krótkopamiętnéj dyplomacyi europejskiéj. Wogóle co uderza w zapiskach kanclerza z owéj epoki, to uparte milczenie o wielkim mężu, któremu schlebiał i którego nienawidził zarazem, gdy był na szczycie powodzeń, którego najniepolityczniéj podkopał i na którym mścił się nikczemnie osobiście po jego upadku. Zaledwie ukazanie się książki O'Meare'a w r. 1822 daje mu powód do przerwania owego milczenia,—aby Napoleona wystawić jako szarlatana, poczciwego Irlandczyka jako dudka wyprowadzonego przezeń w pole.

Z rokiem 1821 widzimy tedy Metternicha w zenicie jego chwały i powodzeń, szczycącego się i zadowolnionego z odniesionych tryumfów, pogromcą rewolucyi, zbawcą porządku rzeczy europejskiego. Są jednakże właśnie w owéj chwili *dwa* kłopoty, *jeden* starszéj, *drugi* nowszéj daty, zakłócające pogodę męża stanu austryackiego i wywołujące jego antyrewolucyjną czynność. Pierwszym jest rewolucya hiszpańska, drugim powstanie greckie. Jeden i drugi kłopot tém dokuczliwszy, że niedosięgalny ramieniu austryackiemu. W Niemczech starczyła policya i komisya śledcza moguncka, we Włoszech dość było wypuścić na krzykaczy neapolitańskich czy piemonckich feldmarszałków Bubnę i Frimonta; sięgnąć jednakże z jednéj strony do Hiszpanii, z drugiéj do Grecyi było za daleko, a tu przedstawiała się na obie strony konieczność, jak Niemcy powiadają, wyciągania gorących kasztanów z ognia za pomocą innéj ręki. Ręką taką w Hiszpanii mogła być Francya i Anglia, w Grecyi Rosya, ale z jakiemiż

trudnościami, a doprowadzenie do skutku zamierzonego celu jakżeż wątpliwe. Na zachodzie izby angielskie i izby francuzkie ze swą opozycyą i z gotowemi protestami przeciw wszelkim próbom i pokusom reakcyi kontynentalnéj. Opinia publiczna zachodu mogła tylko krzywém okiem patrzéć na chęć gwałtownéj restauracyi rządów ponurego Burbona w Hiszpanii, podobnie jak opinia publiczna rosyjska, jak cesarz Aleksander, jak Capodistria przedstawiali bardzo niepewny żywioł wobec powstania greckiego. Dodajmy zaś ku nieszczególnemu zaszczytowi politycznego jasnowidzenia kanclerza austryackiego, że powstanie Greków przeciw panowaniu tureckiemu jest w jego oczach niczém lepszém i niczém inném od wszelkich współczesnych wybuchów rewolucyjnych europejskich i że dobrze zrozumiany interes konserwatyzmu wymaga na półwyspie bałkańskim takiéj saméj represyi, jaka staje się potrzebną na apenińskim i pirenejskim. Dodajmy, że ten tani i zdawkowy doktryneryzm, niegodny prawdziwego męża stanu, odsądzający Metternicha na wieczne czasy od prawa szczycenia się podobnym epitetem, podsycany nadto osobistą niechęcią do plemienia greckiego, trwa przez cały czas powstania Greków przeciw Turkom. Intrygując ustami i memoryałami przeciw Grekom w Petersburgu, Londynie i Paryżu, przeszkadzając im w dziele odzyskania niepodległości na drodze dyplomatycznéj, nie pomagając Porcie i nie mogąc zapobiedz ani protokółowi londyńskiemu z dnia 6 Lipca 1827, ani gromowi nawaryńskiemu, bawi się Metternich przez dziewięć lat na téj widowni w doktryneryzm konserwatywny, nie umiejąc z wypadków na półwyspie bałkańskim wysnuć najmniejszéj dotykalnéj korzyści dla Austryi. Jeżli co, to z pewnością powstanie greckie pozostanie najwymowniejszym kamieniem probierczym jego małéj wartości jako męża stanu. W pierwszych owych chwilach wybuchu greckiego ma przecież kanclerz austryacki wszelki powód być spokojnym co do Rosyi i spodziewać się, iż mimo Capodistriów czy Pozzo di Borgów będzie się trzymała względem Greków tychże samych, co on, podstaw i zapatrywań. Cesarz Aleksander kazał np. wykreślić z kontrol armii rosyjskiéj tych wszystkich oficerów, którzy się udali do szeregów powstańczych a dalsze szczegóły zachowawczéj polityki miały się urodzić i obmyślić na nowym kongresie...

Co się tyczy Hiszpanii, liczył kanclerz austryacki na osobiste usposobienie króla angielskiego i Castlereagha. W tym celu wybrał się w drugiéj połowie roku 1821 do Hannoweru i odbył z królem angielskim w Hannowerze szereg konferencyj, z których miał wszelki powód być zadowolnionym. Król Jerzy IV przeklinał głośno i bez ogródki rewolucyonizm europejski, wyrażał bez ogródki względem

niego te same usposobienia, co sam Metternich, i przedstawiał Castlereagha jako człowieka zaufania. Zżymał się przecież na opozycyjność reszty gabinetu i parlamentową większość, która mu na podjęcie dzieła restauracyi w Hiszpanii z pewnością nie pozwoli. Dla tego też przyjmuje późniéj, w r. 1822, Metternich istnie jak piorun z pogodnego nieba wiadomość o samobójstwie Castlereagha, po którym sukcesya gabinetowa dostaje się jego antypodowi politycznemu Canningowi. Metternich uważa przyjście Canninga do władzy za stanowczą klęskę swojéj polityki a uboższy nadzieją pozyskania *Anglii* dla represyi hiszpańskiéj, wybiera się w Październiku 1822 na kongres weroneński, stanowiący ostatnie ogniwo w pierścieniu owych zjazdów, za pomocą których usiłował utrzymać w kleszczach traktatów wiedeńskich wierzgającego przeciw nim ducha publicznego europejskiego. Wiadome rezultaty tego kongresu...

Wśród ciemnych protestów uwolnionéj już od kierownictwa Castlereaghowego Anglii, któréj reprezentant na dworze madryckim Sir Acourt sympatyzuje niedwuznacznie z rewolucyą,—podejmuje Francya wśród ironicznych powinszowań Austryi i Rosyi dzieło egzekutorki wyroków represyjnych kongresu Weroneńskiego przeciw Hiszpanii. Metternich nie umie powściągnąć objawów zadowolnienia najprzód ze stłumienia samejże rewolucyi hiszpańskiej, więcéj może jeszcze ze skompromitowania i poniżenia narzędzi, za pomocą których dzieła podobnego dokonywa. Francya, owa rewolucyjna Francya idzie gnieść i tłumić ruch hiszpański, którego ostatecznym celem tylko organizm polityczny, jaki sobie Francya sama przez morze krwi, w domu i poza domem wylanéj, wywalczyć potrafiła. W dodatku, jakoby ku skompromitowaniu i poniżeniu rewolucyi włoskiéj, znajduje się przy boku dowódzcy egzekucyi świętego przymierza księcia Angoulême, książę Carignanu, Karol Albert, odbywający w ten sposób pokutę za grzech udziału w awanturze piemonckiéj... Książę Metternich zaciera z radości ręce nad podobném widowiskiem, gdyby jéj tylko nie zakłócała postawa cesarza Aleksandra Capodistrii, Tatyszczewa wobec powstania greckiego. •Chwilowo jednakże odnosi i na tém polu przecież połowiczne zwycięstwo. Niebezpieczeństwo wojny między Rosyą a Portą ottomańską zażegnane chwilowo a kanclerz austryacki i mężowie stanu Rosyi zgadzają się na politykę kompromisową między sułtanem a zbuntowanymi jego poddanymi greckimi. Sułtan ma uznać ich swobodę religijną, obdarzyć ich pewnemi ulgami administracyjnemi, udzielić amnestyą; w zamian mają Grecy wrócić pod jego panowanie i uznać jego władzę. Otóż to rezultaty kongresu weroneńskiego na wschodniéj i zachodniéj widowni europejskiéj rewolucyi...

Odtąd to, od roku 1823, można powiedzieć, stanowi główny i najważniejszy kłopot Metternicha *sprawa grecka.* We Włoszech panuje ponura reakcya; w Hiszpanii rozkoszuje się Ferdynand VII swém zwycięstwem. W Anglii psuje mu, co najwięcéj, humor, liberalny Canning, we Francyi jakiś objaw opozycyjności parlamentarnéj, w Rosyi po dawnemu Capodistria lub Pozzo di Borgo, z Niemiec zadowolniony,—pozostaje na placu jedyna Grecya jako niezwyciężony kłopot, z którym sobie skutecznie i radykalnie poradzić nie umie, który, nie występując czynnie, zażegnywa ciągle samemi półśrodkami. Rozpatrując się nieco uważniéj w korespondencyi i całéj działalności politycznéj Metternicha z owéj epoki, rozpatrując się w jego współczesnych memoryałach i instrukcyach posełanych hrabiemu Zichy do Petersburga, hrabiemu Apponyi do Paryża, księciu Esterhazemu do Londynu, nie można dość często powtórzyć tego, cośmy już powiedzieli, że sprawa grecka jest istnym kamieniem pobierczym nieudolności Metternicha jako męża stanu. Jedynym może politycznym argumentem, przemawiającym na rzecz jego polityki, jest przekonanie nie bez słuszności, że wypędzić Turków z Europy połączonemi siłami jest bardzo łatwém zadaniem, że jednakże największa trudność zależy na rozporządzeniu ich sukcesyą. Greków nie cierpi i odmawia im moralnéj i politycznéj kwalifikacyi zastąpienia Turków na półwyspie bałkańskim. Jedyny to przecież w całéj wschodniéj polityce kanclerza austryackiego argument istotnie przekonywającéj natury. Zresztą cechuje ją od początku do końca wieczny niepokój bez czynu i konserwatywny doktryneryzm. Metternich, nie licząc się ani z odgłosami opinii publicznéj europejskiéj, ani z rzeczywistém położeniem rzeczy, ani z naturą, czynnikami i charakterem greckiego powstania, nie upatruje w niém nic innego, jak objaw ogólnego rewolucyonizmu europejskiego, który jako szczerbę w budowie kongresu wiedeńskiego, czém-kolwiekbądź wypełnić i zamazać należy. Wyzyskać powstanie greckie dla Austryi, nie postoi mu ani na chwilę w głowie, całą jego namiętnością, całą jego dążnością stłumić je i przydeptać, co najwięcéj wśród pewnych ulg religijnych i administracyjnych, z dodatkiem jakiéj kulawéj amnestyi. W podobnéj, *grekożerczéj* dążności szuka sobie Metternich po całéj Europie sprzymierzeńców. W Październiku 1823 jedzie przez Galicyą do Czerniowiec na spotkanie z cesarzem Aleksandrem, w rok późniéj do Anglii, następnie do Francyi, późniéj w roku 1825 do Włoch. Nie można powiedzieć, aby jego polityka nie była uwieńczoną pewnym sukcesem. Cesarz Aleksander ulega wbrew usposobieniu swego otoczenia jego wpływowi i jakkolwiek sprzyjający może osobiście sprawie Greków, powstrzymuję się aż do ostatniego dnia swego życia

i panowania od wydobycia za nią miecza. W Anglii równoważą się ciągle z ostateczną korzyścią Turków prądy liberalne z tradycyjnemi sympatyami dla panowania tureckiego na wschodzie, w którego ruinach interesowi handlowemu i politycznemu Albionu tak łatwo i bezpiecznie się gnieździć. Francya czy to ostatnich dni Ludwika XVIII, czy pierwszych Karola X znajdowała się pod zbyt świeżemi wrażeniami swéj restauracyjnéj wyprawy hiszpańskiéj, aby tuż po niéj chciéć podejmować, mimo wszelkich sympatyj dla Grecyi, inną wręcz przeciwnego charakteru na półwyspie bałkańskim. Metternich zadowolniony z Francyi, z Karola X, z ministra jego Villèle'a, nie mniéj prawie aniżeli z Niemców i z usposobienia ich publicznego. Przejeżdżając wskroś Niemiec, spotyka się z samemi tylko wiwatami i bramami tryumfalnemi, a jak zaręcza, nie jest młodzież uniwersytecka właśnie w objawach podobnych ostatnią. Ważniejszemi przecież naturalnie są jego zdobycze moralne we Francyi, a pod tym względem posłuchajmy jego opowiadania z dnia 11 Kwietnia 1825 z Paryża.

„Mógłbym o tym przedmiocie (sytuacyi wewnętrznéj Francyi) napisać cały tom, lecz ponieważ cię zobaczę niezadługo, nie będę sobie téj pracy zadawał; zbywałoby mi zresztą na to czasu. Co jednak rzecz pewna, to, gdyby mi było trzeba czegoś innego od wewnętrznego mego przekonania, by wiedziéć, że zajmuję w świecie stanowisko zupełnie wyjątkowe, szczególne, jedyne, pobyt mój tutejszy w téj chwili wystarczyłby mi pod tym względem zupełnie. Stosunki moje z ministerium i królem z pewnością nie znajdują w przeszłości przykładów. Rzeczy zmieniają postać odpowiednio do tego, czy się patrzy na jeden peryod, czy też na całość wypadków, które dają zawsze pewien czas zastanowienia. *Ludzie uważają mnie jako rodzaj latarni, do któréj się zbliżają, aby się oświecić w nocy mniéj lub więcéj ciemnéj.* Nie mogę inaczéj skreślić tego, na co patrzę codziennie. Vilèlle i Damas chodzą i przychodzą do mnie, aby mi zadawać pytania, na które, Bogu dzięki, nie trudno odpowiadać. Skoro powiem moje zdanie, znajdują znakomitém, cokolwiek im powiem w materyi, w któréj bym bez zarumienienia się nie mógł powiedziéć nic innego. Możnaby sądzić, że ci poczciwi ludzie są przyzwyczajeni słyszéć: „*Nie wiem i nie rozumiem*", co jest odpowiedzią bardzo wygodną, zamiast odbierać śmiałe i stanowcze odpowiedzi. Nie mam, co do mnie, podobnych klęsk na sumieniu; otóż to dla czego znajdują, że ich latarnia oświeca. Pomiędzy wszystkiemi obowiązkami latarni, ten jest z pewnością najpospolitszym! Co widzę jasno, to że ambasador, jakiegobądź dworu wiedzący, iż ma racyą, to jest, który chce dobrego i który umie je wypowiedziéć bez ogródki, winien tu od-

grywać rolę bardzo znaczną. Pozzo np. byłby odegrał wybornie tę rolę, gdyby był dopełnil głównego warunku, jakiego wymaga. Miał przecież zawsze niesłuszność, a gdy rzecz ta stała się raz widoczną, osobistość spada niżéj od wszystkich, którzy ją otaczają. Takiém jest dzisiaj położenie p. Pozzo. Nawet skoro się zdarzy, iż odezwie się bezinteresownie, nie wierzy nikt jego słowom. Najwięcéj mu zaszkodziły finansowe spekulacye, które go niesłychanie zbogaciły. Wziął wielki udział w pożyczce dla kortezów; można sobie wyobrazić potém, jak głos jego jest uważanym w sprawie legitymizmu. Dla mnie mają najwięcéj interesu ścisłe stosunki, jakie się utworzyły między stronnictwem *czystem* a moją osobą. Łączność ta będzie miała szczęśliwe następstwa. Ludzie, będący na czele tego następstwa, cisną się około mnie pełni zaufania, a rozpatruję się dzisiaj jasno w ich czynach, w ich planach i w ich nadziejach, jak gdybym tu już był od długich lat. Niechaj ci starczy chwilowo zapewnienie że tutaj nawet, w samém wnętrzu wszelkiego złego, utworzyło się jądro prawdziwego dobra, które się rozszerza i utwierdza bez ustanku w kierunku prawdziwie praktycznym. *Czynność* jest to, co charakteryzuje Francuzów, a nie poprzestają nigdy na próżnych słowach. Widuję często Bonalda. Pociąga mnie mocno do siebie a jest daleko praktyczniejszym, aniżeli przypuszczałem. Obok tego odznacza się w wielu materyach niewiadomością głęboką, jakiéj we Francyi znaleść trudno. Ma rodzaj milczącego podziwu dla wszystkiego, co wiem i gdy odbywam rachunek sumienia, znajduję doprawdy, że między nami nie wydarzyło się przypadku, aby nie wiadomość była mnie strąciła aż na poziom tępoty. Powód, dla którego złe robi ogromne postępy tak łatwo, leży w tém, iż wystarcza być nieukiem, aby stać się bohaterem złego. Ostatniemi czasy powiedział mi Bonald piękne słowo mogące znaleść zastosowanie ogólne, powiedział: „Właściwością głupców, a tworzą większość w społeczeństwie, jest ich skłonność odkrywania trudności w dobrych rzeczach a łatwość w złych.“ Aksiomat ten jest słuszny; da się zastosować np., jak niemożna lepiéj do biegu, jakim postępuje ministeryum angielskie. W przymierzu z nami znajduje ten gabinet wszystko trudném, w stosunkach z liberalizmem znajduje przeciwnie wszystko łatwém. Człowiekiem bardzo praktycznym jest Franchet. Jest bardzo młody, w towarzystwie bardzo przyjemny, a nawet usposobienia wesołego. Mógłbym ci dać o ludziach znajdujących się tutaj u władzy, objaśnienia, któreby cię w tym przedmiocie zbudowały. Wczoraj miałem zaszczyt być na obiedzie u króla. Odkąd monarchia istnieje, widziano tylko dwa razy prostych śmiertelników zasiadających do królewskiego stołu: księcia Wellingtona w r. 1815 i lorda Moira w charak-

terze osobistego przyjaciela rodziny podczas wygnania. Toteż wypadek ten robi tutaj wiele hałasu, według usposobienia różnych stronnictw. Jestem pewien, iż więcéj, niż raz jeden powiedzą, że *swoboda prasy* została poświęcona na stole wczorajszego obiadu.“

Takich listów z epoki pobytu Metternicha w Paryżu mamy więcéj. Książę-kanclerz przegląda się tutaj w zwierciedle swojéj własnéj próżności; zadowolniony z siebie, zadowolniony z Francyi, przekonany, że potrafił zorganizować i natchnąć siłą oporu zachowawcze żywioły kraju, że zdołał zapobiedz wszelkiéj, sentymentalno-rewolucyjnéj interwencyi na rzecz buntowników greckich.

Takież samo uczucie pociechy wynosi z wycieczki do Włoch, w Maju 1825, krótko po śmierci żony. Podróż tę odbywa znów z cesarzem Franciszkiem, który na całym półwyspie odbiera hołdy „wszystkich zdrowo i dobrze myślących“, ku wielkiemu zmartwieniu i gniewowi „złych i przewrotnych.“ Jestto epoka powstania greckiego, kiedy przybycie posiłków egipskich na jego widownią pod wodzą Ibrahima-baszy tłumi i gniecie wszelki opór a samemu powstaniu rychły zwiastuje koniec. Metternich cieszy się podobną perspektywą, doznaje nie mniejszego zadowolnienia z poniżającego aktu upokorzenia, jaki wobec cesarza Franciszka i jego samego odbywa następca tronu piemonckiego, późniejszy król Karol Albert. W liście z Mediolanu 16 Czerwca 1825 pisze:

„Historya powstania greckiego będzie kiedyś bardzo ciekawą. Spencer (kapitan angielski) twierdzi, że przed jego wyjazdem z Grecyi (około 15 Maja 1825) nie było ani jednego spotkania, z wyjątkiem kilku wycieczek walecznéj załogi Nawarynu, wycieczek zresztą odpartych, równie na morzu, jak na lądzie. Proszę cię przesłać te wskazówki internuncyuszowi; będą może miały pewną wartość dla niego i posłużą mu do kontrolowania tego, co wie z innéj strony. Nasz pobyt w Genui będzie miał szczęśliwe następstwa. Jest niepodobieństwem mieć więcéj powodzenia aniżeli go ma cesarz. Król (piemoncki) jest doskonały a książę Carignanu, który zdaje się lękać cesarza a nawet mnie, jak o tém wszyscy mnie zapewniają, zachowuje się bardzo dobrze. Oświadczył wobec nas otwarcie swoje *Pater peccavi* i zdaje się rzeczywiście stanowczo zdecydowanym nie dać się daléj oszukiwać. Jeżliby się kiedykolwiek inaczéj zdarzyć miało, nie wiem, jaka nieszczęsna gwiazda mogłaby go do tego zaprowadzić, ponieważ zna gruntownie swoich dawniejszych przyjaciół. Przepędziłem z nim wiele godzin i opowiadał mi rysy charakterystyczne liberalnego kramu, o jakich nigdy nie słyszałem. Między innemi dał mi bardzo ważne skazówki o postępowaniu księcia d‘Angoulême i jego słynnego sztabu generalnego. Pod względem

doświadczenia, był mu czas, który przepędził pośród armii francuzkiéj i w Paryżu, bardzo użyteczny; mówi o wszystkiém z otwartością, która mu daje pozory zupełnie nawróconego. W przypadku, gdyby jego nawrócenie nie miało być rzeczywistém, nie mogłoby go nic wytłómaczyć w oczach cesarza a mniéj jeszcze w oczach moich. Byłem oszukany, rzekł do mnie, żegnając się, i byłem nim w zupełności. Dzisiaj nie jestem nim już i nie chcę być nigdy. Nauczyłem się znać liberalizm i jego rzeczników, zbrzydziłem ich sobie. Postępowanie jego jest wogóle, całkiem odpowiednie téj zasadzie, a cesarz myśli, jak ja, iż on nie pozwoli się schwycić tak łatwo poraz drugi. Co Boże daj!“

A więc i pod *tym* drobnym i ubocznym względem jeszcze jedna illuzya dyplomaty austryackiego, który z wiosną roku 1848 miał jeszcze sam sposobność przekonać się, o ile jego optymizm co do osoby Karola Alberta był ułudnym!...

Zadowolniony z następcy tronu piemonckiego, miał Metternich w ciągu swéj podróży włoskiéj powód być jeszcze więcéj zadowolnionym z papieża, nie przeczuwając, że i na téj widowni nastąpią zmiany nie odpowiadające niczém i w niczém dzisiajszéj pogodzie. „Kardynał Albani,“ pisze kanclerz austryacki, „który tu (do Mediolanu), był przysłany w celu powitania cesarza, wyjechał także. Od długich lat utrzymywałem stosunki przyjaźni z kardynałem; to téż odwiedzał mnie często. Gdy ostatniemi czasy Albani zakomunikował mi zamiar swego rychłego powrotu do Rzymu, dodał z pewną uroczystością, że ojciec św. polecił mu zadać mi pewne pytanie. Równocześnie wyciągnął z kieszeni własnoręczny list, który jego świątobliwość doń wystosowała i prosił mnie o przeczytanie tego dokumentu. Pismo to zawierało tylko te słowa: Czytałem z zadowolnieniem twój poufny list oznajmiający mi, że według twego przekonania książę Metternich pragnąłby wstąpić do kolegium kardynalskiego. Książę (tu następowało wyliczenie wszystkich czynów, przez które zasłużyłem sobie na podobne odznaczenie) posiada tyle praw do téj godności, iż jestem gotów mu ją nadać. Nim jednakże przystąpię do nominacyi księcia, zechciéj go stanowczo zapytać, czy pragnie rzeczywiście kardynalstwa, w którym to przypadku zaproponowałbym go na najbliższym tajnym konsystorzu. Możesz sobie wyobrazić wrażenie, jakie na mnie wywarła ta wiadomość, któréj nie umiałem sobie wytłómaczyć. Prosiłem kardynała, aby mnie w tym względzie oświecił, odpowiedział mi, że zdawało mu się odgadywać moje pragnienie posiadania kapelusza kardynalskiego z kilku wyrazów, które wyrzekłem, wyrazów odnoszących się do *czerwonego koloru*, który w rozmowie wskazałem kardynałowi jako będący

mi przyjemnym. Odgadniesz bez trudu odpowiedź, jaką dałem gorliwemu popieraczowi myśli, któréj sam nigdy nie miałem.“ Dziwić-że się wobec podobnych objawów monumentalnego serwilizmu, miłości własnéj takiego Metternicha, dziwić-że się, że mu dym podobnych kadzideł ze strony instancyj i instytucyj, mających obowiązek szanowania swéj godności, „*idzie do głowy*“ i że zamąca swobodę jego sądu i zastanowienia?

Co w ciągu owéj podróży włoskiéj zastanawia, czego w niniejszych pamiętnikach nie znajdujemy, ale co nam wiadomo zkądinąd, to dziwna i bezsercowa głuchota jego wobec cierpień Włoch, wobec udręczeń Lombardyi i Wenecyi. Nie zapominajmy, że to klasyczna epoka Spielbergów i Kufsteinów, owych *carcere duro*, Silvia Pellica Pallaviciniego, Confaloniérego, Francuza Andryane'a. Rodziny skazanych oblegały, jak nam wiadomo, tak cesarza jak kanclerza. Nadaremno; odpowiedzi brzmiały regularnie twardą, zimną odmową, jakkolwiek nieszczęśni skazańcy od lat przeszło pięciu dźwigali kajdany. Pierwsze ulgi miały ich dopiero spotkać w roku 1830.

Doktryneryzm konserwatywny czy to na zewnątrz, czy na wewnątrz przeważa tutaj wszelkie inne względy, jakkolwiek-by się zdawać mogło, że umysł kanclerza austryackiego nie jest przecież raz na zawsze zamkniętym przystępowi prawdziwszych i praktyczniejszych pojęć politycznych. Tak np. staje się właśnie podówczas, właśnie w tymże samym roku 1825, książę Metternich mentorem politycznym, prawda, że bardzo niepojętych uczniów, następcy tronu, arcyksięcia Ferdynanda i brata jego a ojca dzisiejszego cesarza Franciszka Józefa, arcyksięcia Karola. Udziela im po prostu lekcyj praktycznéj polityki a między innemi spotykamy się z taką, zapisaną w programie nauki maksymą: „Zasada prawdziwéj polityki i prawdziwéj dyplomacyi. Są ograniczone trwałemi i rzeczywistemi interesami państw. Niedogodności polityki opartéj jedynie na namiętnościach. Jakaż jest prawdziwa polityka Austryi?“ Niewątpliwie bardzo zdrowe uwagi; byle tylko były znalazły miejsce nie w programie lekcyj tępych arcyksiążąt, lecz w praktycznéj działalności kanclerza! Że przecież tak *nie* jest, najlepszym dowodem cała jego działalność polityczna, przedewszystkiém znów jednakże w sprawie greckiéj. Nienawiści do osoby i polityki Canninga, komedya sejmu węgierskiego, z którego się Metternich dość naśmiać nie może, kłopot nieustanny o postawę Rosyi, wszystko to tylko mniejszéj wagi epizody téj epoki życia Metternicha, w któréj głównym trudem i zajęciem jest—*Grecya*. Stanowczym w téj dziedzinie wypadkiem jest zgon cesarza Aleksandra I. Metternich czuje się najprzód zatrwożonym i zaniepokojonym, następnie popada w stan niepewności z powodu następstwa

po zmarłym cesarzu. Niepewność owa sukcesyi trwa dla Wiednia przez cały miesiąc i nie pozwala ustawić prawdopodobnego horoskopu co do sprawy greckiéj. Cokolwiekbądź, panowała w gruncie rzeczy, mimo wszelkich przemijających nieporozumień, pewna zgoda w polityce cesarza Aleksandra i Metternicha. Zgon pierwszego wprawiał rzeczy na wschodzie w stan niepewności; co następca jego na tronie rosyjskim uczyni, nie dało się obliczyć. Jest to chwila, w któréj Metternich zgadza się wreszcie na stan jakiejś połowicznéj niepodległości greckiéj z cichą nadzieją w odwodzie, że baszy egipskiemu uda się przecież może jeszcze ruch powściągnąć.

Niepewność co do sukcesyi rosyjskiéj kończy się wstąpieniem na tron cesarza Mikołaja. Metternich, oceniając ogólne położenie Rosyi i skreślając charakterystykę dotychczasowych jéj władców, przyjmuje z pewną sympatyą wystąpienie nowego monarchy i odzywa się o nim i o Rosyi w sposób następny: „Nie znam stanowiska trudniejszego do wypełnienia od stanowiska cesarza Mikołaja. Aleksander, który miał łatwe zadanie, biorąc koronę po swoim ojcu, był na nieszczęście dzieckiem swéj epoki. Postępując od jednego do drugiego kultu, od jednéj do drugiéj religii, wstrząsnął wszystkiém, nie zbudował niczego. Wszystko w nim było powierzchowném, nic nie przechodziło po za to; przesadzony we wszystkiém i skłonny zawsze do przekładania złego nad dobre, pozostawił po upływie 25 lat panowania państwo swoje tam, gdzie cesarz Józef zaprowadził swoje w przeciągu dziewięciu. Józef II przecież był administratorem, czém monarcha rosyjski nie był. Cała materyalna część pierwszego była w ogóle dobrą a nawet niekiedy podziwienia godną. Dawna Rosya już nie istnieje; Mikołaj jest powołany do stworzenia nowéj a najszczersze życzenia moje towarzyszą mu w tém wielkiém i szlachetném przedsięwzięciu.“ Co także jeszcze starczy księciu-kanclerzowi za powód sympatyi i uznania dla cesarza Mikołaja, to nienawiść jego dla Greków. Pozostanie niezaprzeczonym faktem, że władca mocarstwa, które bezpośrednio przyczyniło się głównie do wzniesienia niepodległéj Grecyi, żywych jéj reprezentantów, co najmniéj, niesłychanie lekceważył. Uczuć tych nie wypiera się nawet w samejże chwili niemal wydobycia miecza za niemi w roku 1828. Charakterystycznym pod tym względem jest list posła austryackiego w Petersburgu, hr. Zichy do Metternicha, zdający szczegółową sprawę z rozmowy z cesarzem: „Trzymam się religijnie zachowawczych podstaw św. przymierza“—powiedział mi cesarz—„będę zawsze najgorliwszym stronnikiem św. przymierza, które znajdzie we mnie, cokolwiekbądź kto powie, jednę z najsilniejszych swych podpór. Powtarzam przy téj sposobności, że nienawidzę Greków, że się nimi brzydzę, jakkol-

wiek są moimi współwiercami; postępują sobie w sposób szkaradny, potępienia godny, zbrodniczy nawet, uważam ich zawsze jako poddanych znajdujących się w otwartym buncie przeciw prawowitemu panu; nie chcę ich oswobodzenia; nie zasługują na nie, a byłoby bardzo złym przykładem dla wszystkich innych krajów, gdyby im się udało takowe uzyskać. Nie uznałem również niepodległości kolonij hiszpańskich w Ameryce i znajduję, że propozycya, jaką przedłożyliście w Londynie w przedmiocie Grecyi, znajduje się w sprzeczności z zasadami, jakie wyznajecie, i wytrąca was z waszéj roli. Co do mnie, pozostaję czystym i wiernym moim monarchicznym zasadom. Cesarz, zechciéj mu to powiedzićć, znajdzie zawsze we mnie potężnego i wiernego sprzymierzeńca, gotowego mu podać pomoc w każdéj okoliczności a uznającego tylko co jest prawowitém. Gdyby potrzebował mojéj pomocy w jakimbądź zawikłaniu, znajdzie mnie zawsze gotowym do wspierania siebie z dobrą rezerwą, gdziekolwiek ją uzna za potrzebną. Daję ci tu na to moje słowo; potrzebuje tylko rozkazać."

Nie przytaczając dalszych, ciekawych zresztą niezmiernie szczegółów téj rozmowy między hrabią Zichym a cesarzem Mikołajem, pojmiemy, jak dalece monarcha wyznający podobne uczucia względem nienawistnych Greków, przyznający się, nie dość na tém, do podobnych zasad politycznych, odpowiada ideałowi kanclerza austryackiego. Mimo to pokazuje się właśnie na tym przykładzie, do jakiego stopnia wszelkie ludzkie rachuby i widoki w obec niepowstrzymanego biegu wypadków i wyroków dziejowéj opatrzności są uludne i jak dalece tenże sam władzca wbrew woli i zasadom znalazł się skazanym na uczestniczenie w dziele oswobodzenia Grecyi, które mu było tak wstrętném. Tragi-komicznemi mianowicie są następstwa tak zwanego protokółu londyńskiego z dnia 6 lipca 1827 r., podpisanego między Francyą, Anglią a Rosyą w zamiarze uspokojenia i rozgraniczenia obu stron ku pokojowemu załatwieniu zawieruchy greckiéj, znajdującego wbrew woli Francyi i Anglii mianowicie rozwiązanie w katastrofie nawaryńskiéj, która ku przerażeniu samychże współzwycięzców, zniszczyła siłę morską Turcyi, by ją następnie od strony lądowéj, wyniszczoną i niezdolną do oporu, otworzyć inwazyi rosyjskiéj. Nie mniejszém w skutek gromu nawaryńskiego jest przerażenie samego Metternicha, który, jak zawsze, tak i na ten raz, zionący gradem pocisków papierowych na zbuntowanych greków, na Canninga, na rewolucyonistów całego świata, radby dopomagać zagrożonym i zachwianym Turkom... *życzeniami*.

Wśród tych wypadków z dziedziny wielkiéj polityki, zapisują się lata 1828 i 1829 w prywatném i rodzinném życiu kanclerza szere-

giem smutnych wydarzeń: śmiercią matki, śmiercią córki i żony, wreszcie zgonem pełnego nadziei syna Wiktora. Zapisać-że wśród tego fakt nabycia przezeń dóbr Klass w Czechach, jako dowód, że kanclerz nie tracił materyalnie i osobiście na *swéj* polityce? Również zapiszmy jako epizod pośród absorbującéj wszystko naówczas sprawy greckiéj i jéj kłopotów na dworze wiedeńskim, awanturę Dom Miguela w Portugalii. Jedyny to zapewnie specymen ultra-konserwatyzmu europejskiego, który nie ma szczęścia cieszenia się sympatyą księcia-kanclerza. Dom Miguel przywłaszcza sobie prawa Maryi da Glorii, córki Dom Pedra, cesarza brazylijskiego, wnuczki cesarza Franciszka. Dlatego to tylko infant portugalski, jakkolwiek politycznie najwzorowszy wyznawca konserwatyzmu i monarchicznego absolutyzmu, nie znajduje ani poparcia, ani sympatyi na dworze wiedeńskim.

Głównym przecież kłopotem owych lat 1828 i 1829 pozostaje sprawa grecka z dwoma swemi wojnami, turecko-rosyjską rozpoczynającą się z wiosną r. 1828 i wyprawą marszałka Maison do Morei. Wobec tych dwóch wojen czy zamachów, zarówno wstrętnych Metternichowi ze stanowiska jego polityki wschodniéj, przedstawia nam się kanclerz znów tém, czém był zawsze, doktrynerem zdolnym do życzeń i westchnień, w najostateczniejszym razie anatematów, nigdy— śmiałéj i stanowczéj akcyi. Zaciera ręce z radości na wieść o niepowodzeniach rosyjskich nad Dunajem w roku 1828; nie mniejszém zadowolnieniem przejmują go tanie i bezpłodne tryumfy Francuzów w Morei; czynnie sam wystąpić nie myśli. Epizod ten jego polityki ma jeszcze i pod tym względem znaczenie, że widzimy w nim występującego dzisiejszego cesarza Niemiec, ówczesnego księcia Wilhelma pruskiego. „Pomiędzy cudzoziemcami—pisze Metternich pod dniem 14 września 1828 r.—którzy przybyli brać udział w ćwiczeniach obozu pod Baden (Traiskirchen), znajdowali się książęta Wilhelm i August pruscy. Pierwszy jest księciem odznaczającym się pod każdym względem. Wiadomo ci (Esterhazemu), że jest połączony ścisłemi węzłami przyjaźni z cesarzem Mikołajem i że opuścił dopiéro Petersburg po pobycie kilkomiesięcznym w chwili, kiedy j. c. mość udała się do armii. Książę Wilhelm czynił wszelkie starania, aby uzyskać od króla swego ojca pozwolenie odbycia kampanii w armii rosyjskiéj. Król jednakże odmówił. Znając stosunki i zdolności j. k. wysokości, winienem był naturalnie przywiązywać wielką wagę do odgadnienia jego myśli co do położenia rzeczy na teatrze wojny. Otóż, mój książę, rezultaty, do których pod tym względem przyszedłem. Stwierdziłem najprzód w zasadzie, że książę Wilhelm jest zupełnie obznajmiony z zamiarami cesarza rosyjskiego. Przepędził przy jego boku miesiące poprzedzające rozpoczęciu kroków nieprzyjacielskich, a wiem

bardzo dobrze, że nietylko cesarz pokłada w nim wielkie zaufanie osobiste, lecz że istnieje nawet między nimi żywa korespondencya. Wychodząc z tych podstaw, winienem przypuszczać, że słowa księcia mają wagę słów wypowiedzianych przez samegoż cesarza Mikołaja. Skoro rzecz ta jest dla mnie dowiedzioną a nie znajduje się w sprzeczności z przekonaniami, jakie zawsze wyznawałem co do prawdziwego położenia rzeczy w przeszłości, stwierdzam daléj fakta następne. Straszliwe zawikłanie obecnéj chwili czerpie swe źródło z usposobienia lekkomyślności, pozwoliłbym sobie nawet powiedzieć, z prawdziwego dzieciństwa młodego monarchy i jego młodego otoczenia, podżeganego i podsycanego przez niesłychaną słabość gabinetu i złe sztuki niektórych wichrzycielskich umysłów. Istotna wojna była uważana za rzecz niemożliwą. Jakżeż ci nędzni Turcy, zdradzający za każdym krokiem swą słabość i strach przez gotowość przyjmowania wszelkich obelg, śmieliby wystawić się na wojnę z Rosyą? Pełnomocnicy tureccy mieli się stawić niezawodnie na pierwszych etapach marszu rosyjskiéj armii. Co do owego wstrętu względem zdobyczy materyalnych, to cesarz był w dobréj wierze. Pragnął tylko oprzéć przyszłość swego panowania na jakimś świetnym czynie i zapewnić równocześnie drogom handlowym swego państwa zupełną swobodę. Książę Wilhelm zagadnięty przezemnie co do materyalnych trudności przeszkadzających osiągnięciu podobnego celu, zapewnił mnie, iż nie zna dokładnie środków przewidzianych przez cesarza, lecz że myśli, iż się nie myli, szukając ich w dwóch warunkach następnych: w zniszczeniu wszystkich twierdzy tureckich nad Dunajem, następnie zamków bosforskich i dardanelskich. Na moję uwagę, że istnienie państwa ottomańskiego, połączone jak istnienie każdego innego państwa ze środkami zabezpieczenia swéj niezależności, mogłoby się znaleść zagrożoném przez wykonanie podobnego planu, który dla tegoż samego, mógłby znaleść silną opozycyą ze strony Porty a którego urzeczywistnieniu mocarstwa prowadzące handel lewantyński mogłyby również przeciwstawić wielkie trudności, odpowiedział mi książę bez wahania, że nie uważa rzeczy z tego samego stanowiska; że Porta zasłużyła na karę i że nie trzeba jéj słuchać, że co się tyczy mocarstw morskich, nie mają nic rozsądnego do nadmienienia przeciw planowi podobnemu, zwłaszcza, że cesarz nie ma bynajmniéj zamiaru przeszkadzania handlowi, lecz, że przeciwnie, pragnie go oswobodzić od wszelkich możliwych przeszkód. Książę przyznaje, że wypadki nie odpowiedziały dotąd oczekiwaniom, lecz że takowe znajdą się niewątpliwie uwieńczonemi większém powodzeniem w przyszłéj kampanii. Przypuszcza z drugiéj strony, że to położenie rzeczy przedstawia ważne niebezpieczeństwa dla zacho-

wania pokoju europejskiego i że w skutek tego mocarstwa powinnyby starać się zapobiedz konieczności ponownego podjęcia wojny.“

Otóż zwierzenia, jakie kanclerz austryacki odbiera z ust dzisiejszego cesarza Niemiec w przedmiocie zawikłania wschodniego i udziału w niém Rosyi. Dalszy przebieg téj tyle żywotnéj dla interesu austryackiego sprawy nie przedstawia politycznéj działalności Metternicha ani w dodatniejszém, ani w ciekawszém świetle. Prawdziwemu mężowi stanu przedstawiała się wobec podobnego zawikłania na sąsiedniéj widowni następna alternatywa: *albo* dobyć miecza w obronie Porty ottomańskiéj, *albo* téż porozumiéć się z Rosyą w przedmiocie podziału korzyści wojny. Kanclerz austryacki załatwia wschodni kłopot tańszym kosztem. Sympatyzuje platonicznie z Portą, zaciera ręce z radości na wieść o jakiémbądź potknięciu się akcyi rosyjskiéj, liczy, że Anglia i opatrzność nie pozwolą zbytniego obcięcia i upokorzenia Turcyi; tymczasem zaś bawi się nieprzerwanie w doktryneryzm polityczny, załamuje ręce nad wojną turecko-rosyjską, jako nad kardynalnym grzechem przeciw katechizmowi zachowawczemu, przyjmuje z niesłychaném zadowolnieniem a większemi jeszcze nadziejami fakt utworzenia gabinetu Polignaca we Francyi, z najgorszym humorem wiadomość o zawarciu traktatu adryanopolskiego, 14 września r. 1829. Już następnie, już podczas tragikomicznych negocyacyj o koronę grecką, już w owym przededniu rewolucyi lipcowéj, usiłuje książę-kanclerz istnie niedołężną dłonią powstrzymać bieg pędzącego niepowstrzymanie potoku, kreśli w październiku r. 1829 jeszcze memoryały o konieczności utrzymania zbiorowego systemu zachowawczości europejskiéj.

Na tém kończy się ostatni tom nowéj seryi tak zwanych *Pamiętników Metternicha.* Niechaj nam będzie wolno wyciągnąć z nich ostateczny nasz sens moralny i polityczny.

Nie można dość często powtarzać, że ręka właściciela papierów po kanclerzu austryackim, księcia Ryszarda Metternicha i ręka wydawcy, archiwisty p. Klinkowströma, pousuwała tak w pierwszéj, jak w drugiéj seryi wydawnictwa najciekawsze rzeczy, że *arcana imperii* wcale przez te *pamiętniki* nie odsłonione, że kongres wiedeński pominięty w nich prawie zupełnie, że usunięto troskliwie wszystko, coby mogło *kompromitować* kanclerza, coby go mogło przedstawić w ujemném świetle. A mimo to, jakże wyraźnie, jakże charakterystycznie, a jak wcale *nie dodatnio* staje przed oczyma naszemi, dzięki owéj publikacyi, tak mąż stanu, jak człowiek! Tak jeden, jak drugi nie wychodzi korzystnie, choć przyznać należy, iż drugi góruje jesz-

cze nad pierwszym. Jeżeli, by zacząć od *człowieka*, osobistość zdolna pełzać wobec potęgi i uroku Napoleona, doradzająca nawet z gruntownêm przeprnnieniem i poświęceniem monarchicznych i konserwatywnych przekonań, rzucić w objęcia rewolucyi „córę Cezarów,“ oceniająca akt podobny ze strony swego monarchy jako czyn istnie „wielkiéj duszy,“ przekreśla z odmianą fortuny podobne swe usposobienia, rady i wspomnienia do tego stopnia, iż temuż samemu Napoleonowi wbrew wyraźnym objawom woli cesarza Aleksandra i króla pruskiego, zazdrości swobody oddechu i kilku mil kwadratowych wolnéj przestrzeni, niepodobna zapewne przyznać *takiéj* osobistości przymiotów tego, co się nazywa szlachetnym, ludzkim charakterem. Gdy z drugiéj strony widzimy, jak tenże sam człowiek wobec nieszczęść rodzinnych okazuje się czułym i wrażliwym, z jaką troskliwością i surowością syna, męża, ojca czy to wieńczy własnoręcznie kwiatami groby ojca i matki, czy śledzi z udzielającém się sympatycznie samemuż czytelnikowi biciem serca ostatnie tchnienia umierających, dorosłych dzieci, czy ze łzami w oczach każe Lawrence'owi przenosić na płótno rysy ukochanéj zmarłej małżonki; gdy postępując daléj jeszcze w analizie człowieka, przekonywamy się, że to umysł przystępny wrażeniom wszelkiego piękna, wysoko ukształcony, łatwego i pięknego talentu pisarskiego, obok tego wszystkiego mocno ulegający podszeptom próżności, kołyszący się z lubością na falach miłości własnéj, przychodzimy do stwierdzenia nie nowéj zresztą wcale prawdy, że organizmy ludzkie jednego i tego samego moralnego i psychicznego odlewu są tylko wyjątkiem, że najczęściéj przeciwieństwa najodmienniejszéj natury i wartości podają sobie ręce, że nic wreszcie więcéj od praktycznéj polityki a nadewszystko walki partyjnéj nie jest w stanie zmieniać i przeinaczać naturalnych skłonności i usposobień umysłu i serca. Taż sama epoka dostarcza wielce podobny kanclerzowi austryackiemu pod tym względem egzemplarz. Talleyrand jest również dobrym panem swych domowników, troskliwym krewnym, umysłem lubiącym zajęcia literackie. Jakim wyszedł *człowiekiem* z męczeńskiéj i komicznéj na przemian gimnastyki swego tylu służbom i sprawom poświęconego żywota politycznego...

Wyraźniéj od dwóch pierwszych tomów „*pamiętników*“ przedstawiają nam obecne dwa nowe męża stanu. Obie seryе uzupełniają się, mimo wszelkich okaleczeń i przemilczeń, jak najwyborniéj i przedstawiają zaokrągloną, charakteryzującą logicznie osobę i politykę kanclerza austryackiego, całość. Już w sprawozdaniu z pierwszych dwóch tomów pozwoliliśmy sobie zwrócić uwagę na niewątpliwy według nas pewnik, że w pierwszém sześcioleciu swoich rządów w Austryi, Metternich był raczéj konserwatywnym doktrynerem, ani-

żeli mężem stanu mającym na względzie i celu wielkość i interes Austryi; że wyniosłszy z otoczenia domowego, z ławy szkolnéj i uniwersyteckiéj hydrofobijny istnie wstręt do rewolucyi francuskiéj i jéj idei, przeniósł go bez zastrzeżeń na osobę Napoleona, jako jéj wcielenie. Ztąd tłómaczymy sobie systematyczne odrzucanie z jego strony wszelkich praktycznych i dotykalnych korzyści, jakiemi Napoleon Austryą od r. 1810 darzył. Zapewnie nie mogłoby być dla Austryi od czasu istnienia jéj w dzisiejszych jéj granicach i pojęciach korzystniejszych kombinacyj, aniżeli program Napoleona co do księstwa Warszawskiego, zwrot prowincyj illiryjskich, nabytek księstw naddunajskich i ujść Dunaju. Metternich nie rozumie i nie przyjmuje tych korzyści zaręczających wielkość państwową Austryi. W roku 1813 wymagał bezwątpienia interes Austryi *osłabienia* Napoleona; *upadku* jego nie wymagał nigdy, ponieważ przewaga kontynentalna obracała się w takim razie, nie tylko już nawet ze szkodą państwowego interesu Austryi, ale nawet, co dla Metternichowéj polityki rzeczą najważniejszą, ze szkodą idei konserwatywnéj *jego* autoramentu, na rzecz koalicyi rosyjsko-pruskiéj. Pojaw to zresztą tak jasny, tak namacalny, że się sam Metternich tuż niemal po bitwie lipskiéj, w skargach swych na otoczenie niemieckie cesarza Aleksandra, Steina, Arndta, Pfuhla, Anstettena, z pewną naiwnością do świadomości jego szkody przyznaje!

Epoka między rokiem 1815 a 1830, właśnie epoka niepodzielnego prawie Agamemnonatu księcia-kanclerza austryackiego w losach Europy, wykazuje podobnie ujemny charakter jego polityki w spotęgowanym tylko stokroć stopniu. Nic słuszniejszego nad wspomnioną już maksymę polityczną Metternicha, zapisaną w program lekcyj młodych arcyksiążąt: „*Zasada prawdziwéj polityki i prawdziwéj dyplomacyi. Są one ograniczone trwałemi i rzeczywistemi interesami państw. Niedogodności polityki opartéj jedynie na namiętnościach. Jakaż jest prawdziwa polityka Austryi?*“ Otóż wręcz przeciwnie zapisanéj przez się tak trafnie *teoretycznéj* prawdzie, pomiata nią Metternich cynicznie w *praktyce* swéj polityki. Nie wielkość i potęga Austryi są tu celem, lecz przeciwnie wielkość i potęga Anstryi mają tu być środkiem i narzędziem kosmopolitycznéj doktryny zachowawczéj, słowem, polityka namiętności zamiast polityki interesu. Metternich nie umie wyzyskać ani jednego z licznych ówczesnych zawikłań europejskich na dotykalną korzyść Austryi, moralną czy materyalną. Cała jego rola polityczna redukuje się do pełnienia obowiązków nie zawsze zręcznego, nie zawsze gotowego, bo często zbyt odległego od widowni naczelnika straży ogniowéj europejskiéj. Czy płomień buchnie w hiszpańskich koloniach Ameryki, czy na półwyspie iberyjskim; czy re-

wolucyjna pożoga wystrzeli słomianym ogniem we Włoszech, czy też powstanie greckie stanie w swéj stalowéj, nieugiętéj postaci na polu walki z Turkami; czy studenci niemieccy krzyczą na Wartburgu, opozycya francuska w izbach, czy Capodistria lub Pozzo di Borgo nie zdają mu się wyznawać czystéj idei konserwatyzmu *jego* autoramentu, widzimy Metternicha pędzącego na odsiecz zagrożonemu porządkowi świata za pomocą owych kongresów i zjazdów, których zaradczość nie sięga również po za sferę materyalnéj represyi bez rozprawienia się z przyczyną „*złego*.“ Gdyby też zaś przynajmniéj w zamian choć sława wojenna Austryi była z podobnéj i wśród podobnéj polityki wyniosła korzyść. Istotna *akcya* Austryi kończy się przecież na bezkrwawém stłumieniu nędznych wybuchów neapolitańskiego i piemonckiego. Z demagogami niemieckimi rozprawiły się skutecznie komisye śledcze i policye związkowych mocarstw.

Widząc w téj epoce piętnastoletniéj po roku 1815 Metternicha tak skrzętnym, tak zabiegłym, tak gorliwym około porządku rzeczy zachowawczego w Europie, tak niespokojnym o nietknięte zachowanie budowy z kart kongresu wiedeńskiego, tak spieszącym jéj wszędzie na odsiecz, jeżeli nie czynem, to choćby życzeniami i westchnieniami tylko, zapytajmy, co czynił równocześnie dla *Austryi*, jakim był *jéj* mężem stanu, kiedy od Peru i Boliwii aż nad brzegi Bosforu i Newy spieszył choćby memoryałami tylko i notami dyplomatycznemi gasić pożary rewolucyjne? Trzy naówczas były widownie dla najbezpośredniejszéj, naturalnéj akcyi zewnętrznéj polityki austryackiéj: Niemcy, Włochy i Wschód. Wszystkie trzy widownie przedstawiały dla prawdziwego męża stanu, nie dla doktrynera, bogate i wdzięczne pole działalności. W *Niemczech*, w obec niezamarłych jeszcze tradycyj dawnego cesarstwa, w obec popularności cesarskości austryackiéj, wobec małéj jeszcze powagi Prus, przedstawiała się mężowi stanu Austryi możność ubieżenia ich raz na zawsze najprzód w moralném, następnie w polityczném panowaniu. Na to trzeba tylko było nieco szerokości poglądów i umiejętności liczenia się z potrzebami i prądami czasu. Samochwalczy kanclerz znalazł wobec Niemiec jedno tylko lekarstwo: komisyą śledczą moguncką i prześladowanie swobody prasy. Austrya wyniosła z téj polityki niemieckiéj predykat *Chin europejskich*, straciła w Niemczech wszelki urok, nadzieje zwróciły się ku Prusom. Nie inaczéj we *Włoszech*. Autonomia dana Lombardyi i Wenecyi, wprowadzenie ciemnych naówczas i ponurych rządów piemonckiego i neapolitańskiego na racyonalniejsze tory, zaręczało Austryi stanowisko i powagę we Włoszech. Prosta represya, podtrzymywanie Ferdynandów i Karolów Feliksów, *carcere duro* jako odpowiedź na wszystko, co w ówczesnych ruchach włoskich

mogło mieć sens i podstawę, stworzyło Austryi położenie, które się tylko *końcem* jéj panowania we Włoszech skończyć mogło i skończyło.

Najfatalniejszym okazem akcyi Metternicha jako męża stanu pozostanie przecież *sprawa grecka.* Tak terytoryalnie, jak politycznie, przedstawiała owa sprawa dla prawdziwego męża stanu Austryi rozległe horyzonty. Czy to działając przeciw powstaniu, czy działając w jego interesie, czy podając rękę Turcyi przeciw Grekom i Rosyi, czy Grekom i Rosyi przeciw Turcyi, ale *działając*, ale *podając* komubądź z wojujących stron rękę, wynosiła Austrya z ówczesnéj zawieruchy na półwyspie Bałkańskim najniezawodniejsze, ogromnéj wagi korzyści. Co robi z takiéj „*bonne fortune*“ austryackiéj wielki mąż stanu austryacki? Marnuje ją, nierozumie jéj gorzéj jeszcze niemal od niemieckiéj i włoskiéj. Tępy doktryner przykłada do ocenienia charakteru i doniosłości powstania greckiego zwykłą, zdawkową podziałkę konserwatywnéj swéj formułki, klnie, nie wyciągając miecza, przez dziewięć lat Greków, jako buntowników przeciw porządkowi rzeczy europejskiemu, by po za swemi plecami pozwolić na ich korzyść ukuć protokół londyński z r. 1827, by, co gorsza, dopuścić grom Nawaryński, by, co najgorsza a może i najbardziéj upokorzająca w tém wszystkiém, pozwolić na dojście do skutku, wśród kwasów i niezadowolenia, bez udziału, ani bez przeszkody pierwszorzędnego mocarstwa, jakim była Austrya—niepodległości greckiéj.

Mąż stanu *Austryi* wychodzi i na téj widowni bankrutem, jak nim niewątpliwie wychodzi na obu pierwszych. Czy mąż stanu *kosmopolitycznéj zachowawczości* wychodzi z obfitszym swéj działalności plonem, niechaj odpowiadają daty roku 1830 i 1848, ostatnia zwłaszcza zapisująca fakt jego zwinięcia żagli w obec krzyków, nie rewolucyi nawet jeszcze, ale tyle przezeń wskroś całego życia lekceważonéj *auli.*

Nasze *ceterum censeo* po przeczytaniu niniejszéj seryi pamiętników streszcza się do następnego rezultatu. Mężem stanu Metternich nigdy i w żadnym kierunku nie był; umysł giętki, wykształcony, człowiek wysokiego towarzystwa i wytwornych form towarzyskich, pięknego pióra, był, co najwięcéj stworzony na ambasadora jakiegobądź mocarstwa europejskiego, *pod* rozkazami kierującego jego krokami systemu. Materyału na samodzielnego męża stanu w nim nie było, jak nie było oka i zdolności. Urodzony w niższych sferach byłby może znalazł powodzenie jako literat; jako mąż stanu chybił, jak mówić zwykli: „*wokacyi.*“ Jeden z najtrafniejszych sądów, jakie nam się o Metternichu kiedykolwiek napotkać zdarzyło a którego prawdę obecne pamiętniki każdém słowem niemal stwierdzają, znaj-

dujemy w *Historyi dziesięciu lat* Ludwika Blanca: „Polityka p. Metternicha zależała zresztą na unikaniu każdego wielkiego wstrząśnienia. Lubił spokój z egoizmu i nieudolności. Ci tylko stawiają czoło burzom, który czują w sobie siłę ich opanowania. P. Metternich chciał lekko zyskanéj sławy, któréj nicość najmniejsze zawikłanie byłoby wykazało, bez przeszkody używać.“ Nie przeszkadza to przecież niczém zaciekawieniu, jakie zapowiedziane wydawnictwo dalszych tych „*pamiętników*“ tomów, wywoływać może i powinno.

Kazimierz Jarochowski.

PYTANIE

IDYLLA

PRZEZ

Jerzego Ebersa.

I. Gospodyni i Rządca.

— Słona woda morska czy oliwa, to wam wszystko jedno! Alboż to ja lampy swojéj dawno nie zgasiła? Alboż to światło z ogniska nie dosyć jasne! Chyba wam oczy tak się ze snu zakleiły, że nie widzicie brzasku świtania, które coraz to wyraźniéj ku nam zaglą-da? Jeszcze oliwki nie wytłoczone a stara oliwa wyjdzie lada dzień; wiecie także, jak dużo dojrzałych owoców skradły nam te łotry złodzieje; ale prędzéj wróble przyniosą ziarno do spichrza niż wy zechcecie dopilnować dobra pańskiego!

Tak gderała Semestra, stara klucznica Lizandra z Syrakuz, na dziéwki Chlorydę i Doryppę, które leniwie obracały żarna, nie zwracając uwagi na dopalające się knoty lamp swoich.

Doryppa, młodsza wiekiem chwyciła za swą czarną jak kruk a niezbyt uporządkowaną ozdobę głowy, którą tysiące opornych włosków otaczało wokół jakby obłok szary, wyciągnęła ze zwoju kędziorów ponad błyszczącym śniadym karkiem strzałę bronzową, przydusiła nią słabe światełko obu lampek i odwracając się do klucznicy, rzekła:

— Aha! to tak! Jeszcze nie można odróżnić białéj nitki od czarnéj, a ja mam już lampy gasić, jakgdyby ten bogaty dom był chałupą żebraka. Dwieście dzbanów pełnych złotawéj oliwy stało przed tygodniem jeszcze w śpiżarni. Pocóż kazał je pan odnieść na statek i do Messeny zawieźć przez brata i Mopsura?

— A dlaczego nie zbierają owoców?—zapytała Chloryda. Oliwki są przejrzałe a złodzieje się rozhulali, odkąd strażników wzięto na wioślarzy do Messeny. My musimy kapkami oszczędzać, a toć my mamy więcéj tych sękatych drzew niż dni w roku. Ileż-to dzbanów oliwy możnaby wycisnąć z samych tych oliwek, co spadły na ziemię! U sąsiada Protarcha już dawno po zbiorze, a gdybym ja była Lisandrem...

— Toby się obeszło bez oszczędzania—przerwała dziewczynie szafarka. Wszakże, przyznać się muszę, i mnie było przykro rozstawać się z tym złotym darem bożym, ale cóż ja mogłam poradzić? Zachciało się go bratu pańskiemu Alkifranowi; pewnie to tam będzie jakaś duża zamiana; Alkifron jest mądry i ma rękę szczęśliwą, która z tego płynnego złota, co je tutaj mozolnie z oliwek wyciskamy i starannie przechowujemy, łatwo potrafi zrobić pieniądz metalowy. On — to niby mój syn; byłam jego piastunką, przy mnie się wychował. My tu na wsi pomnażamy majątek pracą, cierpliwością i usilną oszczędnością; kupiec w mieście musi mieć bystre i daleko sięgające oczy a umiéć ze wszystkiego prędko korzystać; a mój Alkifron dzieckiem już był najroztropniejszym z trzech synów Dyonizyusza i gdy trza było podzielić się jaką słodyczą, to on zawsze umiał zdobyć sobie kawałek największy. Kiedy matka jego żyła jeszcze, kazała mu razu pewnego podać sobie z pomiędzy świeżo upieczonych ciast najpiękniejsze, chcąc je zanieść do świątyni na ofiarę. Cóż wtedy ten łotrzyk powiedział? „Ażebym napewno się nie pomylił, najlepiéj będzie, jeśli wszystkich szkosztuję“—a kiedy Klitemnestra...

— Czy Alkifron jest młodszy od naszego biednego pana?—przerwała opowiadanie Doryppa.

— Były-to ciasta sezamowe ze słodkiém miodem—odparła klucznica, którą wiek pozbawił bystrości słuchu i narażał nieraz na mylne rozumienie tego, co się ciszéj mówiło. Czy bielizna do prania przygotowana?

— Nie pytałam o ciasta—odpowiedziała Doryppa zamieniając z Chlorydą figlarne spojrzenia—tylko chciałam dowiedzieć się ..

— Głuche-ście, wy dziéwki, spostrzegłam to już dawno—przerwała służącéj Semestra. Postradałyście słuch i wiem w skutek czego. Sto razy już wam zakazywałam, żebyście wieczorem rozgrzane tańcem nie rzucały się na trawę, na któréj jest rosa. Jakie często słyszę w odpowiedzi głupie brednie, kiedy się was o co pytam.

Dziewczyny głośno się obie zaśmiały.

W jeden dźwięczny ton zlał się wyższy głos jednéj z niższym głosem drugiéj; a dwie czarne pary oczu znowu się spotkały, a w nich

pełno było wesołego szyderstwa, bo one wiedziały doskonale, kto tu był głuchym a kto lepiéj słyszał nawet od tego słowika, co tam na dworze przed wschodem słońca w krzaku figowym zieleniącym się na nowo już-to radośnie się cieszył głosem do dźwięku fletu podobnym, już-to się tęsknie z pełnéj piersi skarżył.

Klucznica, zdziwiona i oburzona, spojrzała prosto w oczy śmiejącym się dziewczętom, potém hałaśliwie w ręce klasnęła, wołając:

— Do roboty, hołoto! Ty, Chlorydo, przygotujesz śniadanie, a ty, Doryppo, zobaczysz, czy pan czego nie potrzebuje i przyniesiesz drzewa do kuchni. I raz już przestańcie tego głupiego chychotania, bo kto się rano śmieje, ten płakać będzie wieczorem. Wam widać nie wywietrzały jeszcze z głowy żarty stróżów winnicy. A teraz precz z moich oczu; i niech żadna z was nie zabiera się do jedzenia, póki się nie uczesze!

Dziewki trąciły się łokciami i wyszły z gineceum, do którego właśnie szarzejący poranek jaśniéj zaświecił po przez dach odkryty.

Był-to budynek okazały, otoczony wkoło marmurowemi słupami, świadczący wyraźnie o dobrym bycie swego budowcy, gdyż podłogę, na któréj stał stołek klucznicy, bogato pokrywały barwne obrazy, które ułożył artystycznie z różnokolorowych kamieni jakiś sztukmistrz z poblizkich Syrakuz. Przedstawiały one młodzieńczego boga Dyonizosa, daléj Hiady, co go otaczały służąc mu pilnie, wreszcie, w malowniczych grupach, wszystkie dary niebian, opiekujących się ogrodami i polami a także i dary boga nizejskiego (1). Każdy obrazek po szczególe i obraz cały otoczony był ozdobnemi, pięknie przeplatanemi liniami.

Z żółtawego marmuru zrobione było ognisko, ku któremu pochyliła się właśnie Semestra, chcąc za pomocą gęsiego skrzydła rozżarzyć węgle przygasłe.

Wówczas wróciła Doryppa, powiedziała zwięźle, że pan wtedy dopiéro wyprowadzonym być chce na świeże powietrze, gdy słońce wyżéj się wzniesie, i, stosownie do rozkazu, przyniosła szczyp z sękatego drzewa oliwnego i szyszek które szybko się zapaliwszy, jasnym płomieniem obejmowały drzewo, dopóki swego ognia z jego żarem nie złączyły.

Z trzaskiem ulatywały błyszczące iskry z płonących szczyp ku odkrytemu dachowi a wraz z niemi ulatywał prosto w górę gorący dym mieszając się z czystém, chłodném powietrzem zbliżającego się po-

---

(1) To jest wspomnionego już Dyonizosa (Bachusa).

ranku; gdy w tém otwarły się drzwi gineceum, a przeciąg powietrza zwrócił szary ulotny słup na bok i skierował go na Semestrę wachlującą swojém gęsiem skrzydłem.

Odkaszlnąwszy, otarła sobie oczy krajem swego błękitnawego peplosu i gniewnie spojrzała na natręta, co o takiéj godzinie ośmielił się otworzyć główne drzwi komnaty kobiecéj.

Ale jak tylko poznała tego, co wszedł, skinęła mu przyjaźnie, z pewnym wszelako lekceważącym grymasem, podniosła się trochę, lecz zamiast pójść naprzeciwko przybysza, usiadła napowrót na stołku. Potém jeszcze lepiéj niż przedtém usadowiła się na swém siedzeniu i, nie mówiąc przyjaznych słów powitania, rzucała kaszląc, jakieś dźwięki niezrozumiałe.

— Ciesz się! (1) zawołał starzec do klucznicy głosem niezbyt donośnym. Zrób mi też trochę miejsca przy ognisku, bo ranek jest zimny. Zanim Helios wzejdzie, każe nam marznąć, abyśmy z podwojoną wdzięcznością odczuwali to krzepiące ciepło, które na nas w promieniach swych spuszcza.

— Masz słuszność—odparła Semestra, która mało co z przemowy starca zrozumiała—powinniśmy być wdzięczni za grzejący nas ogień; ale dlaczego ty w twoim wieku wychodzisz tak wcześnie na świeże powietrze w samym tylko chitonie, bez płaszcza i sandałów, wtenczas kiedy na drzewach ledwie co pączki puściły? Wy tam w wielu rzeczach postępujecie inaczéj niż inni ludzie i mocno ściskacie wasze rzeczy, ale ty, Jagonie, nie powinienbyś oszczędzać kapelusza, bo masz włosy tak siwe jak i ja.

— A na ciemieniu darmo-by kto i szukał—zaśmiał się stary. Wam kobiétom rzecz ta dłużéj służy niż nam, wdzięczna wam widać za lepsze pielęgnowanie. Ja nie potrzebuję ani kapelusza ani sandałów ani płaszcza! Stary chłop nie dba na chłód poranny. Kiedym był bębnem, wcalem nie był mniéj biały od córki twego pana, téj jasnowłoséj Ksanty; a teraz głowa i szyja, ramiona i nogi, wszystko, czego wełniany chiton nie przykrywa, takie czarne jak skórzany wór na wino, zanim go w dymie powieszą; a ciemna ta barwa jest jakgdyby ochronném odzieniem, a nawet czemś lepszém, bo mi pomaga, jak sądzę, nie tylko do łatwiejszego znoszenia zimna ale i upału. Nic już na mnie białego nie ma, tylko ten kawałek brody, te kilka włosów na głowie i te dwa szeregi nieposzlakowanych—dzięki bogom—zębów.

Mówiąc te słowa, Jazon powiódł brunatnemi twardemi palcami najprzód po górnéj, potém po dolnéj szczęce, które się naprawdę

---

(1) Jestto formuła powitania.

potężnie przedstawiały. Klucznica natomiast zacisnęła usta starając się zakryć niejakie po-za wargami spustoszenia, i odpowiedziała:

— Wam zęby są tak wierne jak nam włosy, bo mężczyźni dzielniéj ich używać umieją, aniżeli kobiéty. A teraz pokaż, co umiesz! Mamy tu na śniadanie doskonałą zupę z sera, terebintu i suchéj cielęciny. Jeśli się dziewka uwinie, nie długo będziesz czekał. W naszym domu każdemu gościowi, nawet niezbyt przyjaźnie usposobionemu, radzi jesteśmy.

— Nie dla jadła wstąpiłem tutaj—odparł stary. Ja już i tak swoje przekąsiłem. Coś mi leży na sercu, o czémbym chciał pomówić z tobą, co jesteś rozumną szafarką, a nawet mogę powiedziéć, panią tego domu i troskliwą opiekunką jedynéj jego córki.

Semestra, słysząc to, zwróciła się całą swą pomarszczoną twarzą ku starcowi, otworzyła oczy jak mogła najszerzéj i zawołała żywo do krzątającéj się przy ognisku Doryppy.

— Zostaw nas samych!

Dziewczyna poszła zwolna ku drzwiom i spróbowała się ukryć poza wystającym słupem, ażeby ztamtąd podsłuchiwać; ale Semestra dostrzegłszy ją, wstała z siedzenia, laską mirtową popchnęła ją na dwór i krzyknęła:

— Niech tu nikt nie wchodzi, póki was nie zawołam. Nawet Ksanta niech nam nie przeszkadza.

— Toż przecie sami nie zostajcie, bo do takiéj pary przyłączają się zaraz Afrodyta i wszystkie Erosy—zawołała dziewczyna, wyskakując za próg.

Po za nią zamknęły się drzwi z trzaskiem.

— Co ona powiedziała?—spytała Semestra, patrząc za śmiejącą się z niedowierzaniem. Ile przykrości trzeba znosić od sług, to, Jazonie, wypowiedziéć niepodobna; zwłaszcza od czasu, jak się stały głuchawemi.

— Głuchawemi?—zapytał starzec ze zdziwieniem.

— A tak; ledwie co czwarte słowo rozumieją jak należy; ba, nawet Ksanta, co dopiéro siedemnastu lat dobiegła, zaczyna cierpiéć na głuchotę.

Po wesołéj twarzy starca przemknął pośpiesznie uśmiech; głos wyżéj podnosząc, rzekł pochlebnie.

— Nie każdy szczycić się może tak delikatnemi zmysłami" jak ty, Semestro; czy masz czas mnie posłuchać?

Klucznica skinęła na znak zgody, oparła się o słup najbliżéj ogniska stojący, położyła obie ręce na kiju i pochyliła się tułowiem

naprzód, chcąc dać poznać, że chce słuchać uważnie i nie życzy sobie utracić ani jednego słowa z mowy starca.

Jazon stał wprost naprzeciw niéj, a podczas gdy się wzajemnie oczyma mierzyli, ona podobna była do przezornéj kotki, co się spodziewa napadu, mniéj bystrego, ale silniejszego kundysa.

— Wiesz o tém—zaczął stary—że przed wielu laty kiedyśmy oboje, ty jako mamka, ja jako rządca do tych dóbr przybyli, to piękne grunta naszych dzisiejszych panów należały bez podziału do ich ojca. Trzech synów dali bogowie staremu. Najstarszy, Alkifron, któregoś ty wykarmiła swą piersią i wyniańczyła swemi rękami, poszedł w świat, został w Messenie wielkim kupcem. Po śmierci ojca sowicie go wynagrodzili bracia i złotem i srebrem i domem w przystani; ziemią zaś podzielili się Protarch i Lizander. Mój pan, jako najstarszy po Alkifronie, dostał dom dawny, twój zaś wybudował sobie to nowe, piękniejsze mieszkanie. Pod naszym dachem zakwitnął syn jedyny, dorodny Faon, pod waszym urocza Ksanta. W tém pan mój pożeglował do Messeny nie tylko po to, żeby sprzedać naszę i waszę oliwę, ale także, ażeby porozumiéć się z opiekunem pewnéj bogatéj dziedziczki, o któréj brat mu pisał. Pragnie on mieć ją za żonę dla Faona; ale według mego zdania, Faon jest stworzony dla waszéj Ksanty a Ksanta dla Faona. I niczego téż nie brakowało, tylko żeby Hymen...

— Żeby Hymen, sądzisz,—przerwała Semestra—żeby Hymen połączył ich z sobą. Po dziedziczki trzeba się nachodzić, nie dadzą się one tak zrywać jak jeżyny. Jeśli dziedziczka pogardzi wieśniaczym zalotnikiem, to pewnie i Protarchowi i tobie i wam wszystkim wyda się rzeczą arcypożądaną, żeby Ksanta okazała się mniéj wybredną, bo wtedy nasze grunta z waszemi się zespolą.

— I byłaby znowu jedna całość, jak za czasów Dyonizyusza.

— A wy sami tylko mielibyście stąd zyski.

— Nie, Semestro, i nam i wam wyszłoby to na dobre; bo od chwili, kiedy pan twój spadł nieszczęśliwie z wysokiego muru otaczającego winnicę, brak tutaj oka pańskiego i niejedno nie tak się dzieje, jakby dziać się powinno.

— Co się chce koniecznie zobaczyć, to się i widzi—zawołała Semestra. Nasz majątek w niczém nie ustępuje waszemu, co się tyczy zarządu.

— Chciałem tylko powiedziéć.

— Że wasz Faon wydaje się tobie jak raz na to stworzonym, żeby mojego pana zastąpić. Ja o tém myślę inaczéj; a jeżeli tak daléj pójdzie, to i Lizander potrafi jeszcze używać nóg nanowo.

— Chory przychodząc do zdrowia potrzebować będzie spokoju, a ponieważ od śmierci twojéj i mojéj pani niesnaski nie ustają...

— Nigdyśmy jeszcze pokoju nie zakłócili.

— A nam kłótnia wydaje się jeszcze wstrętniejszą niż wam; ale jakież to często przytrafiają się między pastuchami i stróżami winnicy bójki i siniaki z powodu spólnie do nas należącego źródliska, a ten pięknie spojony taras nad brzegiem morza wraz z ławką marmurową jakże się już popsuł! a niedługo zniszczeje całkiem, a to dlatego, że twój pan chce, ażeby koszta naprawy do mego...

— I ja go codzienie w tém umacniam. Myśmy dali zupełnie nową cembrowinę przy źródle, więc też słuszną jest rzeczą, że pan mój żąda, aby Protarch kazał poprawić taras murowany. My nie ustąpimy, a jeżeli wy...

— Jeśli my odmówimy zadośćuczynić woli Lizandra, to wtedy powstaną właśnie te niesnaski i kłótnie, którym zapobiedz chciałbym za pomocą związku Faona z Ksantą. Twój pan przywykł iść za twoją radą, jak gdybyś była jego matką rodzoną. I rzeczywiście opiekujesz się biednym kaleką jak matka; a gdybyś tylko zechciała...

— Lizander inne ma zamiary, a ojciec Faona szuka przecież dla synka swego dziedziczki w Messenie!

— Ale z pewnością nie wedle życzenia młodzieńca: ja też nie przyszedłem na rozmowę z tobą w imieniu Protarcha.

— Więc to *ty* planik osnułeś, ale zdaje mi się, że on pójdzie z dymem; powiedziałam ci już: pan mój ułożył sobie co innego...

— Więc *ty* staraj go się zjednać dla nas; nie, nietylko dla nas ale dla dobra domu tego.

— Nie dla domu tego, tylko dla was. Plan twój nie podoba mi się.

— A dlaczego?

— Nie chcę właśnie tego, czego wy pragniecie.

— ,,Nie chcę"—oto mi doskonały powód kobiecy!

— A doskonały! bo ja przynajmniéj niczego nie chcę, czegom starannie nie rozważyła. Trzeba ci wiedzieć, że Alkifron z Syrakuz, najstarszy brat naszego pana, w jednym liście swatał swego syna Leonaksa nie z waszą—tam dziedziczką, która ze względu na własny jego dom zbyt małoznaczącą mu się wydaje, ale o naszę panienkę. Z radością oświadczyliśmy naszę na to zgodę a za kilka dni, może jutro nawet, przyjedzie tu nasz zalotnik wraz z panem twoim z Messeny, ażeby się narzeczonéj przypatrzyć.

— Jednakże ja obstaję przy swojém: wasza Ksanta należy się naszemu Faonowi; i gdybyście wy jako ludzie wyrozumiali zechcieli działać w myśl Dyonizyusza...

— Alboż Alkifron, najlepszy i najrozumniejszy z ludzi, nie jest także synem Dyonizyusza? Jego pierworodnemu życzę przed wszystkiemi innemi posiadania tego płodnego kawałka ziemi, a kiedy gospodarny i przemyślny ulubieniec bogatego ojca, kiedy Leonaks rozkazywać tu będzie przy boku Ksanty, wtedy nie zabraknie téż środków, żeby naprawić nadbrzeże i choćby kilka ławek marmurowych postawić.

Na te słowa starcowi krew uderzyła do głowy; zawołał téż gwałtownie:

— Do nieprawdy dodajesz szyderstwo. Znamy się na tém! Ażeby się przypodobać Alkifronowi, swemu mlecznemu synowi, zrobiłabyś nas wszystkich żebrakami. Jeżeli Lizander odda córkę Leonaksowi za żonę, to twoja, wyłącznie twoja tylko sprawka, ale my się postaramy.

Semestra nie dała się nastraszyć, lecz wzburzona podniosła do góry laskę mirtową i przerwała Jazonowi, mówiąc głosem donośnym a drżącym.

— Masz słuszność. Do Alkifrona rwie się to starzające się serce, które ciągle jeszcze szybko mi bije, jeśli tylko choćby imie ulubieńca posłyszę: a wy, wy doprawdy zamało zrobiliście ażeby nas sobie zjednać. Zeszłéj jesieni moszczu zebrało się takie mnóstwo, jakiegośmy się nie spodziewali. Brakło nam worków skórzanych, a kiedyśmy was prosili, żebyście dali swoich...

— Tośmy odmówili, bośmy nie wiedzieli sami, co począć z tém błogosławieństwem.

— A kto zamordował haniebnie mego szarego kota?

— Bo się zakradł do Faonowego gołębnika i zadusił gołębięta najpiękniejszéj pary.

— To kuna, a nie moje poczciwe, kochane zwierzątko. Wasze postępowanie dowodzi nieprzyjaźni, bo kiedy wczoraj nasza ciemnobrunatna kura przefrunęła ku wam, to ją kamieniami wypędzili. Może ją Faon wziął za sępa z ostrym dziobem i silnemi pazurami, co?

— Przepędziła ją dziéwka, gdyż drób wasz od czasu jak pan twój choruje i nie może sam dopilnować, ażeby się w niczém krzywda nie działa, dzień w dzień tuczy się naszym jęczmieniem.

— Dziwię się, żeś nas jeszcze nie napiętnował jako napastników!—krzyknęła Semestra. Tak, tak, nawet gdybyś mię sam we własnéj osobie wybił kijem, tobyś potém powiedział, że mi przypad-

kowo spadła na grzbiet sucha gałąź z drzewa figowego lub oliwnego. Znam was aż zanadto; to téż nie wasz ospały Faon, o którym powiadają, że czuwa wtedy, kiedyby mu raczéj przystało w domu spoczywać, ale Leonaks, syn Alkifrona, weźmie panienkę naszę za żonę. Nie ja to mówię, lecz tak rozkazuje Lizander, mój gospodarz i pan.

— Twoja wola jest jego wolą—przerwał starzec Jazon. Ani mi w myśli nie postało robić przykrość temu cierpiącemu mężowi, ale odkąd on jest chory, ty grasz rolę pana a on powinienby klucznikiem się nazywać. Zapewne, pod tym dachem ty znaczysz daleko więcéj niż ktobądź inny, lecz tysiąc razy potężniejszemi od ciebie są Eros i Afrodyta, gdyż ty panujesz za pomocą patelni, rożna i miękkich poduszek, a oni rządzą sercami swą boską nieprzepartą potęgą.

Semestra zaśmiała się szydersko i, uderzając laską mirtową o twardą posadzkę, zawołała.

— Rożen mój jest dobry i Eros może przyjdzie mu w pomoc ze swemi strzałkami, bo Ksanta nie więcéj dba o twego Faona jak ja nie dbałam o kogoś, co stoi przedemną, kiedy jeszcze był młodym. Eros lubi ucieranie się z przeszkodami! Kto tak razem wzrasta i codziennie jedno drugie spotyka, rano, w południe i w wieczór, to się do siebie przyzwyczaja jak noga do trzewika i trzewik do nogi, ale serce pozostaje swobodném. Ale kiedy piękny nieznajomy z włosem namaszczonym i w bogatym ubiorze pokaże się niespodzianie dziewicy, wówczas synaczek Kiprydy łuk swój napina.

— Ale strzały nie wypuszcza—rzekł Jazon—kiedy wie, że już inny strzał utkwił w sercu dziewicy. Każdy może sobie pozyskać każdą pannę z wyjątkiem téj, któréj duszę zapełni miłość do innego mężczyzny.

— Siwowłosy kawaler mówi to z doświadczenia—odparła szybko Semestra. A tenże wasz Faon! Czyż on rzeczywiście płonie ku naszéj dziewczynie? A to jakżeby mógł się starać albo pozwolić, żeby się dla niego starano o inną; toż to wszystko jedno. Ale szkoda mi słów tylu! Wiesz-że o tém, że naszę Ksantę znam lepiéj aniżeli ty i wiem, że ma tak mało pociągu do swego rowieśnika, jak ten oto słup z lewéj strony ogniska do słupa z prawéj, chociaż także już bardzo dawno pod tym samym dachem obok siebie stoją...

— A czy ty wiesz, co czuje marmur?

— Nic a nic, Jazonie, to jest ni mniéj ni więcéj tylko tyle, ile Ksanta dla Faona... Ale, cóż to tam za hałas przed bramą?

Jeszcze klucznica mówić nie przestała, gdy się uchyliło cokolwiek jedno skrzydło drzwi i przez ten otwór służąca Doryppa zawołała:

— Można wejść? Przyszedł posłaniec od Protarcha.

— Wpuść go krzyknęła żywo Semestra.

Brama szeroko się rozwarła; a do gineceum weszły obie dziewki a z niemi Mopsus brat rześkiéj Chlorydy. Siostra uwiesiła się bratu u ramienia, a kiedy weszli na podwórze, zdjęła kapelusz podróżny o szerokich brzegach z brunatnawych jego pukli, a czarna Doryppa zaszła mu z tyłu i pchnęła ociągającego się za próg komnaty kobiécéj, jak się łódź na morze wypycha.

Na żywe zapytania klucznicy odpowiedział, że Protarch sprzedał w Mesenie oliwę Lizandra równie dobrze jak swoję własną, że dla sąsiada swego Kleona kupił dwa konie i wysłał je naprzód pod jego opieką; dodał w końcu, że jeśli wiatr się nie odwróci, to Protarch mógłby dziś jeszcze przybyć do domu.

Mówiąc to wszystko, wyjął ostrożnie z za pasa, co ściągał nad biodrami jego niebieski, biało bramowany chiton, kawałek papirusu i podał go Semestrze wraz z pozdrowieniem od swego pana.

Klucznica obejrzała z obu stron tę żółtawą kartkę, wykręciła ją raz jeszcze i przybliżyła do samych oczu, przyczém wahająco się i niechętnie spojrzała na starego Jazona. Na co ma on wiedzieć, że ja czytać nie umiem—myślała sobie—toć Ksanta potrafi odcyfrować pisane znaczki a przyjdzie niezadługo na śniadanie.

— Może przeczytać?—zapytał starzec.

— Mogłabym i sama, gdybym tylko chciała—odparła klucznica, wodząc laską po posadzce i kreśląc różne ostre i rozwarte kąty, jak gdyby pisać zamierzała. Mogłabym, ale nielubię słuchać nowin na czczy żołądek; a to, co w tym liście powiedziano, jak mi się zdaje, obchodzi mnie a nie kogo innego. Ruszaj-no, Doryppo, i zawołaj Ksantę na śniadanie!

— Już ja wiem, co tam na tym świstku stoi—zawołała dziewczyna, niechętnie się rozstając tak prędko z bratem swéj towarzyszki, któremu z duszy sprzyjała a który miał jéj dużo jeszcze naopowiadać o swéj podróży do Messeny. Mopsus nam gadał, że synowiec naszego pana, Leonaks, syn Alkifrona, przyjedzie wraz ze stryjem i zabawi z tydzień albo i więcéj jako gość nie tam u Protarcha, ale w *naszym* domu. Ma to być słuszny młodzieniec, większy jeszcze od Faona, a Mopsus powiada, że żona Alkifrona, grube pieniądze, z polecenia naszego pana, w Messenie wydała i nakupiła u spółtowarzyszy swego męża złotych spinek i strojów kobiecych, nawet takich, które noszą tylko matrony.

Na te słowa po zmarszczonéj twarzy Semestry przemknął, jakby powiew wiosny po ogrodzie ogołoconym z liści, uśmiech radości i nadziei. Nie myślała już teraz o złych skutkach, jakie sprawić mogła nowinka na czczy żołądek i z lubością okiem duszy przypatrując się pięknéj niebieskiéj sukni matron i błyskowi bogatych podarków ślubnych Ksanty, spytała żywo tak miłego i pożądanego posła:

— Czy ona prawdę mówi? I jakie-to tam stroje?

— Ja sam niosłem ubranie—odrzekł Mopsus—i ułożyłem je do pięknego, obrazami z kości słoniowéj ozdobionego skarbczyka, jaki dostaje zwykle nowozaślubiona wraz z podarkami ślubnemi. Pomagała mi w tém Praksylla, wspaniała siostra żony Alkifrona; dała także...

— No idźcie i zawołajcie Ksanty—przerwała posłańcowi Semestra, która słuchając słów jego nieraz z cicha zachichotała.

Kiedy dziewczęta wraz z Mopsusem szybko się oddaliły, spojrzała na Jazona wzrokiem pełnym radości, i wyrazu zwycięztwa.

Potém przypomniała sobie, że jeszcze dużo i bardzo dużo zostawało do roboty dla przyjęcia młodego zalotnika, Leonaksa; to téż głośno krzyknęła:

— Doryppo, Chlorydo! Chlorydo, Doryppo!

Ani jedna ani druga zdawała się jéj nie słyszéć; Semestra straciwszy wszelką nadzieję odebrania odpowiedzi, zwróciła się do Jazona, ściskając ramionami, i rzekła:

— Takie młode a takie głuche, to smutno! Trzeba im nowe uszy poprzyprawiać. Nieszczęśliwe dziéwki!

— Mopsus jest milszy od ciebie i *nie chcą* słyszéć—zaśmiał się Jazon.

— Nie, one *nie mogą*—zaprzeczyła żywo Semestra, Mopsus jest zuchwałym, niegodziwym nicponiem, którego już nieraz z domu wygnać chciałam, ale proszę mi takiego znaleść, coby mi posłuszeństwa odmówił!... A co do twego projektu, toś przecie słyszał wyraźnie, że nasza panienka przeznaczona dla Leonaksa.

— A jeżeli Ksanta nie zechce Leonaksa i przeniesie Faona nad obcego młodzieńca?

— Syn Alkifrona ma być *obcym* na ziemi swych przodków! — zawołała Semestra.—No, niejednego można się nasłuchać; ale ja muszę zabrać się do roboty, bo trzeba przygotować jak najlepsze przyjęcie dla Leonaksa, ażeby odrazu mógł zmiarkować, że tu nie jest obcym, lecz zupełnie domowym. No idź sobie, jeśli chcesz i złóż ofiarę Afro-

dycie, ażeby zjednoczyła serca Ksanty i Faona; ja zostaję przy swoim rożnie.

— To właściwe dla ciebie zajęcie — zawołał Jazon — ależ nie używasz go jeszcze na wesele Leonaksa.

— Dla Faona—odparła Semestra—upiekę pieczeń weselną, ale nie prędzéj—przysięgam ci—aż zwierzę ofiarne, które sama utuczyłam, skłoni z piany zrodzoną boginię, żeby serce Ksanty zapaliła słodką miłością nie dla Leonaksa, tylko dla Faona, dla syna pana twego Protarcha!

2. Ksanta.

— Ksanto, Ksanto!—wołała Semestra w jakiś czas potém—Ksanto! Gdzież się ta dziewczyna podziała?

Starowina weszła do ogrodu, a umiejąc czas spożytkować i lubiąc łączyć jedno zajęcie z drugiém, szukała tedy swéj wychowanicy, raz-po-raz imię jéj wywoływała, równocześnie zaś zrywała warzywo i zioła, na których rosa świeżego poranku świetnym a wilgotnym perliła się blaskiem jakby słońca zwierciadło.

Przytém nie tyle myślała o Ksancie, ile o synu swego ulubieńca, o pieczeni, ciastkach i przyprawach, które dla niego przygotowywała.

Co ojciec jego w dzieciństwie jadał z największym apetytem, to wszystko chciała starannie przyrządzić dla Leonaksa, bo co ojciec lubił (myślała sobie), to i dzieciom smakować musi.

Ze dwadzieścia razy nachyliła się to do świeżéj lawendy, to do zielonéj sałaty i młodziutkiéj czerwonawéj rzepy, i za każdym razem, prostując się przy pomocy laski mirtowéj o tyle, o ile wiekiem zgarbione plecy pozwalały, powtarzała: Ksanto! Ksanto!

Chociaż jednak nawet zadarła głowę tak, iż słońce w otwarte usta świeciło, chociaż siła jéj płuc nie była małą; żadnéj odpowiedzi nie otrzymała.

Ale to jéj nie zaniepokoiło, gdyż dziewczę nie mogło być daleko a Semestra już przywykła do tego, że Ksanta długo na siebie czekać kazała i nie odpowiadała odrazu.

Co prawda, to dzisiaj odpowiedzi nie było słychać przez czas dłuższy niż zwykle.

A przecież dziewczyna doskonale słyszała donośny a piskliwy głos staruszki; tylko nie więcéj nań zwracała uwagi jak na gdakanie kur, na wrzask pawiów lub gruchanie gołębi na podwórzu.

Wiedziała ona, że klucznica woła na śniadanie, ale kawałek suchego chleba, który brać ze sobą na przechadzkę zwykła, wystar-

czył najzupełniéj do zaspokojenia głodu. Ba, gdyby ją Semestra wabiła najwyborniejszemi nawet ciastkami, toby nie zdołała jéj w téj właśnie chwili odciągnąć od ulubionego miejsca przy źródle.

Zdrój ten wytryskiwał obficie z najwyższéj skały w majątku jéj ojca. Często przychodziła tu Ksanta a zwłaszcza wtedy, gdy serce niepokojem biło.

Było téż to miejsce prześliczne!

Ze szczeliny skały wydobywała się z szumem połyskująca woda i, po lewéj stronie ławeczki, na któréj zwykle siadywała Ksanta, spływała do przejrzystéj drobniuchnéj sadzawki, wyłożonéj po brzegach płytami białego, pięknie wygładzonego marmuru. Na piaszczystém jéj dnie każdy czerwonawy kamyczek, każdą kulkę śnieżystego kwarcu, każdy rożek i każdą prążkę i smużkę ślicznych muszli widać było tak wyraźnie, jakby się je na dłoni przed oczyma trzymało; a jednak woda dno to pokrywająca tak była głęboka, że gdyby Ksanta chciała stopami tę wodę zgruntować, to połyskująca złotem spinka na jéj krągłém ramieniu a nawet gemma przytrzymująca jéj peplos na plecach musiałaby się zamoczyć.

Wody téj sadzawki były tak zielone a tak jasne jak kryształ, gdy do topniejącéj jego masy rzucano ziarna szmaragdu, ażeby i one się przemieniły w płynne kropelki.

W dalszym swym biegu, wody te płynęły korytem wysłaném roślinnością najróżnorodniejszą.

Tuż nad brzegami szybko ku dolinie pędzącego strumienia zwieszały się piękne powoje, zielenił się bujny mech już-to w cienkich smugach lekko ponad kamienie wybiegających już-to w dużych wilgotnych kępach przylegających mocno do skały. Delikatne zielone roślinki, poruszane na wszystkie strony naciskiem pluszczącéj wody, rosły wszędzie na dnie strumyka; a gdzie tenże, płynąc ciągle w dół, mógł odpocząć na miejscach równiejszych, owiewały go paprocie błotne kłaniając się uprzejmie, jak strusie pióra nad kołyską drzemiącego królewicza.

Ksanta lubiła iść za biegiem strumienia niknącego w zaroślach mirtowych.

A gdy przybywszy na swe ulubione miejsce, spoglądała w koło siebie, to widziała przedewszystkiém po prawéj i lewéj stronie potoku daleko ciągnące się ogrody i pola ojca swego i stryja, zarówno na łagodnéj pochyłości góry jak i na wązkiéj równinie przy brzegu strumienia.

A to wszystko wielce podobne było do niestrzyżonego kobierca, w którym na tle zielonėm wyhaftowano białe i złotawe punkta, albo téż do jednego z owych koszyków, które w święto Demetry no-

szą dziewice na głowach, napełniając je aż po brzegi różnobarwnemi liśćmi, i z po za których wyglądają owoce jaśniejsze i ciemniejsze.

Młode zarośla granatów i mirtów puszczających już pędy, wesoło odbijały od ciemnéj zieleni połyskujących liści oliwek sękatych.

Na krzakach i krzewach błyszczały wonne róże gorącą czerwienią, jak gdyby ognisty słońca pocałunek do życia je powołał; a kwiaty brzoskwiń i migdałów jaśniały na gałęziach drzew delikatnemi barwami, jakby usta dziecka obudziły je ze snu.

Z dziwnie posplatanych z sobą gałęzi drzew figowych wyrosły świeże jak wiosna listeczki a do nich przylgnęły przepełnione torebki owoców. Wśród tęgich, błyszczących, zimą niespożytych liści wisiały złociste cytryny, a w długich szeregach strzelały w górę wysmukłe, ciemno-zielone cyprysy, jakby poważne przemowy chóru wśród wesołéj świątecznéj zabawy. Podobny do obozu o szeroko sklepionych, okrągłych namiotach, przedstawiał się oczom patrzącéj w dół dziewczyny sosnowy lasek jéj ojca; a kiedy wzrok swój zapuściła głębiéj, dostrzegała morze spokojne, którego szeroka powierzchnia wśród tak miłego poranku lśniła tu jak jasny bławatek, ówdzie jak szafir wygładzony a wszędzie starała się jakoby własnym błękitem prześcignąć barwę czystego nieba. A jak na firmamencie przebiegały chmurki srebrzyste, tak na morzu mknęły żagle białawe.

Zielenią pokryte pagórki stanowiły ramy tego miłego obrazka. Na ich pochyłościach, obficie ziołami porosłych, widać było to połyskujące od białości świątynie, to wsie i domy i chaty jakby trzody i rozpierzchłe owce, odpoczywające pod cieniem krzewów liściastych.

W koło głów ludzi wesołych wiją się kwieciste wieńce; tak tutaj dom każdego zamożniejszego rolnika otoczony był gajem lub ogrodem.

Po za pagórkami wznosiły się potężne w ostro zarysowanych liniach nagie czoła dalszych wysokich gór i śnieżny wierzchołek odpoczywającéj Etny świetnie z po za chmur pobłyskiwał.

Teraz, przy tak wczesnym ranku, nad morzem i ogrodami, nad pagórkami i skałami dalekiemi unosiła się delikatna zasłona barwy opisać się niedającéj. Doznawało się takiego wrażenia, jak gdyby na urobienie téj tkaniny morze dostarczyło wątku, na którém złote słońce dziergało.

Przecudny-to był krajobraz, ale nie dla przypatrzenia mu się wracała Ksanta ku źródłu; a może nawet i nie wiedziała, że on był pięknym.

Zapewne, kiedy morze jaśniało szafirem nieba i jak dzisiaj spoczywało nieporuszone, myślała sobie, że w rozkosznéj drzémce wygrzewa się na słońcu Glaukos, bóg błękitu morskiego.

W inne dni pogodne, kiedy się przelewały fale i bałwany, kiedy biała piana wieńczyła ich wierzchołki, a one wyglądały jak nieprzejrzanéj długości smugi w ciągłym ruchu o brzeg się bijące, Ksanta sądziła, że to pięćdziesiąt cór Nereusza oddaje się zabawie wśród jasnych nurtów.

Miłe-to były kobiétki a ich sztuczki były bardzo swobodne.

Jedne spokojnie się kołysały w połyskującéj wodzie, drugie rzucały się śmiało na grzbiety brodatych Trytonów, popędzając ich raźnie, by w liniach falistych po przez toń je wieźli.

Kiedy spienione fale z szumem o brzeg uderzały, zdawało się Ksancie, że słyszy, jak ci siłacze podtrzymując tułów łuszczastym ogonem, dmą szerokiemi usty w zębate muszle. Niejeden błyszczący grzbiet ciemno-błękitnéj fali, nie był z pewnością pianą morską; o nie! bowiem widziała wyraźnie, że to był biały grzbiet albo świecące ramię, albo srebrem błyszcząca noga córek Nereusza. Zdawało się jéj nawet, że widzi dokładnie, jak się te wesołe bogińki pluskały w niebieskiéj toni; raz głową to znów stopami zapuszczając się w głębinę, albo téż lekko się w kółko kręcąc wypływały na powierzchnię wody. Jedna drugiéj uprzejmie podawała rękę i przy tém bardzo często ukazywały się na załomie fal ich ramiona zgięte przecudnie.

Codzień inne wyprawiały figle, tak jak morze nie wyglądało nigdy jednakowo; bo co godzina zmieniała się jego barwa i tu i owdzie i wszędzie.

Smugi jasne, jak niebiesko-zielona przezroczysta gaza, częstokroć przebiegały poprzez ciemniejszą powierzchnię, wyglądającą jak płaszcz purpurowo-błękitny z drogiéj fenickiéj materyi. Ba, nurt morza mógł być tak czarnym jak oko Nocy i tak białym jak szyja Leukotei.

Naówczas atoli ukazywała się niebawem Amfitryta z włosem rozwianym a głosem donośnym, a wraz z nią Pozejdon na swym wozie w czwórkę zaprzężonym.

Patrząc ponuro zacinał ostro swe rumaki biczem, co świszcząc przerzynał powietrze. Gniewnie zapuszczał swój trójząb w morze, a natychmiast powlekały się bałwany jasno-brunatną i ciemno-żółtą i czarno-zieloną barwą, morze zaś nabierało podobieństwa do jakiegoś płytkiego stawu o dnie błotnistém, gdy robotnicy rzucają weń kamienie. Woda natenczas czystość swą zupełnie traciła, a fale rozhukane spienione pryskały ku niebu i groziły zniszczeniem marmurowego tarasu. Drżące Nereidy chowały się na wiecznie spokojne dno morza, Trytony nie potrzebowały już wcale wydrążonych muszli, by na nich łagodne wygrywać melodye; one teraz wydawały głośne

tony pieśni wojennéj, jak gdyby szło o zdobycie twierdzy nieprzyjacielskiéj, Amfitryta zaś obu rękami porywała długie, rozlatujące się włosy a wyciągnąwszy szyję i głowę rykiem wybuchała szalonym.

Dzisiaj atoli morze spoczywało. I kiedy Ksanta doszła do źródła, to rąbki mleczno-białych, lekko płatkami na siebie zachodzących chmurek, różowym jeszcze blaskiem grzbiety wyższych skał pokrywały. Był-to kraj szaty znikającéj Jutrzenki (Eos), były-to listki kwiatów rozrzucane przez Hory na drodze, po któréj potoczyć się miał czworosprzężny wóz Heliosa wyjeżdżający z morza.

Dzisiaj i o téj godzinie światło dzienne spływało bez przeszkody na cyprysy rosnące na wzgórzach, liście krzewów kołysały się w ogrodach przy lekkich wiatru podmuchach; a Ksanta kłaniała się im, bo myślała, że to piękne Dryady życie drzewom nadające witały się z sobą i do siebie mrugały.

Na ołtarzu, stojącym obok jéj ulubionego miejsca spoczynku, a wzniesionym przez pradziada na cześć nimfy tego źródła, składała ona czasami odmawiając modlitewkę kwiaty a nawet i krągły placek na ofiarę; ale dzisiaj nie po to przyszła do źródła.

I cóż ją wywiodło tak wcześnie z domu aż tu na wzgórze?

Może przybyła do zdroju, aby na jego zwierciadlanéj tafli własny swój obraz podziwiać?

W domu na coś podobnego rzadko kiedy nadarzyła się sposobność, gdyż Semestra, widząc ją wpatrującą się w gładki krążek metalowy, mawiała zazwyczaj:

— Jeśli dziewczyna często używa tego bezużytecznego bawidełka, to z pewnością odkryje w niém obraz głupiéj.

Rzeczy zakazane pociągają ku sobie, ale Ksanta rzadko bardzo spoglądała w owo płynne zwierciadło, chociaż ono mogłoby ją zachęcać do częstego w niém przeglądania się, gdyż jéj postać była wysoka i smukła jak cyprys, jéj obfite jasne włosy miały jakiś odblask złotawy, owal twarzy pięknie był zaokrąglony, a duże niebieskie oko kształtną długą brwią ocienione. Oko to nie mogło ukryć nic z tego, co poruszało jéj duszę: kiedy była samą, zdawało się pytać: „Jaką też przyszłość przeznaczyli mi bogowie?“ A z jéj spojrzenia można było nieraz wyczytać odpowiedź: „Pewnie że piękną.“

Ksanta jednakże nie po to przyszła do źródła, by roić o jasnéj przyszłości; nie, przeciwnie przyszła tu po to, by być smutną, smutną z głębi duszy i by módz łzy wylewać nie narażając się na strofowanie. Nie płakała gwałtownie, lecz z jéj oczu płynęły powoli owe okrągłe słonawe kropelki, co spadają po jaśniejących młodością policzkach jak ze zranionego pnia brzozy płynie sok błyszczący... kropla po kropli.

Tak, Ksanta była tu smutną, chociaż wszystko, co ją otaczało, wydawało się tak wesołém i chociaż w jéj domu śmiech rzadko ustawał, a ona sama nie mniéj swobodnie i wesoło chichotała, aniżeli zuchwała Chloryda i czarna Doryppa.

Ojciec chory, a teraz właśnie powoli do zdrowia powracający, nie mógł odmówić żadnemu jéj zachceniu, a lubo Semestra opór niekiedy stawiała, to przecież w końcu Ksanta robiła zazwyczaj to, co się jéj podobało. Uroczystości i raźnych tańców nie brakło, a żadnéj z jéj towarzyszek nie przynosili młodzieńcy piękniejszych wstążek i żadnéj nie podawali chętniéj ręki, gdy mieli pójść w zapasy. Ze wszystkich naokół dziewcząt była ona najpiękniejszą, a Ismena, żona Fryksora, powiedziała, że śmiech Ksanty przy zabawie jest tak wesoły, że chromych nawet do tańca-by skusił; a przecież Ismena miała także córkę w wieku Ksanty, więc to co powiedziała, musiało być prawdą.

Dlaczegóż więc, na wszystkie bogi! czuła się Ksanta tak smutną?

A czyż potrzeba koniecznie jakiejś przyczyny, ażeby to wyjaśnić?

Czyż dziewczynę ma koniecznie spotkać jakieś nieszczęście, ażeby uczuła tęsknotę do płaczu?

Nie, z pewnością!

Im która jest weselszą trzpiotką, tém prędzéj nastrój taki owładnąć nią może.

Kiedy niebo świeciło długo w całym swym blasku i kiedy powietrze staje się tak dziwnie przejrzystém, że się wyraźnie rozpoznaje wierzchołki najdalszych nawet gór, to deszcz czekać na siebie nie daje; a któż może długo śmiać się całém sercem, żeby nie musiał w końcu łzami się zalać?

Temu kto doświadcza dotkliwego, choć nie najgłębszego, cierpienia; temu kto się wzbił na najwyższy szczyt zadowolenia i—dziewczynie uczucia miłości doznającéj: tym trojgu najchętniéj użycza niebo dobrodziejstwa łez.

Czyż i w młodém sercu Ksanty utkwiła strzałka Erosa?

Byłoby to rzeczą możliwą, ale ona nie wyznawała tego nawet sobie saméj a jeszcze wczoraj zaprzeczyłaby temu bez zająknienia.

A jednak jeżeli kochała jakiego młodzieńca i jeżeli dla niego przychodziła aż tu na wzgórze do źródła, to mieszkał on chyba w tym czerwonawym domu, co się okazale wznosił po prawéj stronie potoku, pomiędzy morzem a źródłem na pięknéj równinie; raz-po-raz bowiem ku niemu spoglądała Ksanta. Pod tym dachem przebywali, oprócz służby, sędziwy rządca Jazon i Faon, syn jéj stryja; gdyż sam Protarch pojechał okrętem do Messeny wioząc swoję oliwę i oliwę chorego jéj ojca.

Starości przypada w udziale jałmużna szacunku, młodości zaś— dar Erosa, to téż z pomiędzy trzech mężczyzn, co tam po prawéj ręce Ksanty mieszkali, jeden tylko mógł rościć pretensyą do tego daru a nawet miał do niego całkiem słuszne prawo.

Ksanta istotnie i przy źródle myślała o Faonie, ale czoło jéj fałdowało się przytém tak dumnie, że bynajmniéj podobną nie była do dziewicy poddającéj się tkliwym wzruszeniom.

Otwarły się właśnie drzwi czerwonawego dworu; Ksanta szybko powstawszy, spojrzała w tę stronę. Wyszedł niewolnik trzymający w ręku duży uszasty dzban z brunatnéj gliny o czarnym rysunku i ostrożnie wyjrzał na podwórze.

I cóż jéj zrobił ten siwowłosy barczysty starzec, że tupnęła nóżką w ziemię i górny rząd białych jak śnieg ząbków głęboko w dolną wargę zapuściła, jakby wielką jaką boleść zgryźć chciała!

Nikt nie może doznać mniéj przyjaznego przyjęcia jak ten niepowołany, co się nam zjawia zamiast upragnionego serdecznie; Ksanta zaś pragnęła ujrzéć nie niewolnika, ale Faona, co był synem jego pana.

Nie miała mu ona wprawdzie do powiedzenia nic, odskoczyłaby, gdyby Faon ośmielił się szukać jéj przy źródle; lecz mimo to pragnęła go widziéć, pragnęła przekonać się, czy Semestra prawdę mówiła, opowiadając, jakoby Faon zamyślał żenić się z jakąś bogatą dziedziczką, o którą ojciec starał się dla niego w Messenie.

Dla pieniędzy (tak zapewniała klucznica wczoraj w wieczór) zgodził się miec brzydką żonę, a teraz korzysta z nieobecności starego i, jak tylko zagaśnie ogień na ognisku, co wieczór wydala się z domu. A dobrze już po wschodzie słońca wraca dopiéro nocny ten ptaszek, pewnie z rozpustnéj biesiady w towarzystwie szalonego Hermiasa i innych rozpasanych koleżków z Syrakuzy. Oni potrafią wprawić w ruch zbyt powolny język Faona!

Potém opowiadała tegoż wieczoru Semestra, jak się to odbywają takie uczty, a gdy wspomniała także o malowanych flecistkach, z któremi młokosy miejskie pieniądze swych ojców marnotrawią, a w dodatku zrobiła z naciskiem uwagę, że Faon wygląda już tak nieświeżo i tak jest ospały, jak gdyby był pojętnym uczniem osławionego Hermiasa: — to Ksanta znienawidziła starowinę i o mało co nie zapomniała o czci, należnéj siwym jéj włosom, mówiąc jéj wprost, że kłamie i spotwarza.

Dziewczyna atoli nie mogła przemówić, gdyż potajemne staranie się Faona o bogatą Messenkę głęboko zraniło jéj duszę, a przytém

na twarzy dawnego jéj zabaw towarzysza rzeczywiście widać było większe aniżeli poprzednio zmęczenie i zadumę.

Na pochwały Semestry oddawane młodemu Leonaksowi, jéj krewnemu, Ksanta równie mało zwracała uwagi, jak na ćwirkanie świerszcza u ogniska; a zanim jeszcze klucznica skończyła, dziewczyna wstała i nie powiedziawszy nawet dobranoc wedle zwyczaju, odwróciła się od niéj i wyszła z komnat kobiecych.

Przyszedłszy do swego pokoju nie położyła się odrazu, ale długo jeszcze chodziła przed swojém posłaniem. Potém tak nieostrożnie włosy rozplątywać zaczęła, że ją aż zabolało.

Piękną chusteczkę czerwonego jak mak koloru, którą kładła zazwyczaj na swe złociste pukle, ażeby się w nocy nie splątały, tak szybko a tak mocno zawiązała pod brodą, że musiała ją natychmiast zwolnić, boby się udusiła.

Z drobnych nóżek zdjęła sandały, które posłuszna zaleceniu nieboszczki matki, zwykle stawiała obok krzesła przeznaczonego na składanie równo złożonych sukni, rzuciła tego wieczoru w kąt; myśląc bez ustanku o Faonie, o dziedziczce z Messeny i niegodziwém postępowaniu swego niegdyś towarzysza. Przytém postanowiła sobie wybadać, czy Semestra prawdę mówiła, i w ciszy nocnéj namyśléć się nad tém, co jéj należy przedsięwziąć, aby podejść Faona i wywiedzieć się, jaki ma on udział w swataniu podjętém przez ojca.

Ale bóg Morfeusz inaczéj zrządził, bo zaledwie Ksanta położyła się, lampkę zgasiła i kołdrą się dobrze owinęła, a już opanował ją sen.

Obudziła się dopiéro nakrótko przed wschodem słońca i natychmiast przypomniawszy sobie o Faonie, o dziedziczce i o niemiłych słowach Semestry, poszła ku swemu źródłu.

Stamtąd mogła zobaczyć, czy syn jéj stryja powracać będzie chwiejnym krokiem z miasta, czy téż wyjdzie rano jak zazwyczaj z domu, aby bułanki swoje, których żaden niewolnik dotykać się nie śmiał, zgrzebłem oczyścić i do wody zaprowadzić.

Nie pokazał się jednak, a zamiast niego wyszedł na podwórze barczysty niewolnik.

Jeżeli dawniéj tu na wzgórzu smutna była, dlatego że smutek sprawiał jéj przyjemność; to dzisiaj ból zagłębił się w jéj serce jak nóż, a ten kawałek białego chléba, który pomimo zmartwienia głód czując, do ust poniosła, wydał się jéj tak gorzkim, jak gdyby w piołunie był zmaczany. Solić go nie potrzebowała, bo o to postarały się już łzy nań spadające.

Dosłyszała ona wołania klucznicy, ale nigdy im nie była posłuszną natychmiast a teraz możeby na nie wcale nie zważała, gdyby

nie była spostrzegła, że..... rzeczywiście nie myliła się... że w całém znaczeniu wyrazu płakać zaczęła jak strofowane dziecko.

Płakać!

O kogo?

O tego-tam chłopca lekkomyślnego, niegodziwego, chciwego na pieniądze! Płakała ze złości na samę siebie a złościła się tak dobrze o to że płakała, iż nowe łzy popłynęły po policzkach...

Popłynęły, ale w niewielkiéj ilości, bo zanim się zaczerwieniły piękne jéj oczy, już oschły, jak to bywa zazwyczaj, kiedy są młode i kiedy się im coś nowego nawinie.

Głośno rozmawiając zbliżyło się do źródła dwoje dzieci, synek stróża winnicy i córeczka pasterza.

Ustroiwszy się dziwnie w świeży zielony bluszcz, który okręciły sobie około szyi i piersi, chciały one właśnie puścić łódkę z kory zrobioną na obmurowaną sadzawkę, dokąd źródło spływało.

Chłopak był właścicielem łódki, obiecał ją darować wczoraj dziewczynie a dzisiaj wzdragał się ją oddać, kładąc za warunek, żeby mu dała białe muszełki, które starszy jéj brat znalazł, ślicznie oczyścił i zawiesił na brunatnawém ramieniu przywiązawszy nitką. Chłopiec upierał się przy swém żądaniu i wyciągał rękę po muszle, dziewczynka broniła się łkając i płacząc.

Niespostrzeżona od dzieci Ksanta, ujrzawszy walkę przemocy ze słusznem prawem, szybko się do kłócących zbliżyła, uderzyła chłopaka po ramieniu, przyczém sprawiła się tak niezręcznie jak każda inna dziewczyna przy podobnéj czynności, odebrała chłopcu łódkę, oddała ją małéj a zwracając się ku niéj, rzekła:

— A teraz bawcie się razem i zgodnie, a jeżeli ci Syrus nie zostawi łódki i muszel, to przyjdź do mnie, biedna Stefanion.

Mówiąc to obtarła własną szatą oczy dziewczynki, wzięła ją za ramię, chwyciła czarnowłosą głowę chłopaka, przycisnęła łagodnie oboje dzieci i rozkazała téj parze:

— No, pocałujcie się!

Dziewczynka odważnie i uczciwie spełniła rozkaz, ale pocałunek chłopaka był raczéj podobny do uderzenia towarzyszki ustami, aniżeli do serdecznego uścisku.

Ksanta zaśmiała się wesoło, odwróciła się od dzieci i szła powoli ku dolinie.

Przytém jak błyskawice przelatywały jéj przez głowę różne drobne wydarzenia z ubiegłych czasów, z owych dni, kiedy ona sama była jeszcze małą i kiedy Faon bawił się z nią codziennie tak jak kędzierzawy Syrus z córeczką pasterza.

Wszystkie atoli obrazy, przesuwające się teraz po przed oczyma jéj duszy, wielce się różniły od tego, który dopiéro co widziała.

Kiedy razu pewnego powiedziała, że strumień mógłby zawieść do morza nie same kwiaty i liście, które weń wrzucała to Faon uśmiechnął się tylko z cicha, lecz nazajutrz znalazła tam wiatraczek drewniany, umocowany na osi, który Faon zrobił i postawił między kamieniami. Woda płynąca z góry uderzała w szerokie powierzchnie małych śmig i wprawiała je w ruch niezbyt szybki i niezbyt powolny. Całemi tygodniami cieszyli się oboje tą doskonałą zabawką; a on nie żądał za nią nawet słowa podzięki, ona téż nie powiedziała nic, tylko mu żywością swoją dała poznać, że się mocno cieszy i to Faonowi wystarczyło.

Kiedy zaczęła wraz z nim budować domek z piasku i kamieni i nie mogli go skończyć, to nazajutrz rozpoczynając zabawę nanowo, już znajdowała domek ten pokryty dachem i otoczony ogródkiem w którym gałązki, powtykane w piasek służyły za drzewa a czerwone i niebieskie kwiaty—za krzewy.

Siedzenie przy źródle on sam dla niéj zrobił, jak niemniéj ławeczki przy brzegu, które ułatwiały dostanie się do łodzi suchą nogą; a i tę łódkę pomalował Faon czerwoną i niebieską farbą, zdaleka błyszczącą, posłyszawszy, że się jéj podobała różnobarwna łódź sąsiada.

Teraz myślała o tych i wielu podobnych postępkach swego towarzysza, przypomniała sobie, że nigdy nic jéj nie obiecywał ale zawsze występował z rzeczami gotowemi, jakgdyby to tak być powinno.

Pożądać wynagrodzenia za podarek lub podzięki za robotę jak to zrobił kędzierzawy Syrus, Faonowi nigdy na myśl nawet nie przyszło.

Usługę za usługą robił jéj w milczeniu; ale niestety; Ksanta w téj chwili nie miała wcale ochoty uznać tych dowodów przywiązania.

Męszczyzni na nikogo prędzéj się nie gniewają jak na tych, od których wiele doznali dobrodziejstw, nie mogąc się za nie odpłacić; kobiéty, bez różnicy, młode czy stare, mają w tém do bogiń podobieństwo, że każdy dar męszczyzny jako ofiarę sobie należną ochotnie przyjmują, dopóki są względem dawcy łaskawie usposobione; dziś atoli właśnie Ksanta miała skłonność do gniewu na swego towarzysza zabaw.

Tysiące wspólnych radości i smutków połączyło ją z Faonem a w najdalszym punkcie widnokręgu jéj wspomnień tkwił wypadek, co dał nowy kierunek jéj przywiązaniu do niego. Matki ich obojga pomarły w tym samym dniu; od téj chwili Ksanta sądziła, że powinna nad Faonem czuwać i miéć o nim staranie, z początku naturalnie jako o wielkiéj żywéj lalce tylko, a potém i w sposób poważniejszy. A teraz on się jéj wymknął i bliski jest przepaści!

— A przecież Faon to zupełnie co innego niż wyuzdani chłopcy z Syrakuzy!

Od dziecka należał on do tych, co działają, nie tracąc słów napróżno. Jak marzyciel lubił chodzić po samotnych drogach, przyczém zazwyczaj spuszczał w ziemię swe wielkie, piękne oczy.

— Niepytany, rzadko przemawiał.

Nigdy się nie chełpił, że może to lub owo zrobić, albo że dokonał rzeczy doskonałych.

Nie okazywał się rozmownym przy pracy a nawet przy wesołéj zabawie.

Zwolna zabierał się do roboty, ale co raz przedsięwziął, to potrafił dobrze do końca doprowadzić.

Chętnie go widywano na placu szermierki lub w tańcu; młodzieńcy bowiem poważali jego siłę, wdzięczny powab zręcznych ruchów i spokojny, niczém nie zastraszający się sposób rozbrajania kłótników i samochwalców; dziewczęta zaś lubiły patrzéć pięknemu marzycielowi w głębokie jego oczy a podziwém były dla niego przejęte, kiedy on przy najdzikszych nawet obrotach schylał się i podnosił zawsze beznamiętnie i ściśle według taktu bębenka lub podwójnego fletu,—a zawsze powabnie.

Naturalnie były i takie, co mu zarzucały ociężałość, jeśli zapomniał zwrócić na nie uwagę; saméj nawet Ksancie przykro się robiło, gdy język jego nie znajdował ani jednego słówka na opowiedzenie tych interesujących rzeczy, jakiémi błyszczało jego spojrzenie. O, bo to oko było wymownéni! I kiedy jego głębokie, serdeczne spojrzenie, nie paląc się płomieniem, ale gorąco i potężnie działając jak strumień lawy, co w swéj cichéj wędrówce obala wszelką przeszkodę, ku niéj się zwróciło i z jéj wzrokiem się spotkało: wtedy pojmowała, że Faon milczy nie z ubóstwa ducha lub oschłości serca, ale dlatego, iż uczucia nim władnące są tak wielkie i silne, że ich żadne usta śmiertelne ubrać-by w słowa nie potafiły.

Mimo to wszystko gniewała się dzisiaj Ksanta na towarzysza zabaw; gniew zaś dziewczęcia ma dwoje oczu, z których jedno jest ślepe, a drugie zato widzi bystrzéj niż oko sokoła.

Co dawniéj w Faonie ceniła i lubiła, tego dziś Ksanta nie dostrzegała; to zaś, co słabą jego stronę stanowiło, widziała w samych skazach i plamach.

Tak, zapewne, milczący wiele przyjemności jéj sprawił, ale téż był niemy jak ryba, i z pewnością nieraz byłby się pochwalił i podziękowania zażądał, tak jak inni, gdyby lenistwo nie pętało mu nieruchomego języka.

Niedawno musiała podać rękę chudemu Ifisowi, gdyż Faon zbliżał się zanadto powoli. To ospalec, niedołężny marzyciel... Chciała mu téż powiedziéć, że lepiejby mu przystało swobodnie się wyciągać na posłaniu i ćwiczyć się daléj w milczeniu, aniżeli starać się o obce dziewczęta i hulać w nocy z rozpustnymi koleżkami. .

(*C. d. n.*)

OSTATNIE LATA WITOŁDA.

CZĘŚĆ DRUGA.

Od dawna nie widział i nie zaraz zobaczy świat tak wspaniały zjazd trzech panujących, jakim był zjazd trzech potężnych mocarzy w Łucku, mówi nasz Długosz, podnoszący tę okoliczność, że Polacy wszystkich zaćmili liczbą, blaskiem, potęgą i powagą. W rzeczywistości—możnowładcy polscy, towarzyszący królowi w orszaku, ogołocili jego koronę już na tyle z blasku majestatycznego, że mogli nabytkami przyćmiewać liczny orszak litewski, składający się z całéj rzeszy potulnych książąt litewskich, ruskich i tatarskich, jakotéż mniéj liczny króla Zygmunta, złożony po większéj części z Węgrów. Ostatni, jak zwykle spaźniający się, miasto na dniu 9 przybył dopiéro 22 stycznia, miał bowiem jeszcze „mnóstwo spraw“ do załatwienia, z którego to powodu zresztą starał się pośpiesznym gońcem usprawiedliwić przed wyczekującymi go książętami. Sprawy, których bliżéj nie objaśniał, odnosiły się do terroryzowania husytów; środek niewinny, którego często używał wyzyskując pozorne zbliżanie się do Polski i Litwy. Podróży jego przez Sącz i Ruś czerwoną na Wołyń, towarzyszą roje plotek, obliczonych zapewne na łatwowierność Szafrańców, którzy tym razem nie podążyli na zjazd, lecz pozostali w Krakowie i przyjmują poselstwa husyckie wchodząc z niemi w układy. Znany z gościnności Witołd, podejmuje monarchów po królewsku, długie wieki będzie trwała pamięć o jego wspaniałém przyjęciu, a obronny pod owe czasy Łuck, licha dziś mieścina, zapisał na kartach swéj skromnéj historyi rozdział bardzo ważny, rozpoczynający się z dniem przybycia króla Rzymskiego, Zygmunta.

Mniéj aniżeli o zewnętrznych stronach zjazdu wiemy o wewnętrznych, o politycznèm jego znaczeniu i celu, dla którego się zjechano. Na podstawie lakonicznych pod tym względem relacyj kro-

nikarskich, nie można się nawet domyśléć, że zjazd w Łucku jest skomplikowaną kontynuacyą owego szeregu zjazdów rozpoczynających się zjazdem w Wielonie, który się odbył w maju 1423 roku. Miał on nadto podnieść ideę wspólnéj krucyaty przeciwko Husytom, dlatego téż i legat papieski był uczestnikiem obrad zjazdowych, które tym sposobem urastały do znaczenia, kongresu monarchów w Łucku.

Uczestnictwo króla Zygmunta, zastrzeżone w jednym z dokumentów ugody Kezmarkskiéj, wcale nie było niespodzianką. Tak on jak i reszta z uczestników wiedzieli aż nadto dobrze, że zjazd ma na celu załatwienie piekących kwestyj: jak mołdawskiéj, husyckiéj i nie mającéj końca krzyżackiéj. Ostatnia obchodzi najbardziéj Polskę, husycka zaś króla Zygmunta; pierwszą atoli na zjeździe jest mołdawska, a przynajmniéj takby się zdawać mogło, rozważając treść listów Zygmunta, bezpośrednio przed zjazdem do Witołda i Jagiełły pisanych. Wyrażał on w nich groźbę, że nie przybędzie na zjazd, skoro mu król Jagiełło nie przyrzecze, iż przystanie na podział Mołdawii, który powinien nastąpić, na mocy jednego z artykułów ugody Lubowelskiéj. Wojewoda bowiem—tak argumentował Zygmunt—lubo wezwany na pomoc przeciwko Turkom, nie przybył osobiście, kraje więc jego powinny uledz podziałowi pomiędzy Polską a Węgrami, jak to i uchwalono w jednym z artykułów ugody Lubowelskiéj.

Pamiętając, że wojewoda Aleksander był w nie najlepszych stosunkach z Witołdem, gdyż syn jego Eljasz odesłał był Witołdowi (1422) powinowatą w. księcia Ryngałłę, którą pojął był w małżeństwo, zrozumiemy łatwo, jak drażliwą była kwestya, którą Zygmunt zagajał zjazd łucki, jak delikatnie zdawał się usuwać zarzut protegowania Krzyżaków, skoro ze sprawą tą wiązał szumny projekt przesiedlenia ich nad ujścia Dunaju. Niewiadomo, czy rada koronna dostrzegła w planie Zygmuntowym, dotyczącym podziału Mołdawii, właściwego celu obrotnego matacza. Pragnął on widocznie zatrudnić Polskę na wschodzie, aby ją odwrócić zupełnie od zachodu, a do tego celu stosownem mu się zdawało, poróżnić jéj króla z mołdawskim jego hołdownikiem. Przezorności w każdym razie odmówić radzie nie wypada, skoro dodamy, iż trwała opornie przy swojém zdaniu, że wojewoda nie zawinił. To téż cały szereg skarg, któremi zarzuca Zygmunt wojewodę: listów dowodzących, iż pod Gołębiec osobiście nie przybył i że z tego powodu chrześcijaństwo poniosło klęskę, to wszystko nie doznało w radzie koronnéj posłuchu. Żądanie Zygmunta odparto jako nieuzasadnione „zwłaszcza, gdy wojewoda znakomitym był członkiem i hołdownikiem królewstwa.“

Pozornie więc Zygmunt doznał porażki, gdyż nie dosięgnął zamierzonego celu. Mówię pozornie, i tu bowiem znalazł on sobie

sposób wyjścia z przykrego położenia, bez ściągnięcia na się podejrzeń, że działał zdradziecko. Za jego oto radą, zgodzono się, że w każdym przyszłym sporze co do stosunków Polski i Węgier z Mołdawią, Witołd ma być rozjemcą. Daléj, że jeszcze tego roku na św. Jerzy ma Witołd wysłać do wojewody posłów, do których się przyłączy poselstwo węgierskie, aby zbadać czy Kilja do rzeczonego wojewody czyli téż do wojewody Wołoskiego a hołdownika Zygmuntowego należy i żeby go przywieść do należytego uszanowania względem króla Węgier. Umówiono się nadto, aby zakon krzyżacki dał ludzi, król Zygmunt zaś zaopatrzył ich w potrzeby, i żeby założono zamek u ujść Dunaju celem obrony Europy od najazdów tureckich.

W ten sposób został Witołd, gospodarz zjazdu, za staraniem najdostojniejszego z gości sędzią przyszłych możliwych zatargów pomiędzy monarchami. Król Zygmunt dał jasny dowód, że ufa Witołdowi i tém pozyskał sobie męża, który mu przedtém nigdy na seryo nie dawał wiary. Niepotrzebujemy dodawać, że królowi i radzie jego nie bardzo podobała się ta decyzya, lubo zapadła za ich współudziałem i przyzwoleniem. Niedziwi to nas, że Długosz o niéj przemilcza, zastanawia atoli, iż rada postanawia odwetować sprawę mołdawską na drugiéj z porządku husyckiéj, że według powieści współczesnego świadka, jest ona inicyatorką w tejże — nie przewidując wcale porażki.

Według wspomnianéj właśnie relacyi świadka zjazdu Łuckiego, przystępują radcy polscy do króla Zygmunta i rzekną doń: Łaskawy królu i panie! Spojrzyj na niedolę Szlązka, który pustoszą husyci. Tam to dostarczymy ci pomocy; husyci bowiem gorsi są od Turków i pogan. Przypuściwszy nawet, że żądanie to w nierównie dyplomatyczniejszéj formie podaném było, aniżeli je znajdujemy w skromnéj relacyi jednego z kupców Wrocławskich, było ono jednakowoż aż nazbyt naiwném, aby nie doznało należytéj odprawy ze strony takiego przebiegłego dyplomaty, jakim był Zygmunt. Miał on odpowiedzieć: Cóż mam żądać od Polaków aby przeciwko Polakom wojnę wiedli. Już ja sobie na Szlązku, który jest moją własnością, sam dam radę—sprawozdawca nie dodał, czego się atoli petenci dorozumieli—byleście wy husytom nie pomagali.

Charakterystyczną tę scenę, objaśniają uchwały zapadłe w Łucku a dowodzące, że Zygmunt stanowczo naciskał na Jagiełłę; aby tenże zerwał wszelkie związki z husytami. Prawda, że pomocy polskiéj nie żądał na Szlązku, téj się raczéj obawiał, ale na jego żądanie postanowiono w Łucku, że król Jagiełło, odwoła z Czech poddanego swego Puchałę, że zabroni surowo Polakom wstępu do Czech, zakaże

stosunków z husytami; dalej, że dopomoże Zygmuntowi do odzyskania pogranicznéj Polsce Odry i w końcu, że zmusi Puchałę do zadośćuczynienia za krzywdy wyrządzone królowi Zygmuntowi. Dodać należy, że uchwały te były w wysokim stopniu kompromitującemi Polskę, dlaczego téż Długosz o tém niczego nie wspomina. Oczywista, że o wspólnéj krucyacie nie było i mowy, a Zygmunt jakby wywlókł tę kwestyą, aby odkryć w całéj nagości politykę polską względem husytów, wiedząc, że Witołd jest nieprzebłaganym jéj przeciwnikiem.

Nie lepiéj téż poszła sprawa krzyżacka, mająca za cel załatwić kwestyą o Nową Marchią i Drezdenko. Zygmunt działał tu jako wtajemniczony w zagmatwaną i aż do śmieszności przewlekającą się sprawę graniczną, jako dyplomata, znający najdrażliwszą stronę swych przeciwników i dokładnie obeznany ze stanowiskiem Witołda wśród owych zaciętych sporów. Mając przy sobie „piśmiennych“ krzyżaków, jak podówczas zwano biegłych w prawie kancelistów zakonnych, przystał najsamprzód na odstąpienie Drezdenka Polsce, czém odzyskał napowrót względy króla Jagiełły, upartego jak wiemy, w téj sprawie przeciwnika zakonu. Co do Marchii inaczéj postąpił. Znając upór Jagiełły, podsycany przez kanclerza i niechęć jego ku Witołdowi, doszłą do tego stopnia, iż niechciał powierzyć w. księciu kompromisu w téj sprawie jako sędziemu polubownemu, postanawia król Zygmunt wystawić słabostkę królewską na nową próbę. Jako pan Nowéj Marchii wręcza on Witołdowi wszystkie traktaty z królem Jagiełłą i dokumenta, dotyczące spornych granic z prośbą, aby był sędzią kwestyi granicznéj, zachodzącéj pomiędzy nim a Polską. Książę ucieszony wyrządzoną mu w téj chwili czcią, przynosi tę wiadomość wraz z aktami do króla Jagiełły. W królu odżył na nowo od dawna żywiony upór, odrzekł tedy księciu, iż ani chce widzieć ani słyszeć o jakowychś dokumentach i ze swéj strony nie przystaje na kompromis. Dorozumiewamy się, jak mocno ubodła ta odpowiedź ambitnego Witołda, jak ucieszyła i zachęciła do akcyi Zygmunta. Jego to bowiem obiera król na sędziego polubownego. Zygmunt wymawia się od zaszczytu i z dobrze pojętym interesem odkłada decyzyą w téj sprawie na przyszłość.

Tak więc i trzecia z rzędu sprawa poszła po myśli Zygmunta— w odwłokę. Sprawę o Marchią i Drezdenko odłożono do przyszłego jakiegoś zjazdu. A wszakżeż była ona tą, która jako najważniesza, dała powód do zjazdu!

Ale było ich więcéj—kwestyj drobnych, mniéj ważnych, o których zaledwie wzmianka pozostała w aktach. Mamy ślady, że traktowano w sprawach handlu, cła, daléj w sprawie Rusi, obchodzącéj

zarówno Jagiełłę jak i Zygmunta, o wojnie duńsko-hanzeatyckiéj i o owém przesiedleniu zakonu Krzyżaków nad ujścia Dunaju, czém jedném mógł sobie Zygmunt podbić Jagiełłę i odzyskać jego dla się względy.

Pomimo, że przy traktatach obwiniano się wzajemnie, że starano się przyciąć przeciwnikowi, ukłuć odpowiedzią lub dokuczyć ironicznym uśmiechem, dbano jednakże o zachowanie przyzwoitéj miary; strony usprawiedliwiały się z zarzutów im czynionych a nawet wzajemnie sobie pochlebiały. Nawet tureckie stosunki były przedmiotem specyalnych narad, a Polacy musieli i tu odpierać zarzuty przez Zygmunta im czynione. Niepowiodło się im z odparciem; i tu zarówno jak w kwestyi husyckiéj ustąpili wobec nalegań Zygmunta i król Jagiełło musiał przyrzec, iż wyda mu możnego zbiega tureckiego „Turka syna Ślepego,“ którego wydania Zygmunt od dwu lat nadaremnie się domagał.

Dodajmy do tych spraw kwestyą przyszłego konsylium, które Zygmunt przyobiecywał zwołać przy pomocy kuryi, celem pojednania rzymskiego kościoła ze wschodnim, a będziemy mieli cały szereg spraw i kwestyj, nad któremi obradowano, na tym pierwszym z europejskich kongresów monarszych.

Pod względem rezultatów przedstawia się ten zjazd na pozór jako dzieło zupełnie chybione i upokarzające inicyatora, którym był król Zygmunt. Sprawa krzyżacka i mołdawska nie doznały załatwienia; *status quo* pozostał dawniejszy, chwiejny i niepewny, podżegający złość Polaków przeciwko zakonowi, pozwalający mistrzowi udaremniać zakończenie sporów granicznych i zwlekać całkowite wykonanie warunków pokoju melneńskiego, a nad obu stronami zawisła znowu groźna chmura nowéj wojny. Wojewoda mołdawski, ufny w obronę swych interesów przez Polaków, będzie mógł daléj służyć im za wygodne narzędzie do niweczenia planów Zygmunta względem Turków, co w stosownym czasie będzie na rękę Zygmuntowi do planu poróżnienia Jagiełły z Witołdem, który to ostatni, według zapadłéj w Łucku uchwały, miał pewne prawa sędziego nad krnąbrnym i zuchwałym wojewodą. Zygmunt nie uzyskał na razie żądanéj pomocy przeciwkom Turkom, wdzierającym się siłą mocą do Europy, a Czesi skoro ujrzą, że zjazd nie doprowadził do żadnéj względem nich decyzyi, będą jak dawniéj, ufni w sprzyjanie Polaków i w niedeterminacyą ich króla, oporem walczyć przeciwko Niemcom i Zygmuntowi. Sprzeczne interesa monarchów miasto złagodnieć, zaostrzyły się skutkiem obrad zjazdowych jeszcze bardziéj, aniżeli przed zjazdem.

To też wzrosła i nieufność króla Jagiełły względem Witołda, tém bardziéj, o ile książe gospodarz cieszył się niezwykłą sympatyą podchlebcy Zygmunta, który z rozmysłem i znawstwem charakterów i ludzi, dawał mu dowody szacunku i wysokiego poważania, stawiając go na równi z koronowaną głową, gdy wręczał mu kompromis w sprawach granicznych, jako sędziemu państw i monarchów, wiedząc prawie na pewno, że Jagiełło nie przystanie na takowy. Niechęć ta wzajemna, doznała bodźca od protektorów husyckich Szafrańców, którzy w obawie aby w Łucku nie zapadła decydująca uchwała względem husytów, wysyłają znowu do króla posła (w osobie Siestrzeńca) z upomnieniem, iż husyci grożą napadem na Polskę, gdyby król wszedł w jakiekolwiek przeciwko nim związki z królem Zygmuntem. Witołd przyjął z ironią to oświadczenie, wymawiając królowi zależność od złych i przewrotnych senatorów. Pozostali w Krakowie Szafrańcy, nie truchleją o wynik zjazdu, gdyż w Łucku jest biskup krakowski Zbigniew, antagonista Zygmunta, który z podejrzliwą obawą patrzy na każdy jego krok, przewidując zdradę. Wobec tego stanu rzeczy, nie dziwna, że Witołd który się spodziewał, że w domu swym pogodzi wrogów i załagodzi spory ich, nie cieszył lecz raczéj martwił się, że próby ugodowe rozbiły się o podejrzliwość, niechęć i złą wolę przeciwników. W złych rezultatach zjazdu, upatrywał on tajną i brudem skalaną rękę Szafrańców i ubolewał nad Zygmuntem, nie wiedząc ani się domyślając, jak oni na oślep pędzili w sieci, które na nich Zygmunt nastawił.

Zygmunt, pobity w oczach Polaków i licznych uczestników wspaniałego zjazdu, nie mógł i sam nieuczuć upokorzenia na jakie się dobrowolnie ale z rozmysłu wystawił. To nam tłómaczy jego chęć i zamiar zrealizowania zemsty, żywionéj od dawna przeciwko Polsce, lubo jak dotychczas, bezowocnie. Opór Polaków i Jagiełły z jednéj strony, szczególna przyjaźń i ufność Witołda i bojarów z drugiéj, wlały weń otuchę, że obecna chwila dogodną jest do poróżnienia połączonych krajów a przynajmniéj władców tychże, których unią za tak szkodliwą dla się uważał i nieraz już posady jéj zachwiać próbował. Zygmunt odważył się jeszcze raz powtórzyć próbę, azali się nie uda dokonać dzieła.

Nietajno historykom, że król Zygmunt lubował się w roli wielkiego negocyatora wśród królów, w pompie zewnętrznéj, jaką rozwinąć mógł jako sędzia spraw monarszych, jako rozdawacz lennictw i beneficyów, a szczególniéj koron itp. Charakterystyczny ten rys, powtarzający się po kilkakroć w jego życiu, nie jest atoli tak czystym i podniosłym, abyśmy z tego powodu króla podziwiać mieli. Prze-

ciwnie—po każdém jego pogodzeniu, zawrzała na nowo wojna pomiędzy świeżo pojednanymi, a korona Bośniacka przywiodła jéj właściciela w większą jeszcze zawisłość od króla Rzymskiego, aniżeli przed tém, kiedy to posiadał tylko mitrę książęcą. I Witołd był już raz kuszony przez króla Zygmunta, aby z rąk jego przyjął koronę, którąby uwieńczyć miała jego skronie, rozgłosić sławę i porównać go z wielu innymi chrześciańskimi królami, którzy mimo swéj korony, nie mogli się równać z jego zasługami i z książęcą sławą. Witołd atoli zanadto był rostropny aby niewiedziéć w tém przedłożeniu jakiejś ukrytéj myśli, dlatego też oparł się natrętnemu Zygmuntowi, który pomimo téj niedystynkcyi w nieuznaniu tak wysokiego i niezwykłego dowodu grzeczności i zaszczytu, nie tracił nadziei obdarzenia Witołda drogocennym sprzętem, który był zawsze i będzie pożądanym celem niejednego ze śmiertelników. Witołd był na tyle nieroztropnym, że odparłszy pokusę, opowiedział o zaszłym fakcie Jagielle, może aby dać podejrzliwemu królowi dowód swéj niezłomnéj wierności. Niepotrzebujemy dodawać, jak z tego właśnie powodu ucieszyła się rada królewska i o ile wzrosły jéj przesadne względem Zygmunta podejrzenia. Również zbytecznem byłoby udowadniać, że Zygmunt o tém wszystkiém dokładnie był poinformowany i nadaremnie oczekiwał sposobności, aby błąd popełniony naprawić. Postanowił on, nie dawać poznać po sobie, jak dotkliwie obeszła go rekuza Witołdowa, a poznawszy upór i stałość księcia, z pominięciem jego osoby, zdążać do wytkniętego celu. Drogą tą było pozyskanie dla koronacyi króla Jagiełły. Gdyby król dał się nakłonić do przyzwolenia na koronacyą swego brata i gdyby królewskie swe słowo uroczyście wobec Witołda wyrzekł, mógłby Zygmunt liczyć na to, że w razie potrzeby, przez małe pokątne intrygi, nakłoni radę królewską do oporu przeciwko przyzwoleniu królewskiemu, a rozgłosiwszy równocześnie sprawę, wprowadzi w ten sposób Witołda i Polaków w stanowczy zatarg.

Pomysł ten, jak skutki okazały, nie był niemożebnym. Król Jagiełło był starcem o niepewném i chwiejném zdaniu, łatwo tedy dał się zwieść przez chytrego Zygmunta. Sposób w jaki Zygmunt oszukał Jagiełłę okazuje nam w nim zręcznego matacza, który działał nie bez namysłu i głębszéj rozwagi, a gruntownie znał władców jako téż i senatorów, kraje i interesa Polski i Litwy.

Po załatwieniu a raczéj odłożeniu spraw zjazdowych, odwiedził król Zygmunt Witołda i w obecności będącego podówczas w komnacie sekretarzą książęcego Mikołaja Sepieńskiego, po raz wtóry po dwudziestoletnéj przerwie, zaproponował księciu, by przyjął od niego koronę. Będąc przygotowanym, że go książę odeśle z tą sprawą

do króla Jagiełły, umówił się z ostatnim o godzinę poufnéj pogadanki wieczornéj, mającéj bezpośrednio potém nastąpić, aby króla zaskoczyć nieprzygotowanego i odciętego od wpływu radców. Witołd, w rzeczy saméj, na żywe przedłożenia i słowa zachęty ze strony króla Zygmunta, odrzekł:

— Królu! nad sprawą tą, która zdaje się być niemałéj wagi, nigdy się głębiéj nie zastanawiałem, zwłaszcza gdy z królem Polskim bratem mym, zwykliśmy wspólnie się naradzać i zastanawiać i bez wspólnéj rady, niczego nie przedsiębierzemy.

— A więc pomówię w téj sprawie z królem Jagiełłą, odrzekł przygotowany na tę odpowiedź Zygmunt.

— Stoi to w waszéj królewskiéj mocy, odparł Witołd, któremu w téj chwili przypomniały się pokusy Zygmunta; przed 20 laty zwycięsko odparte. Dlaczego dziś je nie odpierał, zastanowimy się późniéj. *Tempora mutantur.*

Po chwili, a było to już w spóźnionéj wieczornéj dobie, odwiedza Jagiełło króla Zygmunta w jego komnacie, gdzie go zastał wraz z osławioną żoną Barbarą Cylejką i hrabią Stefanem Rozgonym, tudzież Janem Mężykiem, dworzaninem królewskim. Zygmunt przygotował był Jagiełłę, że ma mu coś sekretnego do powierzenia, a podejrzliwy król zapewne mniemał, że będą to namowy w sprawie ulżenia doli Krzyżaków, lub ostateczne próby zawikłania go w sprawę mołdawską. Jakżeż się tedy rozczarował, gdy Zygmunt począł wychwalać wspólnego ich gospodarza Witołda i w konkluzyi zaproponował, iż wypadałoby księcia w nagrodę jego wielkich zasług około krzewienia wiary, odszczególnić jakąś zewnętrzną oznaką chwały, któraby go zrównała w godności z innymi panującymi w świecie chrześciańskim. Pochlebny Zygmunt, który i Jagielle pochwał tych nie szczędził, porównując przy innéj sposobności królewskie na tym polu zasługi z zasługami Konstantyna Wiekiego, uzasadniał rozumowanie swoje w ten sposób, iż bezprzecznie możnaby cel osiągnąć, koronując Witołda i że dostojny gospodarz, który w domu swoim gruntuje zgodę w świecie chrześciańskim, godzien jest tego zaszczytu. Dodaje on, że zresztą i sposobność jest po temu, zwłaszcza gdy tylu obecnych jest gości, tyle dostojników duchownych i świeckich, zjazd liczny i okazały. A i Litwa wspólna ich ojczyzna, przed laty poniewierana i znienawidzona od zachodu, doznałaby przez koronę zaszczytu, pozwalającego jéj pod każdym względem równać się z innymi krajami chrześciańskiéj Europy. Dodawał atoli podstępnie król Zygmunt, że lubo już dawniéj o projekcie tym myślał, to jednakowoż przekonał się, że byłoby niesłusznem nie wezwać króla do rady nad wykonaniem tegoż, dlaczego téż obecnie uprasza go „jako brata

swego najdroższego, bez którego rady niczego pod tym względem działać nie zamierza", aby orzekł swe zdanie.

Prostoduszny Jagiełło, ujęty mniemaną szczerością Zygmunta, odrzekł „łaskawie," że nie byłby takiemu projektowi wywyższenia Witołda i wspólnéj ich ojczyzny przeciwnym—owszem jest on zatém aby udzielić korony bratu, że jednakowoż należałoby tajemnicę tę do wiadomości Witołda podać. Zbytecznéin byłoby dodawać, jak wielce się Zygmunt ucieszył z takiego orzeczenia. Znając tedy chęci i zdania obu braci postanowił kuć żelazo póki było gorące.

Witołd odpychał w myśli koronę—jak pokusę, jak trapiącą go marę, jakby przeczuwając nieszczęścia, które zatruć miały z tego powodu ostatnie dni jego panowania. Radby był czém prędzéj pomówić w téj sprawie sam na sam z królewskim bratem, pora atoli była spóźniona; tego dnia niemógł on widziéć się z królem Jagiełłą.

O koronie nigdy Witołd nie myślał—był on bez niéj królem, dla wielkiego męża, wystarczała skromna mitra wielkiego Gedymina. Myśli jednakowoż o koronie mu nastręczanéj, nie odpycha on zupełnie. Ona to bowiem blaskiem swém poparłaby wpływ jego w Polsce, nadałaby wyraz dążeniom i pracom jego na Litwie i Rusi a sankcyą owocom trudów jego, przez pół wieku zgórą podejmowanych. Przez koronę Litwa byłaby porównaną z resztą królestw, a on zamykając powieki na wieczny spoczynek, nie potrzebowałby się obawiać o jéj losy przyszłe......

Ale czy działa Zygmunt otwarcie, przemyśliwał Witołd. Wszakżeż już raz podejrzywał on Zygmunta pod tym względem o nieszczerość. Obecnie atoli wynurzył otwarcie król Rzymski, że pomówi w téj sprawie z królem Jagiełłą. Zresztą i obecna chwila wcale była odmienną od owych dawno minionych, kiedy wodził Zygmunt księcia na pokuszenie. Wtedy był on wrogiem Litwy, a więc pomimo grzeczności okazywanych Witołdowi, miał książę poniekąd prawo do posądzania go o nieszczerość. Teraz przeciwnie składał król Zygmunt w ręce Witołda sądy nad sprawami spornymi monarchów (jak mołdawską i krzyżacką), naprawiając tém w zupełności błąd swój sądem wrocławskim wywołany. Zygmunt ujął sobie księcia zaszczytem odwiedzin w tak dalekie strony, a traktując go jako zupełnie sobie równego monarchę, mógł uśpić podejrzliwość Witołda. Wymowny intrygant umiał pochlebić ambitnemu księciu, iż on godzien jest tego zaszczytu, mając tyle dzieł prawdziwie wielkich, tyle czynów dla pożytku wiary spełnionych za sobą, umiał trafić do przekonania, wspominając o porównaniu Litwy z innymi krajami Europy. Przyjazna usługa z jaką się obecnie po raz wtóry narzucił Zygmunt,

okazała się księciu niekłamaną, rodzajem wdzięczności ze strony ugoszczonego monarchy, który zresztą kreował królów, a jako król Rzymski, według powszechnych podówczas wyobrażeń, niezaprzeczone miał do tego prawo. *Tempora mutantur.*

Z tém wszystkiém czuł Witołd i ważył wszystkie trudności, jakie projekt koronacyjny mógł napotkać ze stron rozmaitych. Obawiał on się mianowicie o niektórych z rady królewskiéj, którym niekoniecznie mógł się podobać projekt wywyższenia Litwy, zwłaszcza jeżeli by zechcieli dosłownie brać i tłómaczyć akt unii horodelskiéj, w którym ani o królu ani o królewstwie Litewskiem nie było mowy. Książę znał już wady tego traktatu międzynarodowego, który może wbrew myśli jego twórców, czynił w zasadzie z Litwy prowincyą Polski, zapewniając jéj niezawisłość póki stanie życia jéj księciu. Może téż i myślał, że korona zdołałaby wadę tę naprawić.

Nazajutrz rano wyszedł Witołd wcześnie, by pomówić z Jagiełłą o ważnym projekcie króla Zygmunta. Drzwi komnat królewskich a zarazem wizyty rannéj Witołda, pilnuje już król Zygmunt w zamiarze przeszkodzenia poufnéj braci, sam na sam, rozmowie. Wychodzi on z godną swą małżonką Barbarą naprzeciw księcia i z dobrze udaną radością oznajmia mu, iż wczoraj wieczorem był u niego król i zezwolił na koronacyą. „Chodźmy tedy z królową do Jagiełły"— dodał szybko—niedając czasu do namysłu zdziwionemu Witołdowi nad jego o tak wczesnéj porze i w tém miejscu obecnością.

Weszli tedy razem do komnaty królewskiéj. Zygmunt powitał króla i wnet przypomniał mu o wczorajszém przyzwoleniu.

„Przyzwoliłem na koronacyą książęcego mego brata i cieszę się z tego," odrzekł zagadnięty staruszek, wśród zwykłych sobie komplementów „jako księciu lepiéj życzy aniżeli sobie samemu, że sprzyja mu bardziéj aniżeli komukolwiek bądź innemu."

Witołd oceniając natychmiast doniosłość przyzwolenia królewskiego i jakby przeczuwając intrygę, wtrącił po litewsku, tak aby tego Zygmunt nie zrozumiał: królu, nie śpiesz w téj sprawie! Poradź się naprzód z prałatami i baronami swymi, czego i ja z moimi nieomieszkam uczynić.

Król, atoli znowu wobec Zygmunta i Barbary powtarza dane przyzwolenie i zaręcza, że jest to jego żądaniem i pragnieniem, aby w. książę otrzymał koronę.

Król Zygmunt wraz z królową poczęli tedy z nadmiarem udanéj wdzięczności dziękować Jagielle za to przyzwolenie, a gdy podówczas rada królewska wstępować poczęła do komnaty, oddalili się, z niepłonną już nadzieją, że intryga uda się im zupełnie. Równocześnie wyszedł i Witołd na naradę ze swoim senatem i w obu iz-

bach poczęto dyskutować nad koronacyą, projektem nadspodziewanym, o którym dotychczas może i nikt nie wiedział. Dorozumiewać się jednakowoż godzi, że Zygmuntowi mogło zależéć na tém, aby wieść o wczorajszym konsensie króla, doszła do uszu tych, którzy ją przyjąć mogli tylko z oburzeniem.

Rada Witołdowa przyjęła projekt koronacyi z zapałem, ciesząc się chwałą księcia i ojczyzny. Senatorowie zaś polscy z niedowierzaniem ku księciu, z oburzeniem i pychą, że im się udało przeszkodzić czarnéj intrydze Zygmunta, odrzucili projekt, biorąc królowi za złe, że dał on przyzwolenie, którego oni niechcąc działać wbrew unii horodelskiéj, dać nie mogą. Postanowiwszy działać stanowczo, usuwają oni króla zupełnie, a biorąc na się straż i obronę zagrożonych praw koronnych, postanawiają wezwać Litwinów wraz z w. księciem na wspólną konferencyą, która się téż natychmiast odbyła.

Wspólne to posiedzenie było nadzwyczaj burzliwe i trzeba było powagi Witołda, aby nie dopuścić, ażeby spory doszły do ostateczności. Biskup krakowski, Zbigniew, oponuje projektowi, który przedstawia jako intrygę, uknutą przez Zygmunta przeciwko unii narodów; tak samo i podkanclerzy, który również zdaje się réj wodzić w radzie.

Można sobie wyobrazić wzruszenia wstydu i oburzenia, z jakiém liczny senat bojarów przysłuchiwał się owemu „veto“ rady koronnéj? Jego treść, jakkolwiek może nie w takowéj formie jak ją Długosz przez usta Oleśnickiego podaje, zdawała się być osobistą dla nich zniewagą, obelgą dla idei równości ich z Polakami, w któréj wzrastali od czasu unii horodelskiéj, obelgą dla Witołda, który kraj ich tak wysoko podniósł, a co wszystko razem wziąwszy, pozbawiło Litwę samodzielności w obec Polski i przyprowadzało ją do najgłębszego upokorzenia wobec lenników litewskich, malkontentów Rusi i wobec dostojnego gościa, który ją podnieść chciał i wywyższyć. To téż i oni nie szczędzili słów, aby odeprzéć błahe w ich oczach zarzuty Polaków. Wielu było bojarów, którzy, jak to późniéj Witołd Jagielle przypominał, wydawali gniewne okrzyki, wybuchali dzikiemi pogróżkami i przycinkami, a wzburzenie doszło do tego stopnia, że hałas i krzyk rozlegał się w sali i przygłuszał mówiących. Nie zmieszany tém Witołd, maskując uśmiechem uczucie wstydu jakie go dotknęło, nakazał swoim milczenie. Obecni rozeszli się w spokoju. Poczém odszedł Witołd do króla, by mu opowiedzieć, że rada jego się sprzeciwiła i niezezwoliła na koronacyą. Przyczém dziękował książę królowi w serdecznych słowach, że on zezwo-

lił, dodając, że nigdy nie myślał ani też będzie myśléć o koronacyi.

Witołd zażegnał burzę. Nie tak rada królewska, tryumfująca, że się jéj udało przeciąć nici Zygmuntowéj intrygi i tracąca w zapobiegliwości swéj głowę, coby uczynić należało aby Zygmuntowi nie pozwolić na nowo nawijać je na kłębek. Zapadła tedy decyzya, aby usunąć króla Jagiełłę od wszelkiéj z intrygantem styczności. Obawiano się o staruszka, aby go Zygmunt na nowo nie wciągnął do sieci. Zamiast tedy przeczekać aż do wyjazdu króla Zygmunta, postanowiła rada jeszcze tego samego dnia opuścić wraz z królem mury Łucka, w naiwném mniemaniu, że tym sposobem przykréj téj sprawie położy koniec. Co też niebawem nastąpiło, jakby w spełnieniu późniejszego przysłowia: krzyknął niepozwalam i uciekł na Pragę.

Dostało się przed wyjazdem jeszcze i Zygmuntowi. Musiał on wysłuchać gruntownéj filipiki Zbigniewa i znieść lekceważące słowa o intrydze knowanej przeciwko unii narodów. Nie potrzebujemy dodawać, że umiał on się obronić i że tak sangwiniczne postępowanie względem gościa było zbyteczném i niestosowném. Wobec oświadczenia Witołda, mógłby senat polski udać, że nie wie skąd pochodzi projekt koronacyjny. To też zatrzymał Zygmunt króla chcącego odjechać wieczorem, témi słowy: iż gdy za dnia przyjechał, w dzień by też mu i odjeżdżać wypadało. Ile złośliwéj ironii zawierały te słowa!

Król Jagiełło nazajutrz przy pożegnaniu z Witołdem gdy tenże powtórnie począł mu dziękować za jego życzliwość, oświadczył mu „iż koronacya księcia jest jego życzeniem,“ i upewniał go o swojéj dla tego projektu życzliwości. Niewiadomo czy wyrażał on tém tylko osobistą swą życzliwość dla księcia, czy też wypowiadał, skutkiem rady swych senatorów, zupełną od nich zawisłość.

Nagły i niespodziewany odjazd Polaków i króla jak z jednéj strony niemiłym był Witołdowi, tak z drugiéj był wcale na rękę królowi Zygmuntowi. Przy pokątnych intrygach, zręcznie prowadzonych a zdążających ku temu celowi, by fakt przykry i smutny, lecz w istocie błahy, wysunąć na pierwszy plan, mogła się udać kabała. Chwila ku temu dogodna i sprzyjająca. Pomaga mu wielce rozdrażnienie Litwinów i Rusi, ich głębokie upokorzenie, podrażniona ambicya księcia—a wreszcie, co może i najgłówniejsza, brak króla i senatu, którzyby plotkom i obmowom mogli położyć koniec. Zaprzeczyć się atoli nie da, że takie intrygi, pomimo talentu ich twórcy i wykonawców, nie potrafiłyby zachwiać stałością Witołda, który obrazę tę jako czysto osobistą traktował, i lubo mógł żywić niechęć

do przeciwników, to jednak przekonany był o szczérości i przychylności króla i o jego bezsilności wobec swych senatorów. Witołd pojmował trudne położenie królewskiego brata, a że nadto czuł i widział o doniosłości projektu koronacyjnego, który koniecznie pociągnąłby za sobą zmiany w układzie politycznym Polski i Litwy, tak że wymagałby nowéj redakcyi unii horodelskiéj, przebaczał w duchu oporowi senatu królewskiego i postanowił być głuchym na podszepty wplątanych w kabałę zauszników Zygmuntowych, jako téż i samego króla Rzymskiego. Napróżno stara się ostatni udowodnić księciu, że on posiada prawo do koronowania go; napróżno ofiaruje się z tą usługą i przekonywa, że ta korona w niczém nie zmieni stosunku Litwy do Polski. Rostropność księcia, nakazuje mu zbywać pytania Zygmunta wymówkami, że na to potrzebaby przyzwolenia pełnéj rady bojarów Litewskich, którą późniéj w tym celu zwoła, że przeto i koronacya mogłaby kiedyś późniéj nastąpić. Zygmunt widząc, że ambitny książę, zasłaniając tém pomimo woli doznaną porażkę, usuwa jego plan w nieokreśloną przyszłość, ofiarowywał przynajmniéj księciu, na każdy wypadek swą uczynność i przyjacielską usługę.

Inaczéj aniżeli z Witołdem miała się sprawa z jego senatem— który obrazę senatorów polskich tém żywiéj odczuwał, im bardziéj intrygował śmielszy wobec nich król Zygmunt. On przekonywał ich, że Polacy, mimo unii, uważają ich jako niższych od siebie, a tém samém tak ich ojczyznę Litwę jak pana ich w. księcia, jako lenników swoich, i li z tego powodu nie chcą pozwolić na ich wywyższenie. Jednakowoż książętom i senatorom Litwy przewodził Witołd, z którego to powodu udatnie rozpoczęta kabała Zygmuntowa, natrafiała na trudności nieprzyzwyciężone.

Z tego zakłopotania wybawiła Zygmunta kancelarya królewska, zaalarmowana z umysłu przez Zygmunta rozszerzoną pogłoską, jakoby król Zygmunt sam zamierzał Witołda koronować, nie oglądając się wcale na Polskę. Krok jéj fałszywy, który opowiedzieć mamy, pozwolił intrydze nadać zwrot dla Zygmunta pomyślny.

Król Jagiełło udał się wprost z Łucka do Krakowa, rospuściwszy swych senatorów do domu. Oprócz biskupa krakowskiego, nie był nikt ze starszych senatorów obok króla jak tylko kreatura Szafrańców, młody podkanclerzy Władysław z Oporowa doktór prawa. Młodzieniec ten okazywał niezwyczajną gorliwość w zwalczaniu projektu Zygmuntowego, a nadto podzielał, wraz z mistrzami swoimi, Szafrańcami, przesadną podejrzliwość względem Zygmunta. Skutkiem tego, jak z jednéj strony nieostygał on w zapale i podejrzliwego z natury króla napawał obawą o stałość Witołda, tak z drugiéj

przemyśliwał nad sposobem przy którego użyciu, możnaby Zygmunta uczynić nieszkodliwym dla Polski. Wiadomości nadchodzące z Łucka do króla, utwierdzają go w powziętém o Zygmuncie mniemaniu; że mianowicie on przez plan swój zmierza wprost przeciwko unii horodelskiéj, a co gorsza, że pragnie Litwę oderwać od Polski i uczynić ją niezawisłém królewstwem. W tém podejrzeniu utrwala go alarm, że Zygmunt sam już pragnie ukoronować Witołda i nieoglądać się ani na króla ani na Polaków. Zapobiegliwy podkanclerzy, widział już ojczyznę w niebezpieczeństwie i szuka sposobów ratunku. Nadarza mu się następny: król Zygmunt wraca z Łucka do Węgier przez terrytoria polskie. Korzystać więc z chwili i przekonać go, że koronacya Witołda jest niemożliwą i odwieść go tym sposobem od wszelkich pod tym względem zamiarów. Wszakżeż Zygmunt głównie zawinił, od niego tedy należy wymagać by sprostował błąd uczyniony.

Nie umiemy zaiste powiedzieć, czy krok, jaki podkanclerzy obecnie zamierzał uczynić, za wiadomością i za zgodą królewską był uczyniony. To jednak pewna, że miał na to przyzwolenie Jana Szafrańca, kanclerza państwa, który był głównym przeciwnikiem koronacyi Witołda. Dorozumiewamy się, że tak kanclerz jak i podkanclerzy, pomimo woli, ulegali szerokim wpływom Zygmuntowéj intrygi i sami wpadli w zaplątane jéj sieci. Również i to nieulega wątpliwości że Jagiełło wypierał się późniéj, jakoby podkanclerzy za jego wiedzą odnosił się do Zygmunta i że doktora, jakotéż Szafrańców, uważał Witołd za jedynych wrogów w Polsce a to z powodu kroku jaki obecnie uczynili.

Bądź co bądź w kancelaryi królewskiéj pracowano obecnie nad instrukcyą poselską a miał ją doręczyć Zygmuntowi wracającemu do Węgier kuryer królewski Piotr Łęczycki. Treść téj instrukcyi, którą uważamy jako koronę intrygi Zygmuntowéj przytoczymy w dosłowném jéj brzmieniu. Poseł imieniem króla miał mówić do królą Zygmunta:

„Przypominamy sobie słowa i rozmowy braterstwa waszego w Łucku, o koronie i godności królewskiéj, którą mieliście zamiar uczcić brata naszego Witołda i ziemie litewskie. A chociaż to się nam bardzo podobało, jednak od tego odstępujemy i zbadawszy rzecz z naszymi radcami, sądzimy, że taka koronacya niczego dobrego przynieść nie może, a nadto, że gdyby przyszła do skutku, obawiać się należy między Polską a Litwą nieporozumień, wojen, zdrad i nieszczęść, które potém z największą tylko trudnością zażegnać by się dały, a unia i związki pomiędzy Polską i Litwą rozwiązane i zerwaneby zostały. Co większa, baronowie i szlachta Litwy, ośmieleni

powagą i dostojeństwem tego rodzaju, mogliby po śmierci brata naszego, co nie daj Boże, któremu do takiéj i tak wielkiéj godności sprzyjalibyśmy, króla sobie zarówno obrać, (podczas gdyby panowie polscy temu się sprzeciwili,) coby jawnie dążyło przeciwko naszym dokumentalnym ugodom, wyraźnie zastrzegającym, że tak po zgonie króla jak i w. księcia, tak w Polsce jak i w Litwie, panowie jednéj z tych ziem, nieśmią przystąpić bądź do koronacyi króla, bądź do elekcyi w. księcia, bez porozumienia się i poprzednéj zgody panów drugiéj ziemi. W. książę litewski a brat nasz ma wiele ziem, któreśmy mu w dożywocie dali, a które za przyjściem do skutku koronacyi mogłyby od nas jak i od polskiéj odpaść korony. Dlatego bracie nasz, prosimy was gorąco, życzymy sobie i domagamy się w imię dokumentalnych zapisów, przysiąg i związków pomiędzy nami zawartych, zechciejcie nasze, naszych synów i królestwa naszego dobro i pożytek mieć na względzie i równym umysłem rozważyć umowy i ugody, które, co niedaj Boże, mniemamy, że zaginą. Prosimy tedy o zaniechanie téj sprawy, dla uniknięcia wyżéj wspomnianych klęsk."

Zastanawiając się nad powyższym elaboratem doktora podkanclerzego, nie podobna stłumić w sobie okrzyku podziwu nad uderzającym brakiem dyplomatycznego talentu uczonego tego dostojnika. Uderza nas nasamprzód zupełny brak znajomości charakteru Zygmunta, którego podstępność usiłuje podbić zbytnią otwartością królewską. Szczérość tę posuwa on do tego stopnia, że maluje cały kłopotliwy stan Polski, na wypadek, gdyby koronacya przyszła do skutku! Czyż nie dość było odwołać się do aktu unii horodelskiéj, w którym o królu ani o królewstwie Litewskiem nie było mowy? Podkanclerzy odkrywa słabe strony państwa i wykazuje Zygmuntowi ile obecnie Polska jest zawisłą od jego woli. Co gorsza, upokarza on wobec króla Zygmunta Litwę i jéj księcia, którego akt horodelski uznaje na Litwie za równego Jagielle suwerena. Co mówić wreszcie o podkanclerzym, który przed chytrym mataczem obwinia bojarów litewskich o dążności separatystyczne, gdy mówi, iż po śmierci księcia, na wypadek jego koronacyi, mogliby oni nie oglądając się na Polskę, kogo innego obrać sobie na króla. A gdyby Zygmunt zechciał z téj legacyi skorzystać i akt ten, kompromitujący zarównie księcia jak i jego bojarów, do tegoż ostatniego posłać? Prawda że tego nie przewidywał uczony podkanclerzy.

Niepotrzebujemy przesadnego powziąć wyobrażenia o dyplomacyi Zygmunta, skoro dodamy, że umiał skorzystać z błędu kancelaryi polskiéj, z Łańcuta, tam bowiem przedłożono Zygmuntowi ową legacyą, wysłał on nasamprzód posła do Witołda załączając mu kopię

owéj nieszczęsnéj legacyi, aby wiedział coby miał o królu Jagielle sądzić. Równocześnie dał znać o zaszłym zwrocie sprawy w. mistrzowi, przyobiecując uwiadomić go o odpowiedzi jaką da późniéj królowi Polski, i dając mu tajną instrukcyą przez brata w. mistrza, o czém nam późniéj wypadnie pomówić.

Zygmunt był przezornym i ostrożnym dyplomatą o nieco tchórzliwém usposobieniu, dlatego też postanowił nie wprzódy odpowiedzićć Jagielle, aż się nie oprze na ziemi Węgierskiéj. Zbywszy więc posła obojętną odpowiedzią, że za przybyciem do Koszyc odpowie królowi, zdążał przez Sącz ku granicom węgierskim. Przybywszy do Koszyc odpowiada on na legacyą polską, jak na to w zupełności zasługiwała. Przypomniał najprzód królowi, że on sam na koronacyą raczył zezwolić i że to zezwolenie kilkarotnie wobec w. księcia powtórzył, wykazując przez to całą niestosowność kroku jaki zrobiono ze strony królewskiéj. Udając nieświadomego stosunków polsko-litewskich, wzmiankował daléj, że niewiadomo mu było, czy król zamyślał wypełnić swe słowo czy też nie, zamierzał wszakże—dodawał Zygmunt—naradzić się pod tym względem z panami litewskimi i tymi których ta sprawa obchodzi. Dlaczego też niezmiernie się dziwuje, że król Jagiełło tak rychło i niespodzianie znagla go do opuszczenia tych spraw, do których wykonania on przystępował tylko za doradą i zezwoleniem królewskiem, mając na celu jedynie dobro i honor domu królewskiego. Bo przecież—uzasadnia Zygmunt to zdanie—sprawa ta, żadnéj nie wyrządzi szkody domowi królewskiemu, a król obecnie wzywa go do odwołania tego co tylko za jego radą i zezwoleniem czyni, że żądane odwołanie i opuszczenie sprawy, hańbę przyniosłoby jego honorowi i imieniu coby wreszcie zmierzało przeciwko zapisom wzajemnych traktatów itp.

Karcąc w ten sposób błąd królewski, jakiego się z winy kancelistów dopuścił i okazując dobitnie, że nie cofnie rozpoczętéj sprawy, uważał Zygmunt jednakowoż za stosowne zmodyfikować udaną swą prawość i stałość charakteru nieco delikatniejszym rysem pozornéj przyjaźni. Mając na celu zamaskować wysyłkę posłów do Litwy i do Malborga, o czém wnet w Polsce wiedziano, i nie zrywając zupełnie z Jagiełłą intrygę, tak pomyślnie rzuconą pomiędzy braci, uczynić bardziéj zawiłą, pisał on daléj w te słowa. Żebyś atoli bracie wiedział, iż jest mém usilném staraniem w braterskiéj z wami pozostawać przyjaźni, gotów jestem znowu zjechać się z tobą i w. księciem, np. na granicy pruskiéj. Porozumiemy się tam nad sposobem w jakimbyśmy pozostawać mogli powiązani węzłem niezłamanéj przyjaźni wraz z królewstwami i krajami naszymi, tak żeby węzły te

i po śmierci naszej ziemie nasze wiązały i pozwoliły im używać błogiego spokoju czułéj przyjaźni. Poślemy w tym celu natychmiast posłów do w. księcia, aby oznaczył dzień i miejsce tego zjazdu a o odpowiedzi jego niezaniedbamy zaraz uwiadomić waszą braterską miłość.

Co do krzyżaków wzmiankował mimochodem Zygmunt, iż pomni dobrze, że pomimo jego woli król wybrał go na rozjemcę sporów granicznych, że on jednakowoż wolałby, aby Witołd był sędzią w polsko-pruskiéj sprawie, i tylko na wypadek, gdyby król i teraz niechciał przystać na Witołda jako rozjemcę, zmuszony byłby przyjąć włożony na się obowiązek. Sądzi jednakowoż z udaném niedowierzaniem—iż może strony zgodzą się na wybór jakiego innego księcia na sędziego polubownego...

Gdy w ten sposób kancelarya króla Jagiełły otrzymała należytą odprawę; a Zygmunt, nie zerwawszy całkowicie z królem, miał dogodną sposobność wprost przez Polskę porozumiewać się z Krzyżakami na jéj zgubę, witali go po drodze do Budzina husyccy Czesi, przestraszeni pozornem jego zbliżeniem się i pogodzeniem z Polską i Witołdem. Zygmunt wyznaczył im był ponoś z Łucka jeszcze termin zjazdu na dzień 6 Marca, i nie wątpił, że jeżeli kiedykolwiek natrafiała się dogodna pora do układów z husytami to obecna była najlepszą. Skutkiem podróży jego do Łucka, podniosło się raptownie jego znaczenie, a strach owładnął szeregi jego wrogów. To téż i Turcy starają się obecnie o zawarcie trzyletniego z nim pokoju; zawiadamiają go o tém przez umyślnego pełnomocnika, wypowiadając równocześnie wojnę Wenecyanom, wrogom Zygmunta. Należało mu jeszcze uwiadomić o sprawach swych w. mistrza Krzyżaków i dać stosowne instrukcye. Kazał mu tedy najdetaliczniéj opowiedzićć o dalszym toku intrygi, „aby mistrz wiedział jak się ma zastosować,“ a wnioskując, że już otrzymał w Malborgu owe tajne poselstwo, które mu przez brata jego był posłał, żądał obecnie, aby mistrz donosił mu jaki obrót weźmie cała sprawa na Litwie i czy można mieć dobrą nadzieję... azali Witołd postanowi wziąć z rąk jego koronę. Jak wielce ciężyła ta sprawa na umyśle Zygmunta, świadczy ta okoliczność, iż polecał on mistrzowi pod sam koniec pisma, aby mu bez zwłoki, dniem i nocą dawał o „tém“ wiadomość, a również i ze swéj strony rychłe przyobiecywał instrukcye. Opuśćmy obecnie gabinet głównego intryganta, króla Zygmunta, a powróćmy do Litwy, dokąd się udał w. książę Witołd. Minęły dlań dni szczęścia a poczynały się ciężkie chwile trosk i zawodów. Z ostatnim dniem zjazdu Łuckiego miało niestety powodzenie opuścić go bezpowrotnie!

Ambitnemu książęciu Litwy trudno było nie uczuć upokorzenia, którego rzeczywiście doznał, gdy rada koronna sprzeciwiła się jego koronacyi. Upokorzenie to atoli nie było dotkliwém dotyla, aby wydać mogło, jako owoc, czyn jakiś, któryby zakłócił spokój związanych unią narodów. Nasamprzód nie było ono pierwszém, gdyż starć pomiędzy Witołdem a senatem króla Jagiełły, liczy przeszłość więcéj, aniżeli o tém wie historya. Powtóre, że tak jak dotychczas rzecz stała, mógł on ją uważać za kwestyą czysto osobistą i skarciwszy porywczość bojarów na owém burzliwém posiedzeniu, oczekiwać spokojnie, aż się cała rzecz nie skończy na drodze parlamentarnego porozumienia z obozem przeciwników. Jakkolwiek-by atoli ono wypadło—pomyślnie lub też nie—to pocieszało go jednak postępowanie królewskie, który na projekt zezwolił i konsekwentnie postępując, pomimo *veto* swych senatorów, zaręczał księciu, że sprzyja projektowi króla Zygmunta. To prawe postępowanie królewskie, jak z jednéj strony zacierało w duszy jego przykry obraz doznanych od króla uraz i starć wzajemnych, tak z drugiéj umniejszało stopień odczutego upokorzenia, zwłaszcza gdy Zygmunt już odjechał i z jego odjazdem zdawała się urywać nić intrygi, podsycającéj zamierający płomyk oburzenia w bojarach litewskich. Wobec téj okoliczności, że Witołd nie napierał się korony, byliby i bojarzy nie śmieli podnosić na nowo drażliwéj kwestyi, a więc odłożenie téj sprawy na przyszłość mogło zmienić się w całkowite jéj zapomnienie.

Przeciwny obrót wziąść mogła sprawa, gdyby kto przekonał Witołda, że był niegodnie przez króla oszukiwany!

Stało się to w Eikszyszkach dnia 13 marca. Naprzeciwko zmierzającego do dworu książęcego wielkiego księcia, wyjechali na spotkanie senatorowie jego, pozostali w Litwie, a na ich czele biskup Wileński. Do jego orszaku przyłączyło się wielu senatorów i znakomitszych bojarów litewskich z czołobitnością witających księcia. Powitanie zresztą nie było radosném, można się bowiem dorozumiewać, że i tu dowiedziano się o łuckiem zajściu, a w obec powagi księcia każdy musiał tłumić to, co mu najbardziéj leżało na sercu. W zamku, dokąd towarzyszono księciu, dano znać o przybyciu posła Zygmuntowego. Witołd przyjął go tedy w obecności licznego zebrania bojarów, niespodziewając się zapewne jakiéj treści będzie rzeczone poselstwo.

Przywołując sobie na pamięć scenę łucką, można się dorozumiewać o oburzeniu jakie zapanowało obecnie wśród tłumu bojarów, o gniewie i rozczarowaniu księcia, jakiego doznał wskutek niedyplomatycznego i nieszczęsnego kroku króla Jagiełły. Poniżenie i obelga, zadane Litwie w tym akcie, były zbyt jasno wyrażone, ażeby Litwini

nie mieli uczuć głębokiego upokorzenia. Ono przygniata ich, napełnia niewysłowioną goryczą, wzmaga gniew i oburzenie a w niejednego duszy błyska myśl odwetu. Czyż nie usłyszeli wyrzutu, że po śmierci księcia dążyć będą do seperacyi a nadto dumnego słowa, że są wasalami korony?

Gdyby Witołd był dążył do separacyi, jak go o to podejrzywano w Krakowie, cóż było dlań łatwiejszego, jak stanąć na czele oburzonych i separatystów, których dość było w państwie Litewskiem, wziąść od Zygmunta koronę i ogłosić się niezawisłym królem Litwy? Czyż krok taki, jakkolwiek zrobiłby go w oczach historyi zmiennym i zdrajcą, nie przypadłby do charakteru energicznego księcia? Czyż kiedykolwiek w życiu ociągał się Witołd z wykonaniem swego zamiaru? Niewątpimy na chwilę nawet, że gdyby był Witołd dążył do seperacyi, byłby niewątpliwie tak sobie postąpił w Ejkszyszkach.

Witołd jednakowoż za wielkim był politykiem, aby niewiedziéć, że z takowéj separacyi, dla Litwy zgubne tylko mogą wypaść skutki. Pojmował on Litwę, jako europejskie państwo, tylko w unii z Polską, i nie tajno mu było, że z dniem jego śmierci, na wypadek separacyi, Litwa rospadłaby się na liczne atomy, które ją składały, a którym on nadawał kierunek, Polska zaś życie.

Z tém wszystkiem jednakowoż, nie mógł Witołd milczeniem pominąć kroku królewskiego. Przedewszystkiém niepozwalała mu na to wysoce obrażona jego ambicya, obraza, która w oczach jego była czarną ze strony króla niewdzięcznością. Powtóre Witołd musiał zważać na roszczenia separacyjne bojarstwa, które prędzéj czy późniéj spowodowałyby wojnę domową, gdyby smutną tę kwestyą pozostawić niezałatwioną. Polityk szkoły krzyżackiéj, jakim był Witołd, chciał półśrodkami przywieść Jagiełłę do upamiętania się, a po téj drodze zdążał bezwiednie do celów, które jemu samemu były podówczas nie jasne.

W Ejkszyszkach koniecznėm było odpowiedziéć na poselstwo Zygmuntowi. Odpowiedź ta przechowała się po-dziś dzień i maluje stan nieméj boleści Witołda, którą miarkuje niezwykły umysł i rozsądek. Z godnością i powagą oświadcza książe, iż z przysłanéj mu legacyi polskiéj dowiaduje się, iż król Polski cofa swe słowo, które poprzednio był dał, a czy godziło się mu tak uczynić czy nie, sam o tém musi najlepiéj wiedziéć, że jednakoż słowo królewskie — według jego zdania—nie powinno być na wiatr rzucane. Witołd opowiada daléj królowi Zygmuntowi, iż w sprawie téj nie chciał bez namysłu i rozwagi działać, lecz chciał wprzód zwołać radę swoich bojarów i dostojników, gdy w tém król poniżył go zarówno jak i Litwę, traktując ich z góry jakoby Litwa nierówną była Koronie. Co do

twierdzenia królewskiego, jakoby Litwini bez wiedzy Polaków, nie byli w prawie obierania sobie pana, to zdanie to, lubo prawdziwe, nie ma obecnie żadnéj racyi i zastosowania, gdyż on (Witołd) jeszcze żyje i jest w posiadaniu rządów nad Litwą. Łagodząc przykrą w swych oczach sytuacyą króla Zygmunta dodawał, iż król Jagiełło stał się jéj powodem, gdyż udał się do Zygmunta ze sprawą, z którą winien się był zwrócić do w. księcia. Z tém wszystkiem, dziękuje książe Zygmuntowi za przysłanie legacyi a iżby zatrzeć ślady bolesnéj dlań kompromitacyi, przypomina mu, jako nigdy z nim nie mówił w sprawach, któreby z niekorzyścią Polski lub jéj króla połączone były. W silném poczuciu czystości charakteru i sumienia, a nieczując mocy nad sobą i niejako szukając ulgi w boleści, jeżeli się wywnętrzy z nią przed Zygmuntem, pisze on daléj: Wprawdzie brat mój król Polski często mi przeciwności i krzywdy wyrządzał, wprawdzie nie okazywał on nigdy należnych memu stanowisku honorów i reputacyi, jednakowoż zawsze cierpliwie to znosiłem i bez szemrania, nie chcąc pomiędzy sobą a bratem i królewstwem jego siać ziarna niezgody i różnic. A nawet nie odwoływałem się nigdy do Miłości Waszéj w tych sprawach małéj wagi — usprawiedliwiał Witołd swą otwartość—obecnie atoli czynię to, gdy król Jagiełło tak wielką mi wyrządził obelgę i nietylko mnie samemu ale i książętom i bojarom ziem moich, jakoby z zamiarem narzucenia im jarzma niewoli i uczynienia ich hołdownikami swojéj korony, co sobie bardzo do serca wzięli, jako ludzie wolni, którzy nigdy nie byli hołdownikami. Zresztą, kończył Witołd usprawiedliwiając niejako zbytnią swą szczerość i otwartość, lubo z waszą królewską mością węzłami krwi spokrewniony, nigdy nie byłem wobec niéj tak otwartym, obecnie gdy za wolą Boga utwierdziliśmy przyjaźń naszą, chciejmy i nadal w niéj pozostać...

Zmartwiony Witołd nie wiedział może nawet, na jaką pokusę się narażał, wysyłając list ów do Zygmunta. Przyznając się do głębokiéj rany jaką uczuł w sercu, niedomyślał się zapewne, jaką sposobność dawał zręcznemu Zygmuntowi do dalszych intryg. Do króla Jagiełły nie pisał on równocześnie—podążył z Ejkszyszek do Trok, tłumiąc przykre nad miarę uczucia, zatruwające mu podeszłe już chwile żywota.

Podążmy do starego grodu litewskich książąt, aby śledzić zmianę uczuć Witołda, jakie się najlepiéj przybijają z własnego listu, wysłanego w piątek dnia 17 marca do króla Jagiełły.

Aby tém dobitniéj dać uczuć królowi okazaną względem siebie nieszczerość, aby oszukaństwo wystawić w całéj nagości i niejako dalszą odpowiedź lub usprawiedliwianie się królewskie uczynić zby-

teczném, przypomniał najprzód Witołd całe zajście w Łucku, nie zaniedbując dodać, że mimo kilkakrotne zapewnienia królewskie, on biernym był w całéj sprawie, że nigdy się nie starał o godność królewską. Ton téj opowieści, to spokój zwiastujący burzę, to gorycz zranionéj ambicyi odpierającéj podłe zarzuty przeciwników. Witołd przywołuje królowi na pamięć najdrobniejsze szczegóły całego zajścia, malujące najdosadniéj, że książe pomimo zezwolenia królewskiego, z powodu opozycyi jego senatorów, nie myślał nigdy się koronować. Wdzięczność, jaką czuł ku królowi za życzliwość i sprzyjanie projektowi, odejmowała znaczenie doznanemu upokorzeniu. W tém, kopia legacyi krolewskiéj, którą mu król Zygmunt raczył przysłać, inaczéj go pouczyła, mianowicie, że król w oczy zezwalał, zaocznie innego był zdania. Po tym dotkliwym wyrzucie nieszczerości, wypadało wykazać królowi nierozsądek i nietaktowność z powodu wysłania pomienionéj legacyi do króla Zygmunta. Zwraca przeto uwagę króla, że w niéj znajdują się ustępy w wysokim stopniu obrażającego, zarówno jak i bojarów litewskich, którzy krzywdzące ich słowa żywo wzięli do serca. Tu przytoczył treść klauzuli legacyjnéj, przypuszczającéj, że Litwini po śmierci Witołda mogliby bez oglądania się na Polaków przystąpić do elekcyi i dodał z goryczą: Chciéj rozważyć najjaśniejszy panie, czy zdanie tych, którzy coś podobnego napisać doradzili, było stosownėm? Potrzebaż to było prawić takie rzeczy królowi Rzymskiemu i kłopotać go czemś podobném? Czyż zresztą godną było rzeczą, wobec tego samego, który był świadkiem przyzwolenia, swe słowo królewskie odwoływać? Czyż nie stosowniéj było udać się z tą legacyą wprost do nas, załatwić całą tę sprawę wspólnie, a cobyśmy za wspólną naszą i senatu naszego radą uchwalili, tego się święcie trzymać! Nie lepszą byłoby to aniżeli poniżać nas, bojarów naszych i Litwę całą? Przecież dawniéj godziło się nam wzajemnie sobie oświadczyć, że ilekroć pomiędzy nami jakieś różnice powstaną, za obopólném porozumieniem je porównamy. A gdy już w. kr. mość tego, według starego zwyczaju nie uczyniłeś, czyż nie lepiéj byłoby zwołać starszych prałatów i baronów rady swéj i zastanowić się nad kwestyą gruntownie, aniżeli tak pośpiesznie i bez namysłu działać? Wszakże w. kr. mość wiedziałeś, że ja do koronacyi nigdy bym nie przystąpił bez waszéj i waszego senatu rady? W. kr. mość poszedłeś za zdaniem doktora, nowego podkanclerzego. Niechaj się dowie i zobaczy, jakiéj wartości była jego rada.

Co zaś dotyczy klauzuli o zapisach i unii obu krajów—odpowiadał Witołd na śmieszny i niedorzeczny wywód doktora—to raczy w. kr. mość wiedzieć, że te zapisy nie sprzeciwiałyby się nam wcale. Mówią one o wyborze pana obydwu ziem po śmierci jednego z nas.

Gdy zaś z łaski bożéj jestem przy życiu, nie potrzebna mi jest panów polskich elekcya. Koronacya ta, nie sprzeciwiałaby się zresztą i po śmierci mojéj rzeczonym traktatom; przecież jestem od dawna wybrany na pana i w. księcia Litwy i w silném, rzeczywistém a spokojném mam ją posiadaniu, dodawał z królewską dumą. A nawet gdybym zechciał, mówił do żywego urażony Witołd, nie bacząc na ważność słów swoich, gdybym w końcu postanowił koronować się, niewiem czy ci, co w. kr. mości w sposób powyższy doradzali, mogliby temu przeszkodzić?

Lecz postępowanie w. kr. mości zdumiewa mnie tém mocniéj, że w. kr. mość często powtarzałeś mi w rozmowach naszych a nawet piśmiennie oświadczałeś mi słowa: Bracie kochany, miłuję cię jako siebie samego; modlę się do Boga za ciebie więcéj jak za siebie i życzę ci więcéj sławy, długiego żywota i pomyślności jak sobie... i tym podobne grzeczności. A obecnie! I niewiem nawet z jakiego powodu i za czyją przyczyną pochodzi to, że nie posiadasz téj życzliwości, jaką mi okazywałeś pierwéj? A jednak—Bóg świadkiem—nigdy z królem Zygmuntem niczego nie mówiłem, coby zmierzało przeciwko dobru w. kr. mości.

Polecam daléj oświadczyć w. kr. mości, że klauzula o baronach naszych, jakoby ci po śmierci mojéj, mogli bez odwoływania się do senatorów polskich, obrać sobie króla, goryczą napełniła mnie i bojarów, których poniżacie jako tych, którym nie ufacie; spychacie ich z wysokiéj ich godności, nie użyczając im równego honoru, jakiego polskim okazujecie baronom. W końcu kazałeś w. kr. mość oświadczyć, że to co w krajach posiadamy, mamy tylko w dożywocie, przez co poniżacie nas i obrażacie w godności naszéj. Można się było obejść bez tego, gdyż o wszystkiem tém moglibyśmy byli razem pomówić i wspólną powziąć uchwałę.

Zdaje się, że nic nie potrafiłoby nam dokładniéj odmalować stanu duszy Witołdowéj, jak dość rozwlekłe pismo powyższe. Rozbolałe jego serce, zdaje się szukać ulgi w wyrzutach, oznaczających jak najsubtelniéj stopień doznanéj obrazy i obelgi, tém dotkliwiéj czuć się dającéj, że się jéj jak najmniéj spodziewał. Zadraśnięta boleśnie ambicya dała się uczuć w ostrych wyrazach zwróconych do króla, którego oskarżał o nieszczerość, o brak wiary do niego, o nierozważne i niewytłómaczone dlań postępowanie, wreszcie o obelgę zadaną honorowi jego i Litwy—a w słowach Witołda nie było już uległości dawnéj względem dziedzica Litwy. Przeciwnie, zdawał się on wypowiadać wojnę w obronie honoru wielkiego księstwa, które traktowano jakby jakąś prowincyą Polski—ukochaną Litwę, któréj sława była zadaniem i celem jego żywota.

W skutek tych wybuchów rozbolałéj ambicyi, pozostawał Witołd w stanie niebezpiecznéj chwiejności. Groźba, jakby mimochodem wypowiedziana królowi w przytoczoném powyżéj piśmie, maluje poniekąd ów chorobliwy stan w jakim obecnie pozostaje w. książe. W tym dziwnym stanie, stroskany i zawiedziony Witołd szukał duszy, któraby chociaż współboleć z nim mogła. Dziwném by się wydawać mogło, że szukał on jéj w osobie mistrza zakonu, o którym wiedział, że tylko z musu jest przyjacielem Litwy. Lecz któż w obecnéj chwili sprzyjał jéj szczérze? Jak w młodości swéj podwakroć zbiegiem był w Malborgu, szukając dla niéj ratunku u wrogich Litwie mistrzów, tak obecnie u ich następcy szuka słów pociechy i ulgi w zmartwieniu. Dodajmy atoli, że uczucie to, lubo trwałe, nie było zupełnie szczérem. Przekonamy się o tém późniéj.

Książe uwiadowił mistrza jak najdokładniéj o całém zajściu Łuckiém, załączając kopje listów wysłanych do królów Jagiełły i Zygmunta. Ani się domyślał, że w Malborgu znano jéj przebieg z właściwego źródła. Mistrz wtajemniczony w intrygę przez Zygmunta, nie mógł się powstrzymać, aby nie wlać balsamu pociechy w rozdarte serce księcia, jak to przystało na duchownego i rycerza, dwu części składowych jego dostojnéj osoby. Można się dorozumiewać, że usprawiedliwiał on nawet króla Jagiełłę, zawisłego od senatu staruszka, ochraniał go od zarzutów, aby tém dać dowód swéj bezstronności. Mając opiece swéj powierzone nici intrygi Zygmuntowéj oglądał się w otoczeniu swém za ludźmi, którymby można było bezpiecznie końce ich powierzyć. Wybór padł na Fochsa, pospolitego zresztą lecz zręcznego krzyżaka, którego Witołd dla zbyt częstych poselstw ze strony zakonu, uważał poniekąd za swego domownika. Mistrz przytém nie lubił ręki kalać w brudzie, a tak Fochsowi, domownikowi Witołda i w. mistrza, przypadła ważna rola w intrydze zawiązanéj przez Zygmunta, któréj ważną połowę miał wykonywać mistrz zakonu.

Prostoduszny Fochs, w mniemanéj naiwności, doradzał księciu użyć kroków dyplomatycznych, któreby zmusiły Jagiełłę do powrócenia mu winnéj czci. W tym celu trzebaby odosobnić Polskę, trzebaby zapobiedz, aby nie zbliżyła się do zakonu i sam na sam nie uregulowała sporów granicznych z zakonem. Doradzał przeto Fochs księciu porozumiéć się pod tym względem z w. mistrzem. Książe nie widział w tém nic ukrytego, przeciwnie sam czuł poniekąd potrzebę przeszkodzenia możliwemu pogodzeniu się króla z zakonem, gdyby ono, na co się w obecnych stosunkach zanosiło, bez niego obyć się miało. Fochsowi tedy porucza Witołd zapytać się mistrza, czyby nie miło było dlań, gdyby się z nim zjechał osobiście, zwłaszcza gdy na

zjeździe Łuckim nie był mistrz obecny. Zresztą powodów do zjazdu było aż nadto wiele w niezałatwionych dotąd sporach, ażeby pozory jego usprawiedliwić, a tak projekt, skąd inąd podszepnięty, umotywować. Fochs pospieszył z propozycyą księcia do Malborga a mistrz chwaląc sprawnego posła, zgodził się na zjazd z Witołdem w Jurborku i doniósł o tém Zygmuntowi.

Witołd miał jeszcze jeden powód więcéj do zbliżania się ku mistrzowi zakonu. Gdy go ominęły pierwsze głębsze wrażenia z powodu fałszywego kroku króla Jagiełły, począł on pilnie zastanawiać się, czy postępowanie króla Zygmunta, nie jest również fałszywe jak i króla Polski.

Wspomnieliśmy, że król Zygmunt nie chcąc zrywać zupełnie z Jagiełłą a intrygę uczynić coraz zawilszą, zaproponował chytrze zjazd na granicach pruskich odbyć się mający. Donosił on o tém Witołdowi, do króla zaś Jagiełły pisał już jako o rzeczy, o którą się z Witołdem niechybnie ułoży. Oczywista, że mając cel ukryty, motywował on projekt ten ogólnikami, że zjazd ten odbędzie się z olbrzymiemi korzyściami dla chrześciaństwa i t. p. Na miejsce zjazdu wyznaczał Toruń dla siebie i mistrza, jakaś miejscowość obok Torunia dla króla Jagiełły a Witołdowi podstępnie dawał do wyboru przyłączyć się do niego lub do króla Polski, jeżeli ten ostatni w ogóle zechce przyjechać. Zjazd miałby się odbyć około 5-go maja a Zygmunt nie zaniedbywał niby to mimochodem napomknąć Witołdowi, że on mógłby przy téj sposobności i sprawę koronacyjną załatwić.

Jakkolwiek wyłącznie sobą zajęty Witołd, nie mógł się nie zdziwić z powodu tak dziwnego projektu, skoro nad nim głębiéj się zastanowił. Poczynione przezeń uwagi nad projektem były tego rodzaju, że nie wypadało ich przesłać Zygmuntowi. Wysyła on przeto do Węgier sekretarza swego Małdrzyka z grzeczném odrzuceniem projektu, sądząc przytém, że tenże dowie się o prawdziwym stanie rzeczy na dworze Zygmunta. Uczuciem atoli, jakiego doznał, postanawia znowu podzielić się z w. mistrzem.

Opowiada mu tedy o ogólnikowym celu proponowanego zjazdu, to jest o niewytłómaczonéj dlań korzyści, jaką całe chrześciaństwo miałoby z tego odnieść i orzeka stanowczo, że projekt taki wcale nie przypada do jego umysłu. „Czyż może dlatego—dodaje on z cierpką ironią—miałby się nowy zjazd odbyć, żeśmy niedawno z rzeczonym królem Zygmuntem w Łucku się zjechali, uprzejmie i przyjaźnie rozłączyli, rozważywszy poprzednio wszystkie nasze sprawy i powziąwszy stosowne uchwały. Pisze król Zygmunt, że zjazd ten z chwałą chrześciaństwa byłby połączony! Wszakżeśmy w Łucku o tym

przedmiocie wiele radzili, wiele powzięli uchwał, według możności i woli naszéj. A może król Rzymski chce przedsięwziąść ów zjazd w sprawie naszéj koronacyi? Jeszcześmy się pod tym względem nie naradzili, abyśmy koronę tak rychło przyjmować mieli. Miałbym się zresztą na to zgodzić, to wolałbym przecież, aby się to stało w naszéj ziemi i grodzie. Zresztą do takiego zjazdu nieprzygotowaliśmy się, a król Zygmunt nie wyłuszczył dostatecznie celu w jakim właściwie ten zjazd miałby być zwołany.“

W tymże liście przypominał Witołd o zjeździe w Jurborku (termin oznaczono na 25 kwietnia) i wzywał mistrza, aby mu był łaskaw odpisać, czy ma zamiar dotrzymać słowa, czyli też może zechce na zjazd przez Zygmunta proponowany podążyć! Niechajby go tedy natychmiast o postanowieniu swém zawiadomił. Niepotrzebujemy dodawać, że wielki mistrz odniósł się z tém pytaniem do króla Zygmunta i oczekiwał odeń bliższych instrukcyj w téj niekoniecznie łatwéj i poniekąd zmienionéj sytuacyi.

Zanim powrócimy znowu na dwór króla Zygmunta, spójrzyjmy co się działo podówczas na dworze króla Jagiełły, po otrzymaniu owego grzecznego, lecz mimo to odrzucającego żądanie królewskie listu Zygmunta oraz groźnego pisma Witołda, zapowiadającego nie mniéj groźną burzę.

Aleź jak to bywa ze starcem przywykłym do swego otoczenia i od onego zawisłym? Król lubo dostrzegł błąd popełniony przez swą kancelaryą, który Witołd tak sobie wziął do serca, że mu najprzykrzejszych z tego powodu nie szczędził wyrzutów, chociaż mógł dorozumiewać się, że główną sprężyną tego obrotu rzeczy jest Zygmunt, korzystający z błędu podkanclerzego, nie umiał atoli zdać sobie sprawy z całego jéj przebiegu w ten sposób, aby dojrzéć utajonych sprężyn intrygi. Z których to powodów wrodzona jego podejrzliwość nakazywała mu uciekać się po radę i objaśnienia do swych ulubieńców, a więc do téj saméj kancelaryi, któréj zarzutu, że on to, swém dorywczém przyzwoleniem na podstępny projekt Zygmunta najgłówniéj zawinił, nie mógł odeprzéć. Jagiełło ma się tém bardziéj za winnego, o ile wiedział, iż Zygmunt nie po raz pierwszy występował z projektem, o ile już nie raz, pod wpływem podszeptów, posądzał brata o jak najambitniejsze zamiary a w podejrzliwości swéj z porannéj wizyty w Łucku, którą mu Zygmunt i Witołd złożyli, mógł wnioskować, że było nawet niejakie pomiędzy nimi porozumienie. W prostocie swéj postanowił Jagiełło ufać swoim doradcom.

A jego doradcy! Można-ż sobie wystawić, jaki zamęt opanował kancelaryą, gdy Zygmunt, którego uważała za główną sprężynę złego, tak gracko wywinął się z jéj rąk odpowiedzią koszycką? Gdy

zaś z tego powodu, pokrywając kompromitacyą, z rozmysłem i dla konsekwencyi poczęli przed królem obmawiać Witołda i nieprawdopodobnymi domysłami trapić podejrzliwość starca, czyż może przyszli do opamiętania pod wpływem groźnego pisma w. księcia? Ci co w jednéj chwili wyrośli w oczach nieobeznanych ze sprawą i po wierzchu sądzących tłumów szlachty na bohaterów Polski, na zazdrosnych stróżów jéj praw i prerogatyw i obrońców ojczyzny przed chytrością jéj wrogów—ci nie tak łatwo opuszczą świeżo zajęte stanowisko! Dawną niezdarność pokrywają niedorzecznemi domysłami co do charakteru księcia; zarzut głupoty z pogardą ciśnięty im w oczy, im uczonym doktorom i radcom królewskim, zaostrza ich upór, rodzi myśl odwetu, a na dnie tych myśli niema czystéj naiwności, lecz jest tam nędzota rozmyślnego krętactwa.

Przypatrzmy się postępowaniu starego króla, które podjął w téj zmienionéj sytuacyi, pod przemożnym wpływem swoich ulubieńców.

Najprzód odpowiedziano Zygmuntowi, chłodno, i jakby w oznakę niezadowolnienia z powodu jego niedyskrecyi, że co do propozycyi nowego zjazdu, to król niemając swéj rady obok siebie, nie może niczego w téj mierze odpowiedziéć. Witołdowi posłał król szérokie usprawiedliwienie się, spychając winę na doktora podkanclerzego i na Szafrańców, a mianowicie że oni bez poprzedniego porozumienia się i zezwolenia królewskiego, wysłali do króla Zygmunta ową nieszczęsną legacyą. O jak wysoce szczérą i wspaniałomyślną jest kancelarya króla, skoro na barki swe składa winę, nie przyjmując atoli odpowiedzialności za jéj następstwa! Szczegół ten charakteryzuje najlepiéj ta okoliczność, że król ani myślał o usunięciu tak wysoce skompromitowanych swoich faworytów.

Natomiast, za ich poradą, przedsięwzięto zbadać stanowisko w. mistrza, w danym razie zbliżyć się doń, by go mieć po swéj stronie. Postanowiono więc ostatecznie załatwić spory graniczne, chociażby i bez współudziału Zygmunta lub Witołda, chociażby ceną ustępstw terytoryalnych, aby mieć sojusznika na każdy wypadek. Ewentualnie, można by mistrza zrobić pośrednikiem, by króla pogodzić z Witołdem. Z drugiéj znowu strony, miał król negocyować z husytami, śmiertelnymi wrogami Zygmunta, szukając w tém nietylko zemsty za jego sprawki, ale zamierzając nadto należycie zatrudnić go z téj strony i w ten sposób uczynić mniéj szkodliwym. Husyci nadto mieli by być postrachem na Krzyżaków i na Witołda.

Co do wojewody Mołdawskiego, postanowiono oszczędzać go i nie narażać na niepewny wyrok Witołda. Kompromis przeto łucki, uchwalono odwołać, chociażby z krzywdą i wstydem Witołda. Aby

wyczerpać treść uchwał obecnych, dodamy, że o wydaniu zbiega Tureckiego i o daniu pomocy Zygmuntowi przeciwko Turkom niebyło w nich i mowy. Wspomnieć jeszcze należy, że puszczono w obieg roje plotek o koronacyi Witołda, jako niby o zamiarze seperacyi Litwy, uknowanym przez chytrego a i tak znienawidzonego w Polsce Zygmunta, o Zygmuncie jako o konspirującym z husytami wrogu, a nawet przedstawiano napad husycki na Częstochowę jako jego sprawkę.

Do charakterystyki téj chwili, niepoślednéj wagi jest ta okoliczność, że uchwały powyższe, były dziełem kilku ludzi, że senat polski jest obcym téj sprawie. Niespodziewanie i nagle odrywa senatorów od ich czynności okrzyk: Witołd chce się koronować, husyci nasłani przez Zygmunta na rabunek Polski! *Hannibal ante portas!* Więc ratować ojczyznę i wkrótce przedstawi się Polska legatowi papieskiemu, spokojnie i pomału wracającemu z Łucka, jako jeden olbrzymi obóz wojenny. Zapewne, że wśród takich okoliczności, autorowie „veto“ Łuckiego wyrosną na bohatérów i zbawców ojczyzny.

Przyznać należy, że postępowanie takie, lubo ze złéj wiary i z konieczności wynikłe, nie jest pozbawione pewnéj konsekwencyi. Przebija w niém spryt niepośledni doświadczonéj już nieraz głowy dyplomatycznéj, która się nagle spostrzegła, że popełniła błąd kardynalny, a chąc go zatrzéć używa wszelkich ku temu sposobów, wyczerpuje wszystkie zasoby swéj wiedzy i talentu. W dziejach atoli nic się nie zaciera; popełniony błąd, rodzi nowe błędy a dygnitarze kancelaryi królewskiéj ani się spostrzegli, że miasto błąd zatrzéć rozmazali go tylko, ku uciesze tych którzy tego jakby tylko pragnęli i nieomieszkają z ich tajemnic skorzystać. Ich małoduszna, drobnostkowa i karłowata polityka zrodziła zazdrość i zawiść do Litwy i Witołda—dlatego, że Witołd wiódł Litwę genialnym torem wielkiéj polityki, że tylko okruchami swéj sławy osłaniał ich nędzną mierno-tę. W zarozumiałości swéj sądzą oni, że obecnie wyzwali Witołda do boju, podczas gdy są marjonetkami z łaski Zygmunta i narzędziami jego intrygi.

Szafrańcy zmistyfikowali króla, mistyfikują radę koronną. Już się wkradły pierwsze głębsze podejrzenia i tém głębsza przepaść pomiędzy Koroną a Litwą. Uchwały łuckie, stały się marném widziadłem, zdyskredytowano je z osobistą obrazą księcia, gospodarza zjazdu. Porwano wszystkie węzły wiążące króla z księciem, koronę z Litwą—króle, kraje i narody. Obronę praw koronnych, zdano w ręce sfanatyzowanych tłumów husyckich, z głębokiém upokorze-

niem korony spieszono z projektem zgody do Malborga, jakby w obawie aby ich nie uprzedzono.

Taką była polityka kilku faworytów królewskich w Krakowie. Wobec tych stosunków, w niespełna dwa miesiące po zjeździe w Łucku, jakiż jeszcze krok pozostaje królowi do wyboru? Nadchodzi wielkanoc (dzień 27 Marca) król według zwyczaju zwykł był upominki świąteczne posyłać bratu. Obecnie wysyła do Litwy swych posłów (biskupa Zbigniewa i Mikołaja wojewodę Sandomirskiego) aby pod pozorem żądanéj pomocy przeciwko husytom odwieść w. księcia od zamiaru koronacyjnego, którego się tenże mimo zezwolenia królewskiego, uroczyście był wyrzekał. Posłowie mieli upraszać księcia aby się wycofał od rozjemstwa w sprawie mołdawskiéj. Król już niemiał w skarbcu swym podarunków—jakby wszystko mu zabrali Szafrańcy. Jakiż król ubogi? Jaki przytém prosty i naiwny.

II.

Zygmunt od czasu przyjazdu z Łucka bawi w Preszburgu. Wyzyskując korzystną opinią, jaką mu przygotował zjazd z Jagiełłą i Witołdem w oczach przestraszonych tém Czechów, zdąża on do tego by raz już skończyć z nimi piekącą sprawę. Husyci zrazu z pokorą zdążają do Preszburga, rospoczynają się układy—ale już wkrótce idą oporem, rwą się—ktoś za plecyma husytów, stoi i podburza ich. Zygmunt bystrym okiem zoczył Szafrańców. Nie zwiódł go i napad husycki na Polskę, on wie czyja to sprawka, z kim ma do czynienia. Równocześnie dowiadują się o pomyślnych skutkach rospoczętéj w Łucku kabały. Wieść ta pociesza go a Zygmunt żywi niepłonną nadzieję, iż wnet już całkowicie odetnie Polskę od Czechów.

W odpowiedzi na husyckie intrygi Szafrańców, każe on poufnie rozgłosić, że zjazd Łucki okazał się dziełem poronioném, że na nim niczego nie doprowadzono do skutku a to z powodu, że Jagiełło i Witołd wzajem się poróżnili. Co bardziéj, najzaufańszym powierza on tajemnicę, że rzucił kość niezgody pomiędzy dwa psy aby się żarły. Równocześnie śle Zygmunt instrukcyą za instrukcyą do Krzyżaków, aby przy ich pomocy utrzymywać nadal napięty stosunek pomiędzy Jagiełłą i Witołdem. Krzyżacy jak najrychléj wykonywują zlecenia i stają się wspólnikami intrygi, żywiąc pretensye do połowy plonu. Przypatrzmy się, na czém głównie polegało ich zadanie.

Pytanie to rozjaśnia sytuacya Zygmunta, w jakiéj się on wobec Witołda i całéj kwestyi łuckiéj znajdował. Zygmunt bowiem, zażywszy swéj intrygi jako środka do celu, nie mógł się jéj całkowicie oddawać i potrzebował wyręczycieli. Bez nich niemógłby on się na-

wet obyć; z powodu, że użycie środków celem utrzymywania ognia nieporozumień pomiędzy Polską a Litwą, nie leżało w jego mocy. Względem Witołda potrzebował on być jak najostrożniejszym, aby nie zdradzić, że go tylko haniebnie zwodzi. Taż sama ostrożność konieczną jest wobec króla polskiego. Wprawdzie stosunek jego do sprawy łuckiéj, jest tego rodzaju, że i jego mniemana ambicya jest zranioną, że pozornie udaje on, jakoby nie mógł bez ubliżenia swemu honorowi porzucić projektu koronacyi księcia. Ale jakżeż się tu narzucać księciu, który korony téj od niego nie żąda? Wszakżeż tém ściągnąłby na się tylko podejrzenia ze strony ostrożnego księcia. Nawet błędu kancelaryi, nie może on wyzyskać w ten sposób, by zachęcić Witołda do złamania uporu Szafrańców. By chciéć utrzymać w opinii jego całą czystość swych zamiarów, niewypada Zygmuntowi wystąpić w roli delatora. Co gorsza—nawet błędu z konieczności tylko popełnionego, nie może Zygmunt usprawiedliwić przed Witołdem. Przezorny Witołd odrzucił projekt owego zjazdu. Czém usprawiedliwić takowy; jeżeli go nikt tu nie wyręczy?

W zupełnie innym stosunku do drażliwéj kwestyi znajduje się wspólnik Zygmunta, w. mistrz zakonu Paweł Russdorf On jéj całkowicie na pozór obcy a przytém zażyły z księciem i niby to cieszący się jego względami. W roli książęcego przyjaciela, może on współubolewać z nim, pocieszać go, poddawać myśli do zaspokojenia ambicyi. Bez ściągnięcia na się jakiegokolwiek podejrzenia, gdyż usprawiedliwiając nawet króla Jagiełłę, może on zwrócić uwagę księcia na Szafrańców jako jedynych jego wrogów w Polsce, zachęcić go do sparaliżowania ich wpływu, zwrócić gniew księcia na jedno stronnictwo, osłaniając tém interes swój wobec Polski, który przecież księciu dokładnie był znany. Mistrz ma poniekąd nawet prawo do zainteresowania się sprawą łucką, gdyż na zjeździe i sprawy zakonu były przedmiotem obrad a jego posłowie ich uczestnikami. W cóż się obróciły te uchwały, na czém stoi sprawa zakonu? Mistrz nie wzbudzał podejrzliwości księcia, skoro wskazywał na szacherki Szafrańców z husytami, skoro przedstawiał Witołdowi, że kancelarya zdyskredytowała tak uchwały łuckie, że chyba projekt nowego zjazdu nie jest niestety niczém zbytecznćm. Czyż wobec tego nie mógł Witołd, dyskredyt zjazdu Łuckiego i uchwał tamże powziętych, wziąść za osobistą urazę i żądać zadość uczynienia? Mistrz zakonu już skutkiem swéj sytuacyi posiada środki, aby podbudzać i podżegać tkniętą do żywego ambicyą księcia do *koronacyi.*

Na tém słowie, sądzimy, polegała owa *tajna* instrukcya Zygmunta, o którejśmy wyżéj nadmienili. Załatwił ją poseł ustnie,

a w aktach dyplomatycznych, zwraca ona na się uwagę jedném wymownėm mianém *tajemnica*. W czasach tych nie znano jeszcze depesz cyfrowanych, dlaczego téż tajemnice powierzano tylko bardzo zaufanym osobom, w obecnym przypadku bratu w. mistrza. Mistrz miałby tylko wyłudzić pozwolenie ze strony księcia na koronacyą. A gdyby Polacy taką depeszę przejęli, jakby srodze szyki popsuli intrydze Zygmunta.

Niepotrzebujemy dodawać, że położenie to w jakim się wnet po zjeździe łuckim znalazł mistrz zakonu, w niczém nie pogorszyło i tak już nie dobrego stosunku jego do Polski. Przeciwnie, był on pewnym, że kancelarya królewska, jak się to w rzeczywistości stało, pośpieszy doń z ofertami, które polepszą pozycyą zakonu i względy zakonu uczynią drogim towarem. Ów zjazd jaki miał odbyć z Witołdem wzmógł w Polsce najrozliczniejsze podejrzenia co do zamiarów mistrza—alež jemu o wzmnożenie tych plotek chodziło, gdyż one podsycały zarzewia intrygi i czyniły zakon tém potrzebniejszym dla Polski.

Takim sposobem jeden koniec sieci intrygi Zygmuntowéj znalazł się w urach Malborga.

Główną rękojmią powodzenia dla mistrza w całéj akcyi było to, że wyręczał się sprawnymi posłami, nie narażając przez to siebie i zakonu. Prawda że skutkiem tego akcya rozwijała się pomału, że Zygmunt był niecierpliwy, ale *Święta dusza* pomimo to nie odstępował od swego „pomału ale gruntownie.“ Szybkiego działania i hazardownéj gry nie znosił Rusdorf; raz dla tego, że było to obcém jego naturze powolnéj i umiarkowanéj—powtóre, że skarb zakonu nie pozwalał na wysokie stawki. Rusdorf zresztą pragnie rozbratu pomiędzy Polską a Litwą, ale bardzo powątpiewa, azali on przyjdzie do skutku za życia Witołda. Zna on w końcu na wskróś Zygmunta i wie, że ten używa tylko zakonu za narzędzie i że w ciężkiéj doli i potrzebie nie ma co liczyć na jego pomoc.

Zręcznie użyci posłowie zastępują tedy mistrza w intrydze. Znamy już jednego Fochsa, którego obecnie widzimy znowu na dworze księcia.

Witołd, który już miał złość ku Szafrańcom za ich nieszczęsną legacyą, dowiaduje się od Krzyżaka o wcale ciekawych rzeczach. Król sędziwy niczemu nie winien donosi tenże, Szafrańcy są jedynymi wrogami księcia. Oni to w sprawie młyna Lubicza spowodowali króla, że nieprzystał na kompromis, dopókąd mu Witołd 9.000 grzywien nie wypłacił; oni są przyczyną, że król wypuścił na wolność wroga Witołdowego, Kraskę, za ich wpływem Jagiełło niedowierzał księciu, jakby go o jakie złe zamiary posądzając. Krzyżak opowiada,

że król za ich doradą odwołuje obecnie to, na co się był w Łucku zgodził, jak kompromis w sprawie mołdawskiéj; co gorzéj, że król, wbrew uchwałom łuckim, powierza im wejście z husytami w układy. Nie potrzebujemy dodawać, jak wielce w grę wchodzi na nowo tém zadraśnięta ambicya Witołda, jakie walki stacza z wielkim jego umysłem i jak zachęca do złamania uporu kancelaryi polskiéj.

Myśl zdruzgotania wpływu Szafrańców rodzi się w sercu księcia, już skutkiem saméj sytuacyi. Wszakżeż król Jagiełło cofnął swe zezwolenie za ich wpływem i sam to przyznaje; ale nie przyznaje tego, co teraz donosi krzyżak, że król ani myśli z pod tego wpływu się uwolnić, że w coraz gorsze popada błędy, że położenie księcia staje się z tego powodu przykrém nie do zniesienia. Fakta same pouczają Witołda o prawdzie denuncyacyj. I tak mianowicie, Jagiełło zamiast odpowiadać Witołdowi na ważne jego zarzuty, pomija je milczeniem, a natomiast oskarża przed nim Zygmunta, jako tenże buntuje husytów przeciwko Polsce. Witołd dostrzegł nędzotę wybiegu, a biorąc go za oszczerstwo, usprawiedliwia króla Zygmunta z mniemanych zarzutów i wylewa cały potok gorzkich wymówek królowi, że pozwala się oszukiwać przez podłych oszczerców. W tém napad husytów na Polskę usprawiedliwia poniekąd podejrzenia kancelaryi polskiéj. Polacy zbroją się, husyci wysyłają poselstwo z usprawiedliwieniem i tak rozpoczynają się upozorowane już negocyacye. Cała Korona zbrojnie i na koniu. Legat papieski nie może się dość nachwalić gorliwości wiary u Polaków, widząc, że w jéj obronie, wobec mniemanego niebezpieczeństwa, jak jeden mąż powstali wszyscy. Niedomyślnego legata wysyła król do Witołda, z prośbą, aby dał ratunek Polsce. Dobrze—odrzekł książe i wnet cała Litwa stanęła pod bronią. Cóż, gdy ratunku niepotrzeba, gdy Szafrańcy negocyują z husytami, cóż sądzić miał Witołd o téj igraszce? Znaleźli się wnet tacy, którzy objaśnili księcia o rzetelnéj prawdzie i nie dziw, jeśli w téj chwili pałał on żądzą zemsty ku nędznikom a faworytom królewskim. A jakie roje plotek obiegają po Polsce i Litwie z powodu owego uzbrojenia się w obudwu krajach? Źli ludzie podszeptują Witołdowi, że Polacy tylko oczekują nań, aby się zjawił w Polsce gdzie go pojmą i uwiężą, że pod pozorem najazdu husytów uzbroili się przeciwko Litwie. W Polsce przeciwnie krążą wieści fałszywe, że Litwa zbroi się przeciwko niéj, słowem obraz zaburzeń i zawikłań w skutek kilku zgrabnie powiązanych węzełków intryg uskutecznionych pod hasłem „tajemnica.“

Oto co pisze autor intrygi, Zygmunt, do jéj współautora w. mistrza na dniu 17 kwietnia z Preszburga:

„Piszesz nam w sprawie *tajemnicy*, że co do tego wysłałeś już poselstwo, które obecnie ma być u Witołda. Niczego nam jeszcze o niém nie donosił książe, lecz skoro-byś się tylko dowiedział o rezultacie legacyi, niezaniedbaj natychmiast mnie uwiadomić. U nas był obecnie sekretarz księcia Małdrzyk w poselstwie.

Doszły mnie już i pisemne wiadomości, że Jagiełło i Witołd na ostro przeciwko sobie stawają i że w téj sprawie jakieś poselstwo polskie zdąża do Litwy. Skoro się tylko dowiemy o przedłożeniach posłów, natychmiast damy ci o tém wiadomość. Nie wąpię—dodaje Zygmunt—iż lada dzień przybędzie z Litwy odpowiedź od księcia w sprawie koronacyi i innych wszystkich spraw, abym wiedział jak mam daléj postępować. Niezaniedbuj tylko donieść nam o przebiegu *tajemnicy*,—dodaje troskliwie—dla któréj wysłałeś posłów do księcia. W sprawie granic zakonu nie odpowiedział jeszcze król Jagiełło, niezaniedbam atoli napisać ci po otrzymaniu responsu.

Zapewne wiesz już — pisze Zygmunt w cedule dołączonéj do tego listu—że według uchwały w Łucku powziętéj, mam wraz z Witołdem wysłać posłów do wojewody mołdawskiego a mianowicie na dniu św. Jerzego a to aby mi Kilii ustąpił. Będzie to dla zakonu nie mały nabytek, niezaniedbuj przeto przyśpieszać wysyłkę ludzi zakonnych. A i Swidrygiełło nie omieszkał wysłać do nas uprzejme poselstwo. Ofiaruje się on nam ze służbą swą, byle był obecnym na naszym dworze. Król Polski miał go zasypać wielkiémi darami, według ich tamecznych zwyczajów. Sądzę, że go zamierza tém przywabić do siebie.“

Prawie równocześnie pisał Zygmunt do Witołda po otrzymaniu odeń kopij listów, w których książe usprawiedliwiał go przed Jagiełłą z podejrzeń, jakoby się miał wiązać z husytami przeciwko Polsce. Nie będziemy wykazywać stosowności chwili, w któréj można było wystąpić w roli oskarżyciela króla Jagiełły. Zygmunt więc pisze:

Kazałem pisma wasze odczytać i znalazłem w nich tę stateczną i szczérą waszéj braterskości miłość, jaką mi okazujecie udawadnianiem naszéj niewinności w tak prawy i szlachetny sposób, iż aby złożyć podziękę, którą teraz w sercu odczuwam, niemógłbym tego pismem wyrazić. Było to niemożliwém, zwłaszcza, iż nieproszony ani też wzywany, z własnéj woli i bez wiedzy naszéj tak szlachetnie postąpiłeś książe. Ja z méj strony jestem na usługi w. braterskości we wszystkiém i za wszystko co was dotyczy i waszego dobra, gotów nietylko interesa własne ale i własną osobę narazić i z wami w złéj i dobréj doli żyć i umierać.

Już w poprzednim liście wyłuszczyłem w. br. rzecz o skutkach traktatów z Czechami, z których-to w. br. jasno dostrzedz mogła

zawartą z nimi unią przy pomocy któréj, jak oszczercy nasi rozgłaszają, zamierzamy uskutecznić napad na Polskę. Sądzę, że sprawę tę można pominąć milczeniem, zwłaszcza, że to rzecz tak błaha i szkolarska, iż niewartą jest pisma. Jednakowoż posyłamy w. br. kopję listu Prokopa wodza Taborytów, którýśmy wczoraj otrzymali, a świadczy on wymownie, że Taboryci ani myślą odstąpić od oblężenia miast naszych. Czy to ma świadczyć o naszych związkach z husytami, raczy rozważyć braterskość wasza! Alboż i to jakobym miał zamiar napaść na margrabię Brandeburskiego—na mego krewniaka, który służy mi z wielką czołobitnością i z winnym szacunkiem? Ubolewam mocno, że brat mój król Polski, niesprawdziwszy wprzódy takich baśni, przedkłada je waszéj braterskości. Lecz gdy już w. br. w téj mierze tak prawdziwie i trafnie odpowiedział królowi, nie kuszę się o jakikolwiek dodatek, lecz tylko dzięki za to składam serdeczne. Nie mogę jednakowoż pominąć milczeniem téj okoliczności, iż król Jagiełło zdziwienie wyraża w swym liście do was pisanym, z powodu, iż mu w. br. tak wiele pisze o owym Turku, i że zasłania się mną, jakobym ja rzecz tę nie tak bardzo jak pierwéj brał sobie do serca. Rozważ proszę, najdroższy bracie, iż nigdy nie odstępowałem od żądania, aby mi go zwrócono, i że król Jagiełło po dwakroć mi oznajmił, iż w téj sprawie uczyni zadość uchwale łuckiéj—na co dotychczas bezskutecznie oczekuję. Mniejsza o to, że nam oświadcza, iż wypełni uchwałę, wam zaś, że się tylko usprawiedliwi—cokolwiek bądź uczyni—ja jak to już uczyniłem, zdaję sąd co do tych różnic i nieporozumień w wasze ręce. Z czego braterskość wasza łacno wnioskować może, iż nie żądam niczego złego lub niecnego, lecz iż dążę do umocowania wzajemnéj miłości i do utrwalenia związków naszych. Proszę tedy uprzejmie w. br., abyś zechciał królewskiego swego brata nakłonić, iżby on to samo uczynił i nie uchylał się od kompromisu. Niechciałbym bowiem chwytać się ostateczności, chyba gdybym był zmuszony z powodu ucisków i krzywd, jakie obydwaj doświadczamy...

Cokolwiek zresztą dowiemy się w tych sprawach późniéj, nieochybnie damy o tém wiadomość waszéj braterskości. Jedno i jedyne jeszcze pozostaje do wyrażenia, co lubo pierwszéj często w. br. mówiłem i obecnie jeszcze powtarzam, że jestem i pozostanę jego serdecznym bratem i przyjacielem, na którym w. brat. z pewnością polegać może, jakby na sobie samym; i to bez wszelkich skrupułów we wszystkiém co dotyczy waszéj pomyślności i honoru. W tych sprawach nietylko swe własne ofiaruję usługi, boć ja przecież i tak węzłami krwi spowinowacony jestem z wa-

mi; postaram się nad to o pozyskanie dla was mych przyjaciół i chętnych mi książąt, zapewniając waszą braterskość o nierozłączonéj serc naszych miłości, któréj ząb czasu nie zdoła nadwyrężyć...

W dwu powyższych listach w całéj ich osnowie przytoczonych, przebija się niezaprzeczony talent dyplomatyczny króla Zygmunta, kierujący piórem swego pisarza, sławnego późniéj Kacpra Szlika. Treściwość i lakoniczność pierwszego pisma, równie jak chęć przymilenia się i uderzające a dobrze użyte pochlebstwo przybijające się w drugim, a spryt i korzystanie z okoliczności w obu, okazują najwidoczniéj, że Zygmunt nie po raz pierwszy zawiązywał podobne węzły śmiałéj intrygi.

(c. d. n.) *Antoni Prochaska.*

GABINET Hr. TAAFFEGO

I JEGO POLITYKA.

I.

Kilka gabinetów centralistycznych, z krótką przerwą, kiedy hr. Alfred Potocki i hr. Hohenwart rządom przewodniczyli—pracowało od r. 1867 nad tém, aby nikogo w Austryi nie zadowolnić. Pomiędzy Niemcami, jedni radzi byli, aby ich ministrowie prowadzili wprost do pangiermanizmu, drudzy wymagali, aby zaprzeczono nawet istnienia Czechów, inni jeszcze trudniejsze lub niepodobne do spełnienia stawiali żądania. Czesi nie mogli naturalnie być zadowoleni z gabinetów, które im żadnych a żadnych koncesyj narodowych uczynić nie chciały, Polacy morzyli się zajmowaniem ciągle odpornego tylko stanowiska, stronictwo zaś ścisle katolickie we wszystkich prowincyach Austryi nie dowierzało rządzącym liberałom. Słowem, wewnątrz państwa nie było nikogo przyjaznego rządowi, prócz kliki stojącéj u steru, będącéj pod wpływem wiedeńskiego żydostwa, która także nie dość wielką harmonią wewnątrz przedstawiała. Stosunki tak się zarysowały, że nie było najmniejszéj nadziei, aby przy dłuższém trwaniu centralistycznych gabinetów mogło dojść do jakiego takiego skonsolidowania się przeciwnych lub wrogich sobie żywiołów. Idea narodowości zanadto góruje nad wszelkiemi innemi ideami w dzisiejszych społeczeństwach, aby ktośkolwiek jasno patrzący na stosunki Austryi mógł się spodziewać, że centraliści potrafią przygnębić tę ideę na korzyść germanizmu, że zdołają dokonać zamalgomowania austryackich ludów, którego w korzystniejszych stosunkowo warunkach Józef II przeprowadzić nie zdołał. Widziała to dynastya austryacka, widzieli Węgrzy, a nawet jak się zdaje spostrzegł to i sąsiad Bismark, życzliwy od pewnego czasu Austryi—jedni centraliści

nic nie widzieli, bo im dobrze było z władzą. Sama dynastya zresztą nigdy nie miała sympatyi do centralistycznych liberałów; cesarz, zostający z nimi od tylu lat w bezpośrednich stosunkach, wiedział dobrze, że większość ich dąży do Berlina, i że od czasu jak wielkie germańskie państwo na wiedeńskich Niemców wywiera atrakcyą,— nie może być mowy o wyłącznem opieraniu się habsburskiéj dynastyi na żywiole niemieckim.

Węgrzy, którzy w ostatnich czasach bardzo dobrze zrozumieli, że ich egzystencya i siła polega na połączeniu z Austryą, również z ukosa patrzyli na zachcianki wielkoniemieckie Niemców wiedeńskich, i pragnęli aby się raz przecie stosunki w Austryi ustaliły, a tém samém aby wzmogła się gwarancya wspólnéj potęgi dwóch państw tak ściśle z sobą połączonych.

Następstwa wojny wschodniéj, a mianowicie zajęcie Bośni i Hercegowiny przeważyły szalę na niekorzyść centralistów. Nie chcieli oni okupacyi, sprzeciwiali się jéj, nibyto ze względów oszczędności, ale właściwie z tego powodu, aby żywioł słowiański nie wzmagał się w Austryi, a tém samém aby cecha germańska którą jéj nadać chcieli, nie zacierała się coraz bardziéj. W radzie państwa występowali nadzwyczaj stanowczo przeciw zajęciu części krajów tureckich, atakowali z tego powodu dualizm państwa austro-węgierskiego, przyczém się nieraz i Węgrom dobrze dostało. Okupacya jednak stała się faktem dokonanym, leżała w widokach Węgrów i dynastyi—pozostanie więc stronnictwa u steru rządów, które się z tym już faktem spełnionym pogodzić nie chciało—było niemożliwém.

Z początkiem też roku 1878, podało się ministeryum centralistyczne księcia Adolfa Auersperga, rządzące Austryą od r. 1871, do dymisyi, która na razie przyjętą, późniéj zaś z tego powodu cofniętą została, że nie można było znaleść ludzi coby z istniejącą radą państwa dalsze rządy sprawować mogli.

Cesarz znalazł się wobec trudnego pytania: co daléj? Faktem było, że centraliści steru prowadzić nie mogą, ale również nie podobna było tworzyć gabinetu z tak wybitnych federalistów, jak hr. Hohenwart. Po pierwsze bowiem, próba z federalistami raz się nie udała, a powtóre Węgrzy tak stanowczo sprzeciwiali się federacyjnemu ukształtowaniu się Austryi, że każde w tym kierunku dążenie byłoby prowadziło monarchią do nowych wewnętrznych kataklizmów. Węgrzy—może ze swego stanowiska słusznie obawiali się, żeby przez utworzenie federacyi austryackiéj, nie zeszli także z czasem z państwa połączonego z Austryą unią osobistą, do rzędu prowincyi zfederowanéj, a nadto sądzili, że federacya w Austryi oddziała na ich organizm państwowy, że i Kroacya zechciałoby może wstąpić do au-

stryackiego związku federacyjnego i oderwać się od państwa węgierskiego. Te i inne pomniejsze względy wpłynęły na to, że Węgrzy nie dali sobie mówić o federacyi w Austryi, i że w tym względzie byli nieugięci. O rządach federalistycznych marzyć więc nie było można, a centralistyczne stały się niemożliwe. Na razie trzeba było przeto używać dawnych sił, tymczasem zaś przeprowadzić nowe wybory i patrzéć, co się da zrobić. Tak téż cesarz postąpił: powierzył chwilowo sprawowanie rządów dawnym ministrom, pod przewodnictwem Stremajera, zamianował tylko hr. Taaffego ministrem spraw wewnętrznych przeznaczając go na prezesa przyszłego gabinetu. Hr. Taaffe miał przeprowadzić nowe wybory.

Hr. Taaffe jest osobistością, o któréj w Austryi różne można słyszéć zdania: jego nieprzyjaciele odmawiają mu wszelkiéj kwalifikacyi na ministra, sądzą, że to umysł płytki, lekki; że daleko odpowiedniejsze miejsce dla hrabiego w klubie myśliwskim, lub na wyścigach, aniżeli za zielonym stołem, przy którym traktują się poważne sprawy państwa. W obozie nawet ludzi przychylnych obecnie gabinetowi dawały się z początku słyszéć głosy: że hr. Taaffe traktuje rzeczy publiczne po dyletancku, że chce rządzić dowcipkami itd. Są to wszakże, według mnie, sądy powierzchowne. Przedewszystkiém mam to przekonanie, że na przewodnika rządów, na kierującego gabinetem, potrzeba mieć daleko więcéj charakteru, taktu, zręczności, energii i sprytu, aniżeli głębokiéj nauki, lub nawet takiéj wiedzy, jakiéj potrzeba ministrowi finansów, oświaty lub handlu. Sportsmen może być czasem daleko zręczniejszym politykiem, aniżeli profesor wydziału prawa; otóż i hr. Taaffe posiada ten wrodzony zmysł polityczny i niejednokrotnie daleko łatwiéj umiał wyjść z bardzo trudnych stosunków, aniżeli wielu jego poprzedników. Ma on i to za sobą, że się szczyci najzupełniejszém zaufaniem cesarza, który żadnéj jego czynności nie podejrzywa, jak to często bywało za centralistycznych ministrów. Hr. Taaffe pochodzi ze starożytnéj szkockiéj rodziny, która przed wiekami osiadła w Austryi i od dawna była w usługach państwa. Będąc rówieśnikiem cesarza Franciszka Józefa, wychowywał się z nim prawie razem, i jest jedyną w Austryi osobistością nie należącą do cesarskiéj rodziny, którą łączą z cesarzem młodociane wspomnienia. Tradycye katolickie rodziny Taaffów, których prezes ministrów ściśle przestrzega, dalszym są jeszcze węzłem, pomiędzy nim a monarchą. W ten więc sposób stosunki jego z koroną są nadzwyczaj ułatwione. Na zewnątrz zaś, w obec stronnictw, całe usposobienie ministra prezydenta czyni go odpowiednim do prowadzenia polityki wewnętrznéj w Austryi, katolik—a nie ultramontanin, arystokrata—a nie człowiek zacofany, liberalny, wyrozumiały,

łatwy w stosunkach i naginający się do tych różnorodnych żywiołów narodowych i politycznych, które się składają na społeczeństwo austryackie. Hr. Taaffe objął już zresztą rządy z niemałą praktyką administracyjną, przez długi czas bowiem był namiestnikiem Tyrolu, a w gabinecie hr. Potockiego (od 12 Kwietnia 1870—4 Lutego 1871), ministrem spraw wewnętrznych.

Przewodnią myślą cesarza w powołaniu hr. Taaffego było utworzenie gabinetu pojednawczego, któryby o ile możności stał nad stronnictwami, rządził tak w niemieckich, jak i w innych prowincyach, sprawiedliwie i z czasem pogodził te narodowe szorstkości, które doprowadziły państwo w ostatnich czasach, do gorączkowego, niezdrowego stanu.

Od udziału Czechów w radzie państwa, od złamania ich polityki abstynencyjnéj, wszystko zależało: jeżeli oni mieli się nadal zamykać w dotychczasowéj skorupie, państwo nie mogłoby funkcyonować z całą pełnią sił. Wiedziały o tém dobrze koła dworskie, zrozumiał hr. Taaffe, gdy obejmował rządy—pierwszém i główném też jego zadaniem było: bądź-co-bądź sprowadzić Czechów do Rady państwa. Nowe wybory miały stanowić o udaniu się misyi gabinetu. Całą też wagę położył hr. Taaffe na to, aby osłabić centralistów w Czechach, którzy pod wodzą słynnego Herbsta, należeli do najzaciętszych przeciwników wszelkich ustępstw dla różnych narodowości. Wielką dotąd podporą tego stronnictwa była szlachta niemiecka w Czechach i ci czescy magnaci, którzy nie mogąc się pogodzić ze skrajną narodową polityką Riegera—woleli iść z centralistami. Hr. Taaffe w tę stronę skierował swój atak i z pomocą ks. Karlosa Auersperga przyprowadził do skutku kompromis pomiędzy ową arystokracyą czesko-niemiecką, a tak zwaném staroczeskiem stronnictwem, któremu przewodniczył Rieger i hr. Clam-Martinitz. Wskutek tego kompromisu Czesi weszli do rady państwa, a Niemcy stracili w Czechach cały zastęp posłów z większych posiadłości.

Wybory nadto w innych prowincyach, nie przeprowadzane już pod naciskiem centralistycznego rządu, wypadły o wiele korzystniéj dla stronnictwa autonomicznego: w Galicyi kilku Rusinów centralistów straciło swoje mandaty, tak, że dwóch tylko weszło w skład nowéj delegacyi; w Bukowinie, w Tyrolu, Krainie i Karyntyi, a nawet w saméj Austryi były rezultaty wyborów korzystniejsze aniżeli dawniéj, kiedy jeszcze rząd narzucał z Wiednia kandydatów na posłów prowincyonalnéj ludności i kazał wybierać mnóstwo posłusznych mu urzędników. Hr. Taaffe zniósł to nadużycie i wydał rozporządzenie do władz administracyjnych, zabraniające urzędnikom władzy wykonawczéj przyjmować mandaty. Mimo że rząd pozbawił się tym spo-

sobem nie moralnego wprawdzie i duchowi konstytucyi przeciwnego, ale na razie korzystnego środka, jednak rezultat wyborów zapewniał gabinetowi nie znaczną, ale przecież dostateczną większość, aby na niéj mógł oprzéć swe działanie. Na 352 posłów, z których się składa izba niższa, należało 170 do stronnictwa autonomistów, a 149 do trzech centralistycznych klubów, 34 zaś posłów było niezdecydowanych, nie wiedząc na razie, na którą przechylić się stronę. Prezydent gabinetu mógł jednak liczyć na to, iż stronnictwo przy którem jest władza, będzie miało tyle siły przyciągającéj, iż z czasem przygarnie do siebie większą część tych niezdecydowanych, i że ta część przynajmniéj w najważniejszych kwestyach z rządem będzie głosowała. Do takich maruderów politycznych należeli dwaj posłowie rusińscy z Galicyi, radca sądu Bazyli Kowalski i ksiądz Czarkiewicz, tudzież część posłów z południowego Tyrolu, Dalmatyńców i Słoweńców. Przewidywania gabinetu spełniły się téż pod tym względem, maruderzy polityczni powoli łączyli się z armią, a obecnie stronnictwo autonomistów (prawica) rozporządza większością około 30 głosów.

Po przeprowadzonych wyborach przystąpił hr. Taaffe do złożenia nowego gabinetu (10 Sierpnia 1879), z tém przeświadczeniem, że wobec tak silnego nieprzyjaciela jakim jest stronnictwo centralistyczne, najodpowiedniejszym będzie gabinet koalicyjny, w którym obydwa wielkie stronnictwa miałyby swoich reprezentantów. Hr. Taaffe liczył na dobrą wolę przyszłych swych kolegów i na siłę stosunków, że ministeryum koalicyjne potrafi w kwestyach ważniejszych sprowadzić obydwa stronnictwa do porozumienia, a w każdym razie zyskać sobie w izbie bardzo poważną większość. Wierząc w dobry skutek swéj myśli zaprosił hr. Taaffe do współudziału w rządzie trzech centralistów, a mianowicie dotychczasowych ministrów: oświaty—dra Stremayera i obrony krajowéj—jenerała Horsta, tudzież barona Korb-Weidenheima na ministra handlu. Stronnictwo autonomiczne reprezentował hr. Juliusz Falkenhein, jako minister rolnictwa, tudzież dwaj ministrowie bez teki: p. Ziemiałkowski, dla Galicyi, i dr. Prażak dla Czech. Powołanie ministra bez teki dla Czech było pierwszą opłatą, jaką rząd uiścił Czechom za wstąpienie do rady państwa.

Myśl takiéj koalicyi nie zupełnie była szczęśliwą, może stosunki na razie nakazywały ją jako nieuniknioną konieczność, ale tego rodzaju koalicya na dłużéj utrzymać się nie da. Stronnictwa autonomistów i centralistów w Austryi zanadto jeszcze stoją od siebie daleko, większość centralistów zanadto upiera się przy swych germanizacyjnych eksperymentach, aby reprezentanci tak odmiennych od siebie kierunków na dłużéj z sobą się zgodzili. Hr. Taaffe wychodził z téj zasady,

że jeżeli konstytucya, którą centraliści ułożyli nie będzie naruszoną, to tém samém nie będą oni mieli powodu usuwać się od rządu. Na téj też podstawie weszli do gabinetu trzéj posłowie centralistyczni. Jednakże takie zobowiązanie nienaruszania konstytucyi jest na dłuższy czas niemożliwém, bo mimo najlepszéj woli zajdzie przecież konieczność, już to tłómaczenia niektórych ustaw zasadniczych, już to uzupełniania braków w ustawie, gdyż inaczéj konstytucya skostniałaby i nie odpowiadała postępowi stosunków. Można zaś było przewidywać, że skoro tylko rząd wniesie jakikolwiek projekt do ustawy nie będący Niemcom na rękę, to ci zaczną zaraz krzyczéć, że projekt narusza konstytucyą, choćby nikomu na myśl nie przyszło naruszenie tego co jéj właściwą stanowi istotę: jak ustawy o wolności osobistéj, o prawie stowarzyszeń, o odpowiedzialności ministrów, o niezależności sędziów i t. d. Tak się też stało, trzéj ministrowie centraliści mieli niesłychanie trudne wobec swego stronnictwa zadanie, bo Niemcy robili ich za wszystko odpowiedzialnymi, co się sprzeciwiało ich widokom.

Atak główny zwrócili Niemcy jak zawsze tak i teraz przeciwko Czechom i gdy ministeryum, chcąc cośkolwiek zrobić dla tych ostatnich, wydało rozporządzenie nadające językowi czeskiemu słuszne prawa w sądownictwie—podnieśli centraliści chórem okrzyk przeciwko ministrowi Stremayerowi, że zdradził własny obóz. Gazety wiedeńskie zaczęły pisać na różne tony, że narodowość niemiecka w Austryi zagrożona, że się krzywda dzieje tysiącletniéj kulturze germańskiéj, a z tych wszystkich agitacyj wypłynął memoryał niemiecki do cesarza (z 6 lutego 1880 r.) dążący do tego, aby język niemiecki utrzymać w Czechach w szkole i w urzędzie, gdyż potęga i jedność państwa wymagają jedności urzędowego języka, którym naturalnie musi być język niemiecki. Wprawdzie dla ubarwienia *petitum* nie przepomnieli autorowie memoryału mówić o najlepszych swych względem Czechów intencyach, o tém, że nie myślą uciskać żadnéj narodowości i naturalnych praw jéj zaprzeczać, ale frazesy kończyły się tém, że w Czechach po czesku ani pisać, ani uczyć nie wolno.

Zaledwie przeszła ta burza, a już znalazł się inny powód do jeszcze groźniejszego ataku. Dawny minister, poseł czeski Jireczek, znany autor historyi bulgarskiéj, postawił w komisyi budżetowéj rady państwa wniosek, wstawienia do preliminarza kwoty potrzebnéj na to, aby w uniwersytecie praskim można zaprowadzić katedry z czeskim językiem wykładowym. Minister Stremayer obecny na posiedzeniu komisyi, chcąc się zapewne po trosze rehabilitować wobec swych centralistycznych stronników odpowiedział, że o przeistoczeniu praskiego uniwersytetu na czeski mowy być nie może, że musi on zacho-

wać cechę niemiecką. Minister poszedł za daleko w swéj ochocie przypodobania się Niemcom, bo gabinet jeżeli nie chciał stracić racyi bytu, musiał dać Czechom to, co im się słusznie należało. Z drugiéj zaś strony Stremayer nie odzyskał napowrót zaufania w swym obozie, bo mu nie zapomniano rozporządzenia o języku czeskim w urzędzie, wydanego w jego własnym zakresie działania jako ministra sprawiedliwości.

Wśród tych walk o supremacyą nie zaniechali Niemcy szukać sprzymierzeńców w izbie, a naturalnie takim możliwym sprzymierzeńcem wydawało im się koło polskie, które się o ile możności starało utrzymać na stanowisku neutralném, pośredniczącém, na stanowisku sprawiedliwości i nigdy nie sympatyzowało ze skrajnemi dążeniami Czechów, widząc, że takowe wobec Węgrów przeprowadzić się nie dadzą. Ku Polakom więc zwrócili Niemcy swe afekta, obiecując, że nadadzą Galicyi najzupełniejszą autonomią i stanowisko podobne, jakie ma Kroacya w Węgrzech, jeżeli Polacy połączą się z nimi przeciw znienawidzonym Czechom. *Fides teutonica* zanadto już była znana w kole polskiém, aby iść na lep niemieckich obiecanek, a zresztą rzeczy zaszły za daleko, stosunek koła polskiego z Czechami i z innymi autonomistami zanadto stał się ścisłym, aby go dla pięknych oczu niemieckich zrywać można było. Niemcy więc odeszli z kwitkiem z koła polskiego, a dziennikarstwo wiedeńskie z jeszcze większą aniżeli dotąd bezczelnością i niesprawiedliwością zaczęło napadać, już nietylko na Czechów ale i na Polaków.

Jakby dla dolania oliwy do ognia, wcale niepolitycznie i niestosownie wystąpiło w Izbie stronnictwo klerykalne z dwoma wnioskami, które zupełnie były zbyteczne. Książe Alojzy Lichtenstein zmierzał do rewizyi ustawy zasadniczéj o szkołach ludowych. Żądał on, aby nie przeciążano gmin i krajów wydatkami na szkoły ludowe, tudzież aby w nauce uwzględniano religijne, moralne i narodowe potrzeby ludności. Drugi wniosek, p. Lienbachera, wyższego urzędnika w ministeryum oświaty, żądał zmniejszenia lat obowiązkowych uczęszczania do szkoły z 8 na 6; a mianowicie ze względu na ubogą ludność okolic górskich, która z 13 i 14-letnich wyrostków może mieć pomoc w gospodarstwie, któréj w skutek długiego trwania nauki obowiązkowéj jest pozbawioną.

W obydwu wnioskach było dużo zasadniczéj prawdy, ale niedogodności, jakie mogły wynikać z dotychczasowych pod tym względem ustaw, były usuwane rozporządzeniami administracyjnemi, tak, że poruszenie tych kwestyj, samych przez się bardzo drażliwych, zupełnie na razie nie było potrzebne. Ultramontanom jednak nikt nie mógł wytłómaczyć niewczesności ich wystąpienia—stali się téż powodem

nowego wzburzenia centralistycznéj fali. Rzeczy doszły tak daleko, roznamiętnienie obydwu stronnictw tak się wzmogło, że stanowisko Stremayera jako ministra oświaty stało się niemożliwém. Cesarz uwolnił go też (16 lutego 1880 r.) od kierowania tym wydziałem a na jego miejsce zamianował br. Konrad-Eybesfelda, namiestnika Dolnéj Austryi. Zarazem powierzył tekę skarbu Adolfowi br. Kriegsauowi, który był wysokim urzędnikiem w ministeryum i znanym ze swych zapatrywań autonomicznych. Stremayer pozostał jeszcze na razie jako minister sprawiedliwości w gabinecie wraz ze swymi centralistycznymi kolegami br. Korbem i jenerałem Horstem.

Hr. Taaffemu zdawało się zrazu, że potrafi utrzymać politykę koalicyjną, że zdoła pogodzić centralistów z autonomistami, na zasadzie wzajemnych koncesyj. Im dłużéj jednak istniał gabinet, tém bardziéj natura stosunków pchała go do obozu autonomistów. Centraliści nie myśleli o połowicznéj zgodzie; pragnęli oni rządów dla siebie i nie chcieli kapitulować, a czynili ze swéj strony wszystko, w Izbie, w dziennikarstwie i pomiędzy ludnością—co tylko prowadzi do rozdrażnienia i niezgody. Dalsze wypadki dowiodły, że gabinet z pierwotném założeniem, oparty na koalicyi ścisłych centralistów z autonomistami, nie mógł się utrzymać, gdyż taka koalicya była niemożliwą.

Centraliści gotowali się do stanowczego boju, niecierpliwili się, że od dłuższego czasu rządy do nich nie należą. Obrali więc wiosenne posiedzenia rady państwa r. 1880, na których rozstrząsać miano budżet, aby ostatecznie zrzucić niepowołanych przez nich nowatorów z ławy ministeryalnéj. Ataki zwróciły się głównie przeciw świeżemu ministrowi finansów baronowi Kriegsauowi i przeciw hr. Taaffemu. Baron Kriegsau okazał się zupełnie niezdolnym do piastowania swego urzędu, brak mu było nietylko wszelkiéj znajomości rzeczy, ale i potrzebnéj przytomności umysłu; stanowisko więc jego odrazu się zachwiało, a każdy mógł się domyślać, że nowy minister wyjdzie z gabinetu przy pierwszéj sposobności. Hr. Taaffe ratował jak mógł sytuacyą, ale wrażenie jakie wywarła dyskusya budżetowa było niekorzystne dla ministeryum. Centraliści mieli jasny cel przed oczyma, jasno określone dążenia, gabinet zaś łudził się jeszcze mrzonką koalicyi, któréj centraliści nie chcieli. Wiara w ministeryum i w skuteczność jego polityki tak dalece upadła, że koło polskie, które w rzeczywistości było jednym z filarów gabinetu, nie chciało mu dać zupełnego votum zaufania, ale gdy przyszło do uchwalenia funduszu dyspozycyjnego, oświadczyło przez usta p. Grocholskiego, że Polacy będą wprawdzie głosowali za udzieleniem rządowi tego

funduszu, ale że głosowanie nie ma bynajmniéj być dowodem zaufania do rządu. Z powodu nieobecności kilkunastu członków stronnictwa autonomicznego, które ostatecznie nie chciało gabinetowi stawiać trudności—zwyciężyli centraliści dwoma głosami i odmówili ministeryum powyższego funduszu, w kwocie 50.000 złr. Dziennikarstwo wiedeńskie tryumfowało, sądziło, że ministeryum poda się wskutek tego do dymisyi, rada ministrów nie uważała jednak sprawy nie uchwalenia powyższéj kwoty za kwestyą gabinetową i gabinet obchodził się rok jeden bez pieniędzy dyspozycyjnych.

Uchwała ta jednak dowodząca, jak kruchą była podstawa, na któréj się gabinet opierał, miała swą bardzo dobrą i w następstwach ważną stronę; przekonała autonomistów, że istniejący gabinet z większą aniżeli dotąd popierać trzeba energią, choćby bowiem nie wszystkim im dogadzał, przecież lepszym jest od centralistycznego. Ministeryum zaś widząc upartą centralistyczną niechęć ku sobie, poczuło się spowodowaném szczerzéj zbliżyć do autonomistów i porzucić niedościgniony ideał stania nad stronnictwami. Naszém zdaniem, po nad stronnictwami stoi i stać powinna korona, ale ministeryum wychodzi z łona pewnéj grupy parlamentarnéj, w jéj interesie działać powinno o ile się tylko da, gdyż w przeciwnym razie utraci zaufanie jednych i drugich. W organizacyi stronnictwa autonomicznego zaszły korzystne zmiany: w klubie polskim, który bardzo zawinił, gdyż jedenastu posłów Polaków brakowało przy głosowaniu nad funduszem dyspozycyjnym—nastąpiła karność; żaden poseł bez wiedzy prezesa koła nie może się obecnie z Wiednia wydalić; a kluby: czeski i feudalno-ulramontański także się przekonały, że samopas chodzić się nie da, że przed każdą ważniejszą sprawą trzeba się porozumiewać i twardą, prawdziwie wojskową, u siebie zaprowadzić dyscyplinę.

Cały przebieg rozpraw rady państwa; gwałtowność centralistów w parlamencie, w dziennikarstwie i w sejmie czeskim, dostatecznie przekonały p. p. Stremayera, Horsta i Korba, że w obecnym gabinecie dla nich miejsca nie ma, jeżeli nie chcą się wyprzéć swego stanowiska i trwać nadal w centralistycznych opiniach. Siła rzeczy pchała gabinet ku autonomistom, a ku nim ci ministrowie iść nie mogli. Zrobili więc to, co honorowi ludzie uczynić musieli—podali się do dymisyi a do nich przyłączył się i p. Kriegsau, który jakeśmy powiedzieli nie mógł, z przyczyny zupełnéj swéj nieudolności, pozostawać dłużéj na krześle ministeryalném.

II.

Hr. Taaffe zrobił to, co od początku zrobić wypadało, uzupełnił swój gabinet ludźmi należącymi wprost do stronnictwa autonomicznego, albo przynajmniéj takimi, którzy dalecy byli od zachcianek centralistycznych. Wtedy wszedł do gabinetu jeden z najwybitniejszych posłów polskich, p. Dunajewski, jako minister finansów; prezydent wyższego sądu krajowego w Wiedniu br. Streit został ministrem sprawiedliwości, wyższy urzędnik p. Kremer-Auenrode ministrem handlu a generał hr. Welsersheimb ministrem obrony krajowéj. P. Dunajewski przeważył szalę gabinetu na stronę autonomistów, trzéj inni nowo mianowani ministrowie nie byli tak dalece wybitnemi osobistościami, aby nadawali gabinetowi wyraźniejszą cechę.

Wychodząc z bardzo słusznéj zasady, że w Austryi, uczucie dynastyczne nadzwyczaj ważną odgrywa rolę i że wiele politycznych trudności w stosunkach międzyplemiennych zmniejszyć lub usunąć może, wpadł hr. Taaffe na trafną myśl odświeżania tego uczucia podróżami cesarskiemi. Seryą ich rozpoczęła podróż do Galicyi, dość świeżo jeszcze pozostającą w pamięci czytelników, aby ją opisywać potrzeba. Podróż ta była niezmiernego znaczenia dla wewnętrznéj polityki austryackiéj i bezsprzecznie wzmocniła stanowisko autonomistów, była bowiem jednym dowodem więcéj dla cesarza i stronnictwa dworskiego, że korona może się stale i statecznie opierać, obok narodowości niemieckiéj i na innych narodowościach i że polityka racyonalna autonomiczna, nie rozluźnia węzłów pomiędzy dynastyą a poszczególnemi krajami—lecz owszem je wzmacnia. Postępowanie delegacyi galicyjskiéj dowodziło już tego niejednokrotnie, ale wrażenia, których cesarz doznał w podróży galicyjskiéj ujmowały serce monarsze, wszczepiały w nim wiarę w ludność polską Galicyi, dowodziły, że tak powiem *ad oculos*, iż polityka, przyjęta przez gabinet hr. Taaffego, jedynie jest odpowiednią w państwie austryackiém.

Do podniesienia tych korzystnych wrażeń przyczyniła się dalsza podróż cesarza po Bukowinie, a w kilka tygodni późniéj po Szląsku i Morawie.

Podczas gdy hr. Taaffe starał się podróżami cesarskiemi uświęcić tryumf swéj polityki, centraliści dążyli do tego, aby zniszczyć dzieło pojednania agitacyami przedsiębranemi na szeroką skalę. Urządzali zgromadzenia ludowe, mityngi w Wiedniu i na prowincyi i uchwalali rezolucye wyrażające nieufność do rządu i zapewniające, że narodowość niemiecka w Austryi jest zagrożoną! W tém wszystkiem było dużo dziennikarskiéj blagi a mało ochoty do demonstrowania u ludności, u samych nawet Wiedeńczyków, którzy się nie-

chętnie wdają w agitacye polityczne, jeżeli *interes* dobrze idzie, -jeżeli w warsztacie, w sklepie i w fabryce dość jest klientów. Ludność nie mogła zapomnieć centralistom i ich rządowi, klęski finansowéj z r. 1873 i kilkoletniéj następnie ekonomicznéj stagnacyi i niewidziała bynajmniéj powodu obruszać się obecnie na rząd, skoro interesa zaczęły znów wracać do normalnego stanu i dobrobyt się polepszał. Podczas tych wszystkich zjazdów, *parteitagów*, agitacyj, popełnili centraliści mnóstwo niezręczności, w przykry sposób dotknęli nieraz dynastyą, albo téż pokazali o co im właściwie chodzi—o niemiecką hegemonią—o prusactwo. W zaciekłości swéj tak daleko się posunęli, że prywatnych spraw dworu cesarskiego zaczęli używać za środek do swych wichrzeń i wysoce na siebie dwór oburzyli. Chodziło mianowicie o poruszaną swego czasu przez dziennikarstwo sprawę urządzenia zamku na Hradczynie, w Pradze, gdzie następca tronu po ożenieniu się zamieszkał. Centraliści posądzali w dziennikach wiedeńskich dynastyą o brak patryotyzmu, z powodu, że cesarzewicz zamówił w Paryżu cokolwiek mebli, obić i t. d., że tym sposobem skrzywdził przemysł krajowy. Z zadziwiającym brakiem taktu zestawiały dzienniki wiedeńskie przez kilka dni wydatki na urządzenie domu arcyksięcia, krytykowały, mięszały się w rzeczy prywatne, alarmowały publiczność, wciągnęły w całą sprawę radę miejską wiedeńską, słowem wywołały skandal, który do żywego musiał dotknąć i obrazić rodzinę cesarską.

Autonomiści téż nie mogli do osiągnięcia swych celów lepszego na razie życzyć sprzymierzeńca aniżeli samych centralistów, którzy z gniewu za utratę władzy zapomnieli o wszystkich względach przyzwoitości publicznéj, o poszanowaniu monarchy i rzucali się jak wściekli na wszystkie strony, dowodząc coraz wyraźniéj, że nie są stronnictwem z któremby można się układać i któreby się na to przydało, aby wspierać rząd koalicyjny.

Skutkiem tego poczuwało się ministeryum coraz więcéj do solidarności ze stronnictwem autonomiczném, a przed rozpoczęciem zimowéj sesyi rady państwa (1880) odbyło z przewódcami wszystkich trzech odłamów większości parlamentarnéj konferencyą w Wiedniu, celem ułożenia wspólnéj przeciw centralistom kampanii. W konferencyi zastępowali gabinet wszyscy wybitni ministrowie, a mianowicie hr. Taaffe p. p. Ziemialkowski, Dunajewski i Prażak, posłów było kilkudziesięciu, a pomiędzy nimi pp. Grocholski, Rieger i hr. Hohenwarth. P. Rieger pojechał w owym czasie do Pesztu, aby wysondować Węgrów o ile się oni zgadzają na dążenia autonomiczne narodu czeskiego i do tego zastosować postępowanie czeskiéj delegacyi. Rezultat tych odwiedzin przekonał p. Riegera, że jak z jednéj

strony Węgry nie będą mieli nic przeciwko słusznym narodowym wymaganiom Czechów, tak z drugiéj stanowczo przeciw wszystkiemu wystąpią, coby w najmniejszéj rzeczy zmierzało do naruszenia dualizmu monarchii i chciało istniejący organizm państwa przemieniać na federacyą. Czesi się rozczarowali, ale nabrali przekonania, że na razie nie można stawiać zbyt daleko idących wymagań, a mianowicie marzyć o unii personalnéj Czech z Austryą. Te wszystkie czynniki, jako to: bezwzględne, niesklonne do porozumienia się postępowanie centralistów, rozczarowanie Czechów i zdeklarowanie się ministeryum w kierunku autonomicznym zdziałały, że konferencye wiedeńskie wypadły bardzo pomyślnie; stronnictwo składające się z trzech odłamów zsolidaryzowało się, zespoliło i powzięło postanowienie, aby w zwartym szeregu i z jak najściślejszą karnością występować przeciw centralistom, w czasie kampanii zimowéj. Podróż p. Riegera do Pesztu miała szczegółowo, co do stosunku Czechów z kołem polskiém, ten dobry skutek, że Czesi zaczęli uznawać powody pełnego taktu i rozwagi postępowania Polaków, które poprzednio nie zawsze aprobowali, posądzając nas o niechęć dla swych projektów federacyjnych. Obecnie zrozumieli, że ta niechęć wypływała z rzetelnego przeświadczenia, iż idąc za daleko w dążeniach autonomistycznych, napotkałoby się na nieprzezwyciężone przeszkody, a cała kampania w tym kierunku podjęta, mogłaby wyjść tylko na szkodę wszystkich autonomistów i wyrobić w Węgrzech to niebezpieczne przekonanie, że stosunek dualistyczny pomiędzy nimi a Austryą da się utrzymać tylko na podstawie supremacyi niemieckiéj w Austryi.

W ubiegłéj sesyi zimowéj parlamentu stanęły więc naprzeciw siebie dwa zwarte obozy centralistów i autonomistów, o jakiejkolwiek koalicyi znów mowy być nie mogło, bo centraliści występowali przeciw prawicy i gabinetowi z zaciekłością i bezwzględnością, która często przekraczała miarę przyzwoitości parlamentarnéj. Gabinet znalazł w p. Dunajewskim bardzo dzielnego szermierza, który często oddawał centralistom piękne za nadobne, zbijał zarzuty centralistów natchnione najczęściéj złą wiarą, objaśniał cele i dążenia ministeryum i walczył za sprawę prawicy. Cały gniew centralistów zwrócił się też niebawem przeciw ministrowi finansów, którego zaczęli uważać za najzaciętszego wroga swego i przeciw hr. Taaffemu, którego wytrwałość w dążeniu do raz założonego celu, niezważanie na stawiane przeszkody, doprowadziło ich do najwyższego rozdrażnienia.

To stanowisko walczące, jakie zajmował gabinet hr. Taaffego, nie było odpowiedniém dla dwóch ministrów, a mianowicie ministra sprawiedliwości Streita i ministra handlu Kremera, dla pierwszego, że się nie bardzo mógł wżyć w nowy kierunek i może sercem jeszcze

lgnął ku dawnym nawyknieniom germanizacyjnym, dla drugiego, że się nie czuł dość na siłach, aby rzeczywiście walczyć na stanowisku ministra, zamiast spokojnie drzemać na fotelu ministeryalnym. Gabinet znów więc odrzucił dwa zwiędłe liście i przyjął do swego grona nowego ministra handlu br. Pino, który dotąd był namiestnikiem górnéj Austryi i bardzo skutecznie popierał politykę hr. Taaffego przeciw agitacyom centralistów. Wydział sprawiedliwości objął chwilowo dr. Prażak minister bez teki, a w ten sposób dwa wydziały: spraw wewnętrznych i sprawiedliwości nie mają dotąd swoich stałych ministrów. Minister prezydent czeka na stosowną chwilę, kiedy pomiędzy Niemcami, którzy dziś należą do stronnictwa centralistycznego wytworzy się partya umiarkowana, godząca się na nowy kierunek polityki wewnętrznéj, aby jéj reprezentantom zapewnić udział w rządach i oddać dwa opróżnione krzesła ministeryalne.

Nad wytworzeniem tego umiarkowanego stronnictwa niemieckiego pracuje hr. Taaffe od dawna, ale wszelkie w téj mierze czynione usiłowania rozbijają się o butę centralistów, o ich *non possumus*, przy którém stojąc, nie chcieli ani na jotę odstąpić od swych dążeń do supremacyi. Z czasem takie stronnictwo wytworzyć się musi, wielu bowiem pomiędzy Niemcami przyjdzie do przekonania, że lepiéj jakikolwiek mieć udział w rządzie, aniżeli bezskutecznie ciągle oponować; będzie to stronnictwo autonomistów z konieczności, a nie z przekonania. Wytworzenie, takiego stronnictwa jest jednéni z najszczerszych życzeń gabinetu, bo mając jeszcze około siebie i ten zastęp posłów, mogłoby ministeryum stać nadzwyczaj silnie i nie opierać się wyłącznie na Słowianach i klerykałach, ale i na znakomitéj części Niemców liberalnych. Jakaś resztka nieprzejednanych centralistów nieby nawet nie szkodziła, byłaby konieczną w parlamencie opozycyą, bez którejby większość zanadto pewnie spoczywała na swoich laurach.

Nie dawna podróż cesarza po Salcburskiém, po Tyrolu i Vorarlbergu stała w związku z temi dążeniami, z jednéj bowiem strony chciano się niejako odwdzięczyć katolickiéj ludności Tyrolu za to, że jéj posłowie wspierają rząd, z drugiéj zaś zobowiązać sobie jeszcze większą część Niemców, a mniéj wiernych przekonać, że korona bardzo ściśle jest związaną z dążeniami obecnego gabinetu i że oponowanie przeciwko nim nie na wiele się przyda. Najnowsze wypadki w Pradze, a mianowicie zaburzenia ludności czeskiéj skierowane przeciw żywiołowi niemieckiemu mogły także przekonać centralistów, że korona zupełnie aprobuje postępowanie gabinetu. Niemcy bowiem, którzy swą arogancyą narodową wywołali te zaburzenia, jątrząc najszlachetniejsze uczucia patryotyzmu Czechów na każdym

kroku, spodziewali się, że postępki motłochu praskiego odwrócą dynastyą od Czechów, że cesarz powie, iż rzeczy tak daléj iść nie mogą, że hr. Taaffe rozbije o mury Pragi swoje zamysły polityczne. Ku wielkiemu jednak zdziwieniu centralistów cesarz postąpił tutaj zupełnie w myśl zasad gabinetu; nie przypisywał burdom ulicznym tak wielkiéj wagi, jaką im Niemcy nadać chcieli; ocenił, że znaczna część winy spada na namiestnika, który nie dość był przejęty duchem ery pojednania, aby być bezstronnym wobec Czechów,—i usunął go z urzędu. Nowy namiestnik zaś dostał instrukcyą dzierżenia swéj władzy dla obydwu narodowości sprawiedliwie ale energicznie—co Niemcom nie było do smaku, spodziewali się bowiem nadejścia dla Czechów epoki represyi.

Oto jest stan obecny polityki, jaką zainaugurował pierwszy szczerze autonomiczny gabinet w Austryi, stan jak na teraz zadawalniający. Zachodzi jednak pytanie, czy ta polityka ma na przyszłość szanse powodzenia, czy idea autonomiczna w Austryi nie będzie musiała uledz moralnéj i materyalnéj supremacyi Niemców, a jeżeli nie ulegnie; jakiemi będzie musiała iść drogami, aby z jednéj strony pomagać narodom słowiańskim Austryi do ich naturalnego rozwoju, a z drugiéj nie osłabiać państwa, od którego istnienia poczęści polityczny byt ich zależy. Otóż naszém zdaniem rozwój idei autonomicznéj wszedł obecnie na nader korzystne i jedynie możliwe tory, i jeżeli ludy słowiańskie w Austryi nie zejdą z drogi umiarkowania, to będą mogły dojść do bardzo korzystnych rezultatów. W dziejach walki słowiańszczyzny z germanizmem najsmutniejsze nasuwają się spostrzeżenia: pierwsza zawsze ulegała, germanizm szedł coraz daléj na wschód, wyjątków od téj reguły było nie wiele. Przez jakiś czas Rzeczpospolita polska potrafiła opór stawiać naciskowi germanizmu, wiele miast, wiele kolonij niemieckich zostało spolonizowanych, ale późniejsze klęski narodowe na Pomorzu, w Wielkopolsce, znów się stały powodem utraty odniesionych korzyści i w ostatnich czasach przeważyły szalę na stronę Niemców. Pierwsza reakcya na korzyść Słowian rozpoczęła się z początkiem bieżącego wieku w Czechach i dotąd do nadspodziewanych, ogromnych doszła rezultatów; w ostatnich dziesiątkach lat w Prusiech żywioł polski cokolwiek się otrząsł z gniotącéj przewagi kultury niemieckiéj, w Poznańskiem przynajmniéj lud wiejski przyszedł do świadomości; obecnie zaś dla całego żywiołu słowiańskiego w Austryi zwycięstwo nad niemieckim staje się coraz prawdopodobniejszém. Nie są to bynajmniéj zwycięztwa zaborcze, natchnione duchem germańskiéj drapczywości, ale zwycięztwa restytucyjne, odzyskujące dla Słowian przynajmniéj w części to, co im Niemcy od wieków za-

bierali. Zwrot to w każdym razie niezmiernéj wagi historycznéj, a dla Słowian pocieszający i zachęcający, obala bowiem ów desperacki aksiomat, że w walce z germanizmem Słowiańszczyzna uledz musi...

Przed kilkoma miesiącami zamieściło jedno z poważnych pism niemieckich artykuł pod tytułem *Rückgang des Germanismus in Oesterreich*, a dziennikarstwo bardzo się nim zajęło. W artykule tym z boleścią wykazuje autor, że owoce tysiącoletniéj germanizacyi w prowincyach austryackich zaczynają się psuć, że w takiéj Karyntyi, Krainie i Styryi, gdzie do ostatnich czasów niemczyzna miała wyłączne panowanie, obecnie istnieją słowiańskie szkoły, słowiańskie gazety, słowiańskie książki, i że lud, który dawniéj miał sobie za zaszczyt należéć do wielkiéj rodziny germańskiéj, teraz z dumą powiada, że jest słowiańskim, i wypiera się wszelkiego z Niemcami wspólnictwa. Autor nie zna stosunków innych prowincyj austryackich, ale sądzi, że tam musi być jeszcze gorzéj z niemczyzną. I ma racyą, to mu przyznać musimy, a gdyby przyjechał do Galicyi i zobaczył ten Lwów, który przed 30 laty mówił prawie wyłącznie po niemiecku, a teraz jest miastem polskiém, toby się naocznie przekonał o marności germanizacyjnych nadziei. Z tych innych prowincyi, Polacy okazali najwięcéj żywotności w przetrawieniu, w assymilowaniu żywiołów germańskich. Galicya która bardzo a bardzo była przez germanizm zagrożona, obecnie jest już po za linią niebezpieczeństwa, a sami centraliści wiedeńscy poznali to, i chętniejsi są zawsze z Polakami aniżeli z kim innym do zgody, widzą bowiem, że w Galicyi nie mają racyonalnego interesu. Najtrudniejsza rzecz w Czechach, bo tam Niemców dużo, i to nie Niemców porozrzucanych kępami ale całymi powiatami, tam więc walka potrwa jeszcze bardzo długo, ale sądząc po rezultatach dotychczasowych, walka nie jest bez nadziei powodzenia. Nietrudnym do zupełnego odzyskania jest Szląsk austryjacki, tam idea narodowości wielkie w nowszych czasach robi postępy, a popierana usilnie przez żywioł polski w Galicyi, może się wkrótce wyemancypować od przewagi germańskiéj. Jedyną gwarancyą powodzenia jest ciągła, mrówcza praca, tak na polu ekonomicznėm jak narodowém, praca powolna ale stała, bój takiż jaki Niemcy od wieków prowadzili. Szkoła, dbanie o czystość języka, literatura, oszczędność—to są pola międzynarodowéj walki. Tutaj zwycięstwo jest pewne i nie zawisłe od jednéj lub dwóch przegranych bitew. Ludy słowiańskie w Austryi przychodzą do przeświadczenia że tą bronią przedewszystkiém walczyć trzeba, a to pierwsza, najsilniejsza gwarancya, że potrafią opór stawiać wszelkim atakom germanizmu. Dopóki ludy słowiańskie w Austryi i w Prusiech starały się w drodze

rewolucyi, jak w r. 1846 i 1848 upominać o narodowe prawa, dopóty szanse ich powodzenia były bardzo małe, prawie żadne; bo idea narodowości połączona z rewolucyą miała przeciw sobie dynastye, rządy i znaczną większość ludności, która oddając się przemysłowi lub kupiectwu z natury rzeczy jest nieprzyjaciołką wszelkich przewrotów. Odkąd jednak stanowisko rewolucyjne stanowczo przez Polaków zostało porzucone, polonizm zyskał w Austryi nadzwyczaj na sile, stał się uprawnionym elementem w państwie i łatwiéj może z germanizmem podejmować walkę narodową, bo może służyć tak dynastyi jak i rządowi za punkt oparcia. Opierając się na Niemcach centralizując wszystko w duchu niemieckim, wynaradawiając ludy słowiańskie traci Austrya wszelką racyą bytu, pracuje tylko dla państwa wielko-niemieckiego. Zrozumiała to dobrze dynastya Habsburgów i nie zejdzie już z własnéj woli na fałszywe, a słowiańskim narodom, w pierwszym zaś rzędzie Polakom, szkodliwe tory.

Zachodzi jednak pytanie, czy naród niemiecki w Austryi, w połączeniu z Węgrami jako przeciwnikami Słowiańszczyzny nie będzie miał w danych stosunkach tyle jeszcze siły, aby popchnąć dynastyą wbrew jéj woli i chęci na zgubną drogę germanizacyi Austryi. Taka ewentualność, chociaż jak na teraz nie podobna do prawdy, mogłaby przecież nastąpić, ale tylko wskutek winy samychże narodów słowiańskich, gdyby te postępując tak jak czescy *nieprzejednańcy* wymagali takich zdobyczy, jakichby im państwo na razie, bez oburzenia przeciw sobie wszystkich Niemców i Węgrów, przyznać nie mogło. Słowianie w Austryi powinni sobie powiedzieć, że co się dziś nie da osiągnąć, to się osiągnie jutro—z cierpliwością zadawalniać się małemi ale ciągłemi zdobyczami i patrzeć tylko na to, aby z tych zdobyczy nic nieuronić. Takim zdobyczom, jakie się zyskuje wskutek naturalnego ekonomicznego, narodowego i politycznego rozwoju, ani Niemcy ani Węgrzy przeszkodzić nie mogą, bo ten rozwój odbywa się na podstawie i w granicach konstytucyi. Małe zaś zwycięztwa utworzą po latach wielką sumę, która w każdym razie zaważy potężniéj aniżeli dzisiaj na szali międzynarodowych z Niemcami stosunków.

Z tych wszystkich względów wypływa, że w Austryi niemożliwe jest w dzisiejszych stosunkach dłuższe istnienie innego gabinetu, prócz takiego, w którymby poszczególne narodowości widziały gwarancyą spokojnego rozwoju, pod względem narodowym i ekonomicznym. Niemożliwy jest na dłużéj germański centralizm, bo ten sprzeciwia się widokom dynastyi i oburza przeciw sobie wszystkie narodowości prócz niemieckiéj; niemożliwy jest federalizm, bo niektóre narodowości w Austryi jeszcze nie dość się wzmocniły, a nawet nie

dość wyraźnie wyrobiły swój indywidualizm narodowy, aby mogły działać jako równo-uprawnione członki w związku federacyjnym, odpowiada więc istniejącym stosunkom tylko gabinet autonomiczny, sprawiedliwy dla wszystkich narodowości. Takim jest na razie gabinet hr. Taaffego i dla tego według nas ma wszelką racyą bytu. Może sam hr. Taaffe ustąpić, może kto inny przyjść na jego miejsce; polityka jednak rządu powinna, według wszelkich ludzkich kombinacyj na długo pozostać ta sama, gdyż każda inna wywołałaby z jednéj lub z drugiéj strony tarcie, któreby zdrowemu rozwojowi państwa koniecznie szkodzić musiało.

Polacy mają przedewszystkiém interes w utrzymaniu autonomicznego gabinetu, bo nie potrzebując w domu staczać już walk z germanizacyą, mogą dążenia swe skierować ku uzyskaniu słusznego wpływu w państwie i starać się o jego potęgę. Nie mogą téż w dobrze zrozumianym własnym interesie zgadzać się na politykę któraby w czemkolwiek osłabiała monarchią austryacką, gdyż monarchia i dynastya jest im gwarancyą bytu i rozwoju narodowego. Gwarancya ta nie jest zaś chwilową chimerą opartą na przemijających sympatyach, ale wynika z interesu, jaki ma dynastya, aby z nas mieć Polaków, a nie Niemców, tudzież z tego przeświadczenia, że przy rozumném postępowaniu nie potrzebujemy się w Austryi obawiać przewagi kultury niemieckiéj i mogącego ztąd wypływać wynarodowienia.

SZKICE Z ANGLII.

CZĘŚĆ TRZECIA.

I.

Lord Mer, król londyńskiego City, odprawia tryumfalny przejazd do Westminsteru, aby tam składać przysięgę—i wraca do siebie na ucztę, podczas którój, przewodnicy rządów państwa wygłaszają mowy, jako programy przyszłych swych działań, lub wyjaśniają stanowisko kontynentu, zażegnywając burzę możliwych wojen, przed wystraszonemi kupcami.

Lord Mer, król City, wybierany co rok z londyńskiego mieszczaństwa, ma większą władzę w swym obrębie od królowéj, trzymając w ręku szalę sprawiedliwości, administracyą i policyą. Wojsko chcąc przejść przez ulicę City, musi prosić o specyalne pozwolenie burmistrza, on mu wyznacza drogi pochodu i oznacza, jak żołnierze broń nieść powinni. Co więcéj, nawet królowa, zwykle raz na rok robi wjazd do City, prosząc również króla miasta o pozwolenie odwiedzin.

Z jednéj strony dygnitarze państwa w imieniu królowéj, pukają do zamkniętéj umyślnie na chwilę bramy, z drugiéj strony burmistrz w swym królewskim stroju, pyta się: „kto tam jest i czego chce?“ Wtedy odpowiadają mu: „Królowa prosi o pozwolenie wolnego wjazdu.“ Burmistrz daje rozkaz otwarcia bramy, królowa w licznym orszaku dworzan wjeżdża, przyjęta przez pana miasta, oddającego jéj z galanteryą, wprawdzie trochę kupiecką, klucze od bram miasta, tak jakby jéj oddawał klucze od składów swoich, rozumie się tylko dla ich obejrzenia.

Jeżeli przejdzie bill, zmieniający cały Londyn w jedno miasto i władza Lorda Mera przeciągnie się z City na cały obszar londyński, któż wtedy będzie w stanie zabronić królowi City stać się dyktato-

rem Londynu i panem Anglii? Mając pod swemi rozkazami karną armią dziesięciu tysięcy policyantów, kilkadziesiąt batalionów ochotników uzbrojonych i wyćwiczonych, w rezerwie milion w jedném miejscu zgromadzonych ludzi, arsenał największy w świecie, londyński bank w posiadaniu i morze pod stopami.. Burmistrz Londynu mógłby z łatwością zostać prawdziwym królem, gdyby mu czas jednego roku pozwolił na to i gdyby wieloletni kupiec mógł się od razu zmienić w rycerza.

Bywają wypadki, że piwowarzy stają się protektorami, ścinają głowy królom, trzymają w przerażeniu Europę. którą rządzą Mazarini i Ludwik XIV. Bywają wypadki, ale też wypadkom, towarzyszą czasy, czasom ludzie a nad ludźmi panuje opinia, płynąca z ich namiętności, przekonań, wiary i zapału.

Wszędzie ludzie—i cóżby znaczyli bohaterowie bez ludzi, a ludzie bez wielkich wstrząśnień, które targają ich sercami, wypalają mózgi, wstrząsają całém jestestwem, pchając naprzód, póki sił stanie, aż się spełni zadosyćuczynienie idei, która stworzona w umysłach, woła o swe narodzenie w nowéj formie, w czynach, w prawach nowych, w stosunkach, w których mogłaby panować i dowolnie się rozwijać.

Czyżby egzystował Napoleon bez wielkiéj rewolucyi i bez wielkich Davoustów, Massenów, Kleberów i Neyów... Któż tych ludzi wytworzył, jeżeli nie wulkan rewolucyi, co wstrząsając posadami na saméni dnie nędzy, wyrzucił ich na powierzchnią rozgorączkowanéj masy społeczeństwa? Kromwell warzyłby piwo do późnéj starości, gdyby nie rewolucya angielska, a czemże-by on sam był, bez swego pułku wiernych?...

Burmistrze nie zapanują nad Anglią, wolą oni dostarczać światu całemu porcelany, papieru i okularów, niż rozdmuchiwać ogień, któryby ich samych naprzód pochłonął.. Anglia dziś nie powstanie w imię kształtu rządu, w imię reformy obrządków religijnych. Lud angielski może się jeszcze kiedyś poruszyć, lecz dla kogo i dla czego? Czekajmy, rodzące się nowe idee nie wołają jeszcze o formę, o ciało i rzeczywistość...

Ach jakże ciężko temu ludowi na wolnéj wyspie wzburzyć się! Brak mu poprostu siły skupienia, nie ma ścieśnionych form przymusu, w których siła jego mogłaby znaleść punkt oparcia, aby je następnie zdruzgotać. Wolność w Anglii zabiła wielkie wstrząśnienia, które w naturze i ludzkości wywołują zamknięte granice. Ocean jest jeszcze spokojny, gdy już ścieśnione morza szaleją.

Gdyby też któremu z burmistrzów zachciało się nadużyć swéj władzy, ludność cała przyjęła-by te usiłowania serdecznym śmie-

chem i wybuchem wesołości angielskiéj. Szanownego Lorda ośmieszonoby, policya stałaby w miejscu, a bataliony ochotników poszłyby wypędzić uzurpatora. Lecz jeżeliby który z ambitnych królów zamierzał rozszerzyć swoję władzę, wtedy cały Londyn stanie po stronie swego burmistrza i wtedy biada napastnikom! *Coup d'etat* w Anglii niemożliwy, dlatego téż i my z uśmiechem i dobrym humorem Anglików przypatrujmy się średniowiecznemu widowisku, przedstawianemu co rok podczas instalacyi nowego mera.

Zgromadzony lud w liczbie jednego miliona, wierny tradycyi, stanął jak jeden mąż czekając cierpliwie.

Na Fleet-street w jedném z tysiąca otwartych okien, prawozdawca wasz stoi obok znajomego wam dżentlemena, który jest dziś dumny, surowy i poważny. Od dnia wczorajszego dostrzegłem w jego usposobieniu wielkiéj zmiany; sposępniał, jak gdyby został przygnębiony potężną ideą przyszłéj pozycyi członka parlamentu. Projekt przyjaciół, poparty przezemnie, zmienił się w jego duszy w pragnienie, pragnienie w namiętną żądzę, która sączy swój jad, sprowadzając jak u Makbeta i Hamleta początki moralnego przetrucia. Zaczynam żałować mojéj rady, obudziła ona uśpioną ambicyą, jak czarownice obudziły wróżbami swemi żądzę panowania w Makbecie. Pod jéj wpływem Makbet lunatycznie spełnia zbrodnię po zbrodni, w sercu dżentlemena ogień ambicyi już tli, do którego wierny sługa jego Dżorż dodaje oliwy, a ja ze swéj strony rozszerzam ognisko.

Dżentlemen patrzy na masy ludu i poważnie milczy, lud nie patrzy na dżentlemena, lecz również milczy, gdyż czeka. Policyanci w pewném oddaleniu stoją dumni ze swego stanowiska i władzy nad spokojnym tłumem. Tak, szanowny burmistrzu, gdyby ci przyszła fantazya spóźnić się i nie wyjechać w swéj złoconéj karecie, a zadumany, spokojny ten lud wyrzecze jedno słowo— dosyć!

Dziesięć tysięcy zgromadzonych ludzi to obraz stawu, co kołysząc swe wody lekko porusza trzciną wyrastającą z jego dna. Sto tysięcy—to niespokojne jezioro, milion — to morze. Rozgniewany lud—to wzburzony ocean, każda jednostka jest tylko kroplą.

Z kropel tworzą się fale, biada gdy je wiatr namiętności popycha. Człowiek, jednostka cicha, spokojna, oddana pracy dla życia, życiu dla pracy—milczy i kark schylony ugina. Lud olbrzym. Słyszysz szum oceanu? słyszysz wicher i łomot wzburzonych bałwanów? Czyż to już wszystko... Nie, to zaledwie początek, lud nie spoczywa, chociaż wiatr przycichnie—pójdzie daléj, aż do upojenia i wyczerpania sił.

Istotnie jakiś wiatr złowrogi przemyka się po niedościgłych wzrokiem masach, pochylając je, jak kłosy zboża na wielkich obszarach, jakieś przytłumione głosy dają się słyszéć, jak gdyby w naturze znaki zapowiadające burzę. Lud zaczyna się poruszać, powierzchnia jego drga, wiruje, zwiastując wybuch wulkanu, chwila, a postawi jeden krok naprzód! Burmistrzu nie czekaj, aby lud dał drugi znak niecierpliwości—dalej pójdzie już lawiną!

„Jedzie,“ słychać w oddali, „jedzie“—przechodzi z ust do ust błyskawicą, po całéj linii odbijając się aż o mury Westminsteru. Lud ciekawością zatrzymany staje, cofa się, czeka, potęgę swoję i siłę chowa w swych głębokościach. Olbrzym staje się dzieckiem śmiejącém się ze złoconéj karety i opasłéj figury burmistrza, przemienionego jak w bajce z kupca w króla, przypatrującego się z wystraszoną miną tłumom. Przeklina pewno swoję dumę wczorajszą, nie mogąc odszukać odwagi, tęskni za swym sklepem założonym okularami, a żałował by wszystkiego, zacząwszy od wyrzuconych funtów złota, gdyby nie dwie olkrzymie korony osadzone na drzewcach, trzymane przez dwóch aldermenów, siedzących na przodzie karety. One to zdają się przemawiać do niego: „Tyś dzisiaj król, a jutro zostaniesz baronetem, twój wnuk może być lordem! Masz złoto, wysypuj go przez rok garściami, gość u siebie królów i mocarzy świata, wyprawiaj uczty, na których zabłysną bogactwa Anglii i Indyj. Przez rok będziesz królem, a po roku baronetem, miéj nadzieję, dziedzicznym! Zdobyłeś bogactwa, potrzeba ci uroku sławy, stanowiska, wpływów, imienia, któreby łączyło pracę ze znaczeniem godności... Otrzyj pot kroplisty z czoła czerwoną chustką, gronostaje zbyt mocno grzeją... Dlaczego nie miałbyś być baronetem, musisz być baronetem, tylko nie żałuj stu tysięcy funtów, które trzeba będzie wydać przez rok królowania, dla uświetnienia godności naczelnika pierwszego miasta na świecie!“

Już przeszły korporacye z bogatemi chorągwiami, za niemi rycerze zakuci w zbroję i wielki rycerz niosący miecz sprawiedliwości burmistrzowskiéj i giermki na koniach i świta konno i karety starożytne z dygnitarzami. Lud to wszystko widział, rozbawił się, rozśmieszył, zalega całe ulice; przejazd wstrzymany, swobodnie więc poruszać się może.

Uroczystość zabawy ulicznéj rozpoczyna się od lekkich boksów, które stanowią zaczepkę i niespodziankę, te wywołują przyjemne spotkania, zapytania, odpowiedzi i żarty.

Dżentlemeni z warsztatów, mis z fabryk składają przeważnie towarzystwo. Śmiechy napełniają powietrze, wesołość wzrasta, już się gonią, gdy dogonią często całują; pocałunki bywają kradzione, lub zdobywane

siłą; piwo angielskie leje się strumieniami, panowie częstują damy, damy starają się uprzedzać w uprzejmości panów. Nie ma pijanych, lecz w ogólności dobry humor przeplatany dowcipem, czasem boksem, często gonitwą a w końcu czułością przeprosin.

— Myślę o tym ludzie—rzekł do mnie dżentlemen—o tym naszym dzielnym ludzie angielskim, dotąd jeszcze tak poniewieranym.

— Więcéj tylko światła dla niego — odpowiedziałem — a na podstawie wolności, którą ma, pójdzie daléj. Więcéj światła, powtarzam, a zażegna burze społeczne wydobywając się z pod niewoli kapitału, jak się wydobywa z niewoli przeciążenia pracą, zabijającą jego siły i umysł.

— Rozumiem — odparł dżentlemen, bom sam pracował ciężko w młodości, a zniżając głos dodał — los *clerca* w ogóle a przedewszystkiém na City, to los białego murzyna, praca zabijająca, wynagrodzenie nędzne, przytem maltretują, jeżeli nie brutalnie, to przynajmniéj milczeniem obojętności.

— Jakaż jest cena wynagrodzenia waszych robotników w kantorach na City?

— Dwa, do trzech, a najwięcéj pięć funtów tygodniowo—co to za nędza!

— W porównaniu z innemi krajami nawet z całym kontynentem, płaca nie jest tak niską.

— Ach, sir, weź na uwagę drożyznę, koszta edukacyi, stracony czas na naukę, wysokość zaufania, jakie każdy z nich mieć musi — i kolosalne sumy czyli wielkie procenta, jakie ich praca daje!

— A jednak żyć za te pieniądze można.

— Nędznie samemu. Dla moralności, dla tworzenia rodzin, dla spokoju publicznego—płaca tych ludzi powinna być większą. Kto się za nimi ujmuje? kto za nimi przemawia? Nikt, dotąd są wydziedziczeni, wyjęci z pod opieki, zapomniani. Gdy robotnikiem opiekują się wszyscy, rząd, parlament, towarzystwa, filantropia, dobroczynność, najświetniejsi mówcy, lordowie i on sam sobą—to biedny klerk na absolutnéj łasce swego patrona, teroryzowany, poniewierany, ciężko pracuje, smutnie żyje bez poprawy swego losu, bez przyszłości, która zawisła od kaprysu właściciela, naczelnika.

— Dlaczegóż i oni sami nie myślą o sobie—odparłem.

— Ależ myślą i robią, co mogą, lecz cóż z tego? Konkurencya wielka, opieki żadnéj, każda opozycya uważana za bunt... I jak wyzyskiwano tak i wyzyskują ich pracę.

— Sir—odzywam się poważnie—sprawa ta, los tych ludzi, całéj téj warstwy społeczeństwa, umieszczonéj, jakby w pozycyi przechodniéj pomiędzy robotnikiem i rzemieślnikiem—a posiadaczem i boga-

tym, cała ta masa pracowników, którzy dźwigają i sumiennie odrabiają interesa Anglii, ludzi, z którymi żyłeś, których byłeś kolegą i towarzyszem, a tak wielu między nimi szlachetnych i rozumnych—sir powinieneś być ich opiekunem, rzecznikiem i obrońcą!

— Ale jak i gdzie?—zawołał dżentelmen.

— W parlamencie—odrzekłem uroczyście.

Dżentelmen zarumienił się lekko, nożdrza jego rozwarły się, usta otworzył i wciągnął całą piersią powietrze; potarł ręką po czole.

— Sir—rzekł, wyciągając rękę do mnie rozrzewniony,—zapracowany ciężko grosz, zaoszczędzone siły, rozsądek poparty doświadczeniem, poświęciłbym téj sprawie. Tak to byłby mój cel życia i moja specyalność w życiu publiczném.

— Wybornie—zawołałem,—nie pojmuję prac publicznych bez wytkniętego celu; lekceważę tych wszystkich mężów pływających po nieprzejrzanych wodach wielkiéj polityki, zwykle są-to próżniacy, lub spekulanci. Każdy reprezentant narodu, oprócz popierania dążności swego stronnictwa, powinien mieć jeden przedmiot, jednę kwestyą i tę starając się przeprowadzić, pracować nad nią, choćby całe życie.

— O tak, o tak—mówił dżentelmen—to ponaszemu, to po angielsku!

— Mamy kapitał, dodałem—mamy niezależność, swobodę, doświadczenie—potrzeba miejsca do pracy, a zatém do parlamentu!

Dżentlemen spuszcza oczy, a pulsa na skroniach biją mu gwałtownie.

Tymczasem gdy Lord Mayor składa przysięgę na Westminster, zabawa na ulicach przybiera szerokie rozmiary. Damy kupują maleńkie ołowiane sikawki napełnione różaną wodą i te ściskają w spracowanych rączkach, w zamiarze oblewania dżentelmenów cieniutkim prądem perfum: Dżentelmeni odwzajemniają się tą samą bronią. Niespodzianki wywołują głośne śmiechy,—zaczepki, odpowiedzi; uporczywe prześladowania stają się powodem ucieczki jednéj ze stron wojujących. Kto ucieka, bywa goniony; przy złapaniu wywiązuje się lekkie starcie. Atak zmusza do odpowiedzi i odwetu, a ten bywa często gwałtownym do tego stopnia, że aż ołowiana bańka rozmiażdża się od silnego uderzenia o głowę napastnika.

Miss rozbawiły się, rozochociły—co raz głośniéj się śmieją, same już atakują, prześladują, gonitwa staje się powszechną, wesołość ogólną; a wśród tego tłumu, jak pająki, co roztaczają sieci, pracują

pikpokety (1) polując na portmonetki, chustki, a nawet zegarki i łańcuszki zapatrzonych, lub roztargnionych.

— Pikpoket—krzyknął dżentlemen z okna.

— Pikpoket—zawołano na ulicy—gdzie? gdzie?

— Tam, tam, patrzajcie, łapcie! woła wychylony dżentlemen wskazując ręką.

Pikpoket pomknął na prawo, kilku młodych ludzi, z pewnością jego towarzysze, uderzyło na tłum z przeciwnéj strony a popychając go całą siłą wołają: Pikpoket! Pikpoket! Tym sposobem udaremniają pogoń, rozrywają uwagę, pokazując inny cel.

— Tam, tam na prawo—woła dżentelmen.

— Kto i gdzie? zapytuje się z gniewem jeden z szermierzy a pewno pomocnik operatora.

— Ty! odpowiada z okna zirytowany dżentelmen.

— Kłamiesz—krzyknął drugi.

Tłum zaczyna spoglądać na okno, gromadzić się i przypatrywać czekając walki.

— Ja cię nauczę, ty nikczemniku! odpowiada w największéj pasyi dżentelmen.

Na to pierwszy z napastników zamierza się laską, udając że chce ją z całą gwałtownością rzucić na dżentelmena. Mimowolnie cofamy się raptownie od okna,—na ulicy powstaje śmiech, pikpokety znikają w tłumie. Przytomnością uratowali towarzysza; zręcznością obronili siebie.

— Widzisz sir—mówi z goryczą dżentelmen, jak tym tłumem można kierować, jeżeli się ma bezczelność i śmiałość.

— Jeżeli się ma śmiałość, dobre zamiary i szlachetny cel, można go zaprowadzić daleko—odpowiedziałem.

— Nie zawsze, nie zawsze! Jakże często blaga, zuchwalstwo, buta, pobijają najszlachetniejsze zamiary,—mówił smutno przyszły statysta.

— W takim razie lepiéj lud wychowujcie,—mniéj klownów i klownizmu, mniéj punszu i poliszynelstwa, a więcéj artystycznéj prawdy i uczucia rzetelnego.

Dżentelmen spojrzał na mnie zdziwionemi oczyma.

— Przeciwko klownom—odpowiedział—przeciw naszym klownom sir powstajesz, a czyż Anglik bez nich się obejdzie?

— Gdy ich zabraknie, może być wynagrodzony wielkim Szekspirem—odrzekłem.

---

(1) Pikpoket—złodziéj kieszonkowy.

Dżentelmen jako przyszły prawodawca zadumał się głęboko...

Zapalają lampy, wieczór pogodny, ciepły—obok lamp płoną cyfry i transparenta wystawione przez zwolenników księcia Walii i zagraniczne ambasady, na uczczenie dnia jego urodzin. Ochota ludu nie tylko nie ustaje, lecz z każdą chwilą podnosi się. Zapomniano o burmistrzowskiéj karecie, dżig (1) co raz częstszy na ulicy, przytupywania forsowne, serdeczne wykrzykniki zmieniają się w namiętne, a młode pracownice bez jutra, rozswywolone jak młode kotki.

II.

Opuszczamy nasze okno na Fleet-Sreet, schodzimy na ulicę, towarzysząc ludowi w jego zabawie. Dżentelmen przechadza się jak dygnitarz państwa, opiekun ludu, trybun, ojciec narodu. Pewna dobrotliwa protekcya i łagodna pobłażliwość malowały się na jego twarzy, uśmiechał się i kiwał głową. Dżentelmen nie zrósł się jeszcze z kierunkiem myśli, które tak gwałtownie zwróciły jego uwagę na nowy cel; jeszcze jest sztywny, zamknięty, jakby ogłuszony.

Co do mnie, byłem w wybornym humorze. Lubię namiętnie wszystko, co się nazywa życiem, a więc walką. Walka na każdém polu to życie, a życie wszędzie i zawsze, to walka. Dowodem zadumany dżentelmen, w którego umyśle toczy się wewnętrzny bój, i miss, u których życie tryska z oczu, świeci płomieniem na twarzy, wyrywa się okrzykiem radości z uśmiechniętych ust.

— A to się bawią—rzekł do nas ciemnéj twarzy, dobroduszny mężczyzna, prowadząc pod ramię młodą jeszcze mistres, bojaźliwie pociągającą go ku sobie.

— Ależ moja droga—mówi towarzysz do swéj małżonki, czegóż mnie tak ciągniesz, jakbyś mi zabraniała mówić, przecież dziś wszyscy Anglicy powinni być jak dobrzy znajomi i przyjaciele.

— Każda uroczystość narodowa jest uroczystością braterstwa,—zawołałem, gdy tymczasem mistress zażenowana rumieniła się.

— Brawo! podchwycił dżentlemen—odzyskując równowagę humoru, każde święto u Anglików powinno być i może być świętem wolności. Mów sir, co ci się podoba i bądźmy przyjaciółmi, a nie pozwalaj aby mistres choć młoda i ładna tobą rządziła.

---

(1) Dżig taniec ludowy.

— Ja nie rządzę moim mężem—odpowiada nieśmiało mistres— lecz przykro mi, gdy on zbytecznie szafuje swoją dobrocią, wszystkich rad zaczepia i dla wszystkich jest wylany.

— Bo nie jest ponurym prezbiteryańskim Szkotem, ale pewnie Anglikiem.

— Zanadto jest szczerym i otwartym i to mu w życiu i stosunkach wiele szkodzi.

— A mimo to jest zadowolony z siebie, uśmiechnięty i czerstwo wygląda, a pani jesteś rumianą i dobrze ubraną.

Gdy to mówi dżentelmen, mistres się wdzięcznie uśmiecha.

— Na niczem jéj nie zbywa—dodaje mąż,—człowiek cały dzień pracuje, aby utrzymać dom, wyżywić i jako tako kobiecinkę i dzieci ubrać.

— Czem się sir zajmujesz?—zapytałem.

— Jestem stolarzem.

— Pracujesz u siebie?

— Bardzo rzadko, chodzę do jednego z dużych zakładów.

— Ile godzin dziennie pracujecie?

— Z uderzeniem godziny 6 rano rozpoczynamy, zostając w warsztacie do południa. Czas od dwunastéj do 1-éj przeznaczony na obiad—i znowu praca aż do 5-éj po południu.

— Zatém pracujecie dziesięć godzin.

— Zwyczajnie; za godzinę zapłata wynosi 10 penów, co daje dziennie 8 szylingów i trzy peny—a na tydzień dwa i pół funta. W razie zaś pilnéj roboty, jeżeli nas zmuszają do pracy w nadobowiązkowych godzinach, otrzymujemy podwójną za ten czas zapłatę.

— A zatém sir jesteś w domu już po piątéj.

— O w pół do szóstéj piję herbatę, bawię się z dziećmi, czytam gazetę, którą sobie za pena po drodze kupuję, a następnie wychodzę z żoną i starszą córką na przechadzkę lub sam do klubu.

— A cóż w klubie robicie?

— Jak zwykle pijemy piwo, siedzimy, rozmawiamy, a najczęściéj śpiewamy chórem. Jeden z nas najtęższy przewodzi w śpiewie, a my za nim. Rozmawiamy często o naszych sprawach robotniczych, o wyborach do parlamentu, do rad szkolnych...

— Sir jesteś wyborcą? przerywa dżentelmen.

— Już po raz drugi, gdyż mam od ośmiu lat dom.

Dżentelmen otwiera drzwi publikhauzu, obok którego właśnie przechodziliśmy, prosząc damę, jéj męża i mnie do *private-room*, czyli miejsca przeznaczonego dla dżentelmenów. Trzeba bowiem wiedzieć, że każdy szynk ma przynajmniéj trzy wejścia do jednéj sali

w której niskie przegródki oddzielają szczelnie jednych przychodniów od drugich, grupując towarzystwo na trzy odrębne stany, a zgromadzając wspólnie przed jednym stołem bufetu. Największa przegroda przeznaczona dla ludu, przybranego w czapki, grube buty i kurty; druga kategorya stanowi ludzi w kapeluszach zwykle okrągłych i w niezbyt modném odzieniu, a trzecia dla dżentelmenów w cylindrach, paltotach,—rękawiczki są bardzo dobrze widziane. Podział dogodny dla wszystkich, każdy z przechodniów znajduje swoje towarzystwo, jest mu więc dobrze i swobodnie.

Panią majstrową obdarzono kieliszkiem wina, a my mężczyzni zaczęliśmy popijać podwójny staut, który również podwójnie działa: wzmacnia i jednocześnie rozwesela.

— No, szanowny wyborco, komu dałeś swój głos przy ostatnich wyborach?—pyta dżentelmen trącając się z nami i z damą szklanką nalanego piwa.

— Ja jestem whig od urodzenia, a jednak głosowałem na torysów—odpowiada wyborca.

— Whig głosował na torysów! co słyszę—rzekł poważnie przyszły kandydat.

— Tak sir, głosowałem, bo już mi się whigowie sprzykrzyli. Zawsze po nich spodziewamy się wielkich rzeczy, a oni nam dają okruszyny, a zresztą nic nie robią. Nie pomagali Francuzom w ostatniéj wojnie a w kraju nie ma nic nowego.

— Ale czyż można wszystko od razu zrobić; bo wy zaraz w jednym roku chcecie tak wielkiego skoku, jaki zaledwo w lat pięćdziesiąt jest możliwym, tłómaczył dżentelmen, jak gdyby już był member of Parliament.

— Najlepiéj podług mnie sir, jednych stawiać przeciwko drugim, raz tych, drugi raz tamtych, i tak raz-po-raz, co wybory zmieniać whigów na torysów, a torysów na whigów.

— A to dlaczego?

— Każde z tych stronnictw, przez swych przewodników przed wyborcami, obiecuje narodowi wielkie ulepszenia i kolosalne reformy. I gdy przyjdą do władzy, przypuszczam, whigi, obdzierają torysów na rzecz narodu; torysi zaś kosztem whigów, to jest bogatego mieszczaństwa, robią ofiary dla pracujących, dla ogółu. Np. zniesienie cła od herbaty i cukru, a podniesienie go w rzeczach zbytkowych. Whigi i torysi każde z tych dwóch stronnictw zosobna, ma coś do zaofiarowania i coś użytecznego do przeprowadzenia, a zatém, mojém zdaniem, najlepiéj jest, gdy jedno po drugiém następuje. Każde stronnictwo przy władzy zbyt długo zostające, opuszcza się, zaniedbuje, lekceważy swe stanowisko, jak stary

sługa. Często zaś zmieniane, jest zawsze grzeczne, usłużne, pracowite, a przedewszystkiém trzyma się swego programu, nie nadużywa władzy i nie forsuje zbytecznie w jednym kierunku.

Dżentlemen słuchał ze zdziwieniem tak wytrawnych zdań rzemieślnika angielskiego, spokorniał, spuścił z tonu, zmalał w swém przekonaniu i z łagodną miną zapytał:

— Zkąd sir nabrałeś tych opinij, które nie są do pogardzenia?

— A gdzieżby jeżeli nie w klubie, a przytém czyta się i gazety od piętnastu lat codzień, a potém można także pracować w warsztacie i myśléć. W klubie mamy *speakerów* wybornych, bo to i dowcipni i weseli i dobre głowy.

— Cóż to za jedni?

— Prawie wszyscy stolarze, chociaż są i z innych rzemiosł. My nie rozumiemy się na sprawach kontynentu, ale zato swoje troszkę znamy.

Podczas rozpraw politycznych, starałem się rozerwać mistres, bawiąc ją rozmową.

— Pani przeważnie czas swój przepędzasz w domu?

— Od trzech lat, sir, to jest od chwili, kiedy Bóg obdarzył mnie drugiém dziecięciem.

— A przed tym darem niebios?—zapytałem.

— Małą córeczkę zostawiałam u lokatorki na pierwszém piętrze, za co sobie odtącała półtora szylinga tygodniowo z komornego, a sama chodziłam pracować do fabryki.

— Masz pani zatém dom?

— Już od ośmiu lat, to jest od chwili mego zamążpójścia, na dole mieszkamy, a dwa pokoje na pierwszém piętrze i dwa na górze wynajmujemy.

— I jak pani mogłaś wszystkiemu podołać chodząc do fabryki?

— Wstawałam razem z mężem, a robota w fabryce zaczyna się dla kobiét dopiéro o dziewiątéj rano. Miałam zatém przeszło trzy godziny czasu na zrobienie porządku i przyrządzenie herbaty naszym lokatorom.

Idąc do fabryki zabierałam z sobą drugie śniadanie, mąż w południe przychodził do domu i razem z małą jedli obiad, który sam prędko przyrządzał. Czyż to trudno kawałek mięsa usmażyć i przynieść piwa?

— Dlaczegożeście nie jadali razem?

— Bo u nas porządek godzin jest zupełnie różny jak u mężczyzn.

— Widoczna różnica jest już w tém, że kobiety mają więcéj czasu rano.

— Lecz za to ranną pracę kończymy o pierwszéj, wracamy do roboty o drugiéj, i już bez przerwy, oprócz piętnastu minut na herbatę o piątéj, musimy pracować do siódméj wieczór.

Otwierają się środkowe drzwi publikhauzu i do odgrodzenia przeznaczonego dla kapeluszy okrągłych, cofając się i zasłaniając rękami, wtacza się Dżorż, a za nim mis z podwiniętemi rękawami, z zaciśniętemi w pięście rączkami, postępuje krok za krokiem, częstując boksami uśmiechniętego chłopca. Opór napastowanego słaby, przysunął się do ściany przegrody i starał się tylko odbijać pchnięcia nie odpowiadając na nie.

Dżentelmen porozumiał się ze mną wzrokiem i przysunął się do przegrody.

Atakująca dama wyrzucając niewdzięczność i niewierność ofierze swego gniewu, nie przestawała bić kochanka, razy jednak były słabe, bo ręka mała, a ich właścicielka młodziutka.

— *Hear*, *hear*,—wołają zgromadzeni, robiąc, zwyczajem angielskim, miejsce dla walczących, bez najmniejszéj myśli interwencyi. Zniecierpliwiona mis, czując, że jéj pchnięcia nie wywierają odpowiedniego skutku, zamierza się lewą ręką do boku, a prawą wycina policzek, nieprzygotowanemu przeciwnikowi. Dżorż obrażony uderzeniem w twarz zrywa się, lecz w téj chwili dżentlemeńska ręka przechiliwszy się przez zagrodę, chwyta go za kołnierz.

Dżorż usiłuje się wyrwać ze szponów gwałtownemi ruchy, przy ogólném oburzeniu, za tak zuchwałą śmiałość napaści w chwili walki. Już gotowały się ręce zawijaniem rękawów do udzielenia pomocy Dżorżowi, gdy ten zdołał się wyrwać, odwrócić i zobaczyć dżentlemena.

— A ty, kanalio! walczysz z kobiétą i śmiesz jeszcze napadać—krzyknął dżentlemen.

Mis zaczyna płakać z żalu i ze złości. Dżorż nie traci przytomności, podejmuje w górę kapelusz i z patosem przemawia.

— Niech żyje *member of Parliament* Panowie! Oto wasz kandydat, którego musimy przeforsować. Niechaj tam broni praw kobiét. Tu Dżorż rzuca się nagle i całuje płaczącą mis.

— Panowie—mówi daléj zapalając się—jeżeli mój pan, a dziś kandydat, przejdzie do parlamentu przy mającym nastąpić wyborze, przysięgam wam, że obecna tu mis Nele będzie mistres, Dżorż Pyms to jest moją żoną. Tak zdecydowane i skontraktowane z moim panem.

— Ja nie chcę być twoją żoną, bo mnie zdradzasz, oszukujesz i kłamiesz. Idź sobie do Lucy a mnie nie zwódź i nie męcz—odpowiada płacząc Nele.

— Obywatele!—przerywa Dżorż—miss jest zazdrosna jak każda Angielka, i dlatego ją kocham jak prawy Anglik, a w dniu, w którym mój pan będzie składał przysięgę w parlamencie, Nele będzie jechać w białéj sukni ze swoim mężem w dorożce z kościoła do domu.

— Ja dam głos twemu kandydatowi—odzywa się podchodząc do Dżorża jeden z obecnych; ale jeżeli to ożenienie jest reklamą albo humbugiem, wtedy strzeż się!

Dżorż wysłuchawszy spokojnie, mówi daléj donośnym głosem:

— Przyłączam do tysiąca pozyskanych, które już posiadamy i ten szanowny głos, sądząc, że on nie jest ostatnim w tém towarzystwie. Na uczczenie nowéj znajomości, a wcale nie za pozyskanie kreski;—proszę słuchać! Ja głosy zdobywam przekonaniem a nie piwem, i żaden szpieg przeciwnéj partyi, nie złapie mnie na *bribery*, czyli inaczéj na kupowaniu głosów, proszę o cały pot *Pall-ale.*

— A ja—zawołał pokonany sprytem Dżorża dżentlemen—jeszcze dokładam dwa *poty* na zgodę tego urwisa z młodą miss, zaręczając, że w dniu mego wstąpienia do parlamentu odbędzie się jego ślub, na który jako świadków zapraszam obecnych.

Po tych wyrazach dżentlemen staje się od razu popularnym. Dżorż całuje w czoło Nelę, która udobruchana już się nie opiera. Zgromadzeni w przegrodzie podchodzą do dżentlemena, rozmawiając z nim poufale jak wyborcy z kandydatem.

— Czy masz sir na myśli postawić jaki nowy bil w parlamencie?—zainterpelował jeden z nich nowego kandydata.

Z tak szczęśliwego zapytania, dżentlemen postanowił skorzystać. Staje na stołku, a o ścianę przegrody opiera się łokciami, tym sposobem formuje się wyborna trybuna, z któréj głos zabiera kandydat.

— Tak szanowni wyborcy, mam projekt nowego billu.

— *Hear! hear!* co to za wymowa!—zawołał Dżorż.

— Dżorż nie przeszkadzaj mi, nie przerywaj toku myśli — woła w gniewie dżentlemen. — Największą potęgę narodu stanowi zdrowie jego członków, czyli pojedyńczych Anglików, takich jak my i takich jak wy. Zdrowie i siłę daje zdrowy pokarm, a tym jest mięso. Otóż na mięsie jesteście haniebnie okradani, obywatele Londynu! Mówię i powtarzam: na mięsie!

Sensacya w towarzystwie, które z każdą chwilą wzrasta nowemi przybyszami.

— Anglicy!—ciągnie daléj kandydat—siła narodu i zdrowie wasze, jest na łasce małych rzeźników lub masarzy. Ten funt mięsa,

który na targu londyńskim kupują od pięciu do sześciu penów, sprzedają wam za dziesięć penów lub szylinga! Ubożą naród pożerając jego siły! Społeczeństwo wymaga od was pracy cięźkiéj i wytrwałéj, wynagradzając za nią zapłatą wystarczającą zaledwo na wyżywienie, a pozwala was okradać na jedynym pokarmie, który daje siłę. Cóż korona na to? Jak zawsze śpi i czeka, co mówi parlament?—a parlament nie mówi nic...

Głośny śmiech przerwał na chwilę mowę dżentlemena, lecz był zarazem podmuchem do rozpalenia płomienia werwy jego wymowy.

— Korona śpi, parlament nic nie robi; za mała to kwestya dla niego, woli on czas marnować na gadaninie o kościele irlandzkim. Lecz my jesteśmy i nie śpimy i gadamy i mamy prawo wybierać i zbierać się na mityngi i mówić tak, że aż od naszego głosu szyby w ministeryach pękają!

Ogólne *hear*, *hear* i wielkie brawo. Dżorż rozlewa piwo w blaszane kubki, częstując niemi słuchaczów. Nele udobruchana pije piwo i uśmiecha się do Dżorża.

— I ja z méj strony oświadczam wam i mogę dowieść, że wszyscy rzeźnicy są to skończone łotry—oświadczył potężnym głosem jeden ze słuchaczy. Ileż razy oni mnie oszukali i okradli? Mam ja z nimi stosunki, bo to ja, a nie kto inny sprzedaję im barany, które wypasam wydzierżawiając łąki od królowéj w parkach.

— Cicho, cicho, niech mówi kandydat — odezwały się głosy z tłumu.

— Należy zatém zmusić parlament—ciągnął daléj dżentlemen, aby wydał prawo, nakazujące rządowi wziąć pod nadzór sprzedaż mięsa.

— Anglicy, słyszycie! To zamach na wolność, na handel, na konkurencyą, na przemysł, zamach na wasze najdroższe prawa, osobistéj wolności i stosunków rodzinnego życia!

Temi wyrazami przerwał jakiś inny dżentlemen w cylindrze na głowie, stojąc w téj saméj co i nasz kandydat pozycyi na przeciwnéj stronie drugiéj przegrody. Towarzysz mój zamilkł, całe towarzystwo zwróciło się ku nowemu mówcy.

— Wyborcy! nieznani ludzie chcą was podejść złudnemi obietnicami, przyrzekając, że w waszych żołądkach, za tę samę cenę, zamiast jednego spoczywać będą dwa funty mięsa. Rozbudzają w was łakomstwo i obżarstwo, nie dając możności zaspokojenia go i mielibyście wierzyć i dać się oszukiwać?

Dżentlemenowi krew uderzyła do głowy, poczerwieniał cały i już miał wybuchnąć, gdy w tém interpeluje przeciwnika Dżorż, pytając się go naiwnie.

— Czy sir dużo dziennie zjadasz kartofli?

— Dlaczego się o to pytasz, mój przyjacielu?

— Bo widać z twéj wymowy i rozumu, że się samemi kartoflami żywisz.

Homeryczny śmiech zgromadzonych zagłuszył odpowiedź zaczepionego.

Dżentlemen pochylając się ku mnie szepnął:

— Wygrana! Dżorż nas wyratował! I znowu podniósł rękę do góry prosząc o głos, lecz zaledwo zaczęło się uspakajać, przeciwnik zawołał:

— Czy ja lubię kartofle, lub nie, to moja rzecz, lecz nie lubię kupować głosów i nie popełniam *bribery*.

— Wyborcy z East Middlesex słyszycie? Spotwarzają was dowodząc, że za szklankę piwa sprzedajecie swoje przekonania—wołał Dżorż.

Przeciwnik znikł za przegrodą.

— Kochani słuchacze!—rzekł słodko, uspokojony po téj przerwie nasz dżentlemen — kwestya nie wyczerpana. Gdy rząd będzie wam sprzedawał swoje mięso, czyż przez to zdusi wolność, lub zamknie konkurencyą? Ci co nie będą chcieli kupować za sześć lub siedm pensów funta mięsa w rządowych halach, mogą nabywać za szylinga u prywatnych kramarzy. Dżentlemen z przeciwnéj strony, domyślam się, jest synem rzeźnika i dlatego tylko jada kartofle, aby zaoszczędzić ojcu jak najwięcéj mięsa na sprzedaż.

Głośny śmiech przerwał mowę.

— Szanowni wyborcy, uważacie, przez jaki będziecie reprezentowani dowcip i rozum—odezwał się poważnie Dżorż.

— Jeszcze nie wszystko — powtórnie zabrał uroczyście głos dżentlemen. Zawiązuje się *society* jako spółka handlowa do sprowadzania okrętami z La-Plata żywych wołów na rzeź, dla całéj Anglii, w nadziei, że będziemy mogli sprzedawać funt mięsa od czterech do pięciu pensów. Wyborcy z Middlesex, mam zaszczyt być jednym z członków założycieli tego towarzystwa i w krótkim czasie nie będziecie mieli potrzeby, jak Irlandczycy, lub synowie rzeźników żywić się kartoflami. Muszkuły wasze będą twarde jako stal a umysł będzie trzeźwy i jasny.

Dżentlemen zdejmuje kapelusz i kłania się wyborcom, wyborcy podnoszą blaszane kubki w górę, wołają *hear* i biją brawo.

— I wy wierzycie w takie *chit-chat* (gadaninę) — zawołał nagle oponent, wychylony z za drugiéj przegródki i wy wierzycie w podobny humbug; a to i ja, jeżeli będę chciał wejść do parlamentu, założę spółkę do sprowadzania osłów z Azyi.

— Nie rób sir tego—odezwał się handlarz baranami—potrzeba długiego czasu, aby osły azyatyckie przyzwyczaiły się jeść kartofle, jak je spożywają swojskie.

Dowcipne wyrażenie obcego, zdecydowało stanowczo wygraną. Koncepta na ten temat posypały się obficie, pokonany adwersarz zamilkł, i zdaje się, wyszedł; dżentlemen przez pośrednictwo Dżorża rozdawał swoje karty wizytowe wyborcom na tak niespodziewanie zaimprowizowaném posiedzeniu.

Stolarz i jego żona z wielkiém szacunkiem spoglądali na kandydata *member of Parliament*. Dama nie śmiała siedzieć, a poczciwy rzemieślnik zbliżając się do nas mówił:

— Bądź sir spokojny, będziesz miał mój krzyż (1), bo i ja należę do dzielnicy East Middlesex, a jeżeli przyjdziesz do naszego klubu, pokażesz się, przemówisz—ufam, że potrafisz sobie zjednać wszystkich, a znaleść możesz między nami i dzielnych pomocników.

(c. d. n.) *Sewer.*

---

(1) Głosujący w dniu wyborów nazwisko swego kandydata na kartkach wyborczych oznaczają krzyżami.

O różnorodności pokładów geologicznych

W KRÓLESTWIE POLSKIÉM.

Wszyscy mówimy, iż kraj swój kochamy,
Lecz gdzież ta miłość?—kiedy go nie znamy.

Królestwo Polskie pod wielu względami godném jest uwagi uczonych. Historyk, etnograf i archeolog znajdzie tu bogaty materyał do swoich studij naukowych, ale nierównie bogatszym przedstawia się ów materyał geologowi. Prowadzone poszukiwania, podczas feryj w ciągu lat dziesięciu, dały mi możność sprawdzenia faktu, iż ta część Polski odznacza się niezwykłą różnorodnością pokładów geologicznych. Na ten właśnie przedmiot chcę zwrócić czytelniku twoję uwagę, ale w tym tylko razie, jeśli będziesz podzielał ze mną zdanie, że grzechem jest być cudzoziemcem we własnym kraju. Wtedy bowiem może nie cofniesz się od przeczytania tych kilku kart, poświęconych ziemioznawstwu krajowemu. Kogo zajmują dzieje swego narodu, temu nie powinny być także obojętnemi i dzieje stopniowego kształtowania się cząstki ziemi, którą nazywa ojczystą— i sprawiedliwie, bo się na niéj urodził, jéj przyrodzonemi zasobami żyje i w niéj szczątki jego kiedyś ukrytemi zostaną. Nie zapominaj téż czytelniku, że w téj jeszcze ziemi ojczystéj ukrywają się nigdy nie wysychające źródła twego szczęścia i bogactwa, jeśli ją tylko dobrze poznałeś i kochać umiesz.—

Podobnie jak dzieje narodów, historya rozwoju ziemi często posiada także swój odrębny charakter, który się wyraża w oddzielnych pokładach geologicznych. Królestwo Polskie jest krajem przeważnie płaskim, przez co uprawa roli jest nie trudną. Południowa wszakże część, a mianowicie gubernie: Piotrkowska, Kielecka, Radomska i Lubelska stanowią wyjątek; ich powierzchnia jest pagórko-

watą, a do najwyższych wyniesień należą szczyty gór Świętokrzyzkich: Łysicy i Łysej góry, z których pierwszy, według pomiarów sztabu generalnego, wznosi się na 2.006, ostatni zaś na 1.908 stóp nad poziom morza.

Prawie całą przestrzeń kraju pokrywają napływy, tworzące ziemię orną. Nieliczne stosunkowo w tym względzie wyjątki, tj. nagie skały czyli obnażenia, widzieć się tylko dają w południowych guberniach Królestwa. Napływy składają się z czystych piasków, z piasków zmięszanych z gliną piaszczystą lub innemi gatunkami gliny, z czystych glin, z glin wapienno-piaszczystych, z marglów i z czarnoziemu.

Czyste piaski, tworzące, jak wiadomo, nieurodzajną ziemię, występują wprawdzie w bardzo wielu miejscach, ale za to niewielkiemi kawałkami; największą ich przestrzeń znajdujemy tylko pod Olkuszem.

Piaski, zmięszane z różnemi gatunkami gliny, rozpościerają się już na wiele znaczniejszych przestrzeniach, tworząc lekkie, staranniejszego obrobienia wymagające grunta; spotykamy je w różnych miejscach całego kraju.

Czyste gliny zalegają równie znaczne przestrzenie i tak samo jak poprzednie grunta znajdują się we wszystkich guberniach; grunta gliniaste tworzą urodzajną, ale ciężką dla uprawy mechanicznéj ziemię rodzajną.

Natomiast *gliny, zawierające domieszkę piasku i wapna* czyli *wapienno-piaszczyste*, tworzą bardzo urodzajną i lekką do uprawy rolę. Temi to urodzajnemi gruntami, warunkującemi największą produkcyą pszenicy w tutejszym kraju, odznaczają się niektóre południowe powiaty, jak Miechowski i Stopnicki w gub. Kieleckiéj. Sandomierski i Opatowski—w Radomskiéj, Nowoaleksandryjski, Lubelski, część Janowskiego, Krasnostawski i Tomaszowski—w Lubelskiéj.

Grunta marglowate, powstałe z tak zwanych margli kredowych (opoki), występują tylko w południowéj części kraju: w powiecie Jędrzejowskim, w wielu miejscach powiatu Miechowskiego i Stopnickiego, po obu brzegach Wisły między Zawichostem i Puławami.

Nakoniec *czarnoziem*, nie ustępujący w niczém co do swojéj rodzajności glinom wapienno-piaszczystym i gruntom marglowatym, rozpościera się na największą przestrzeń w powiecie Hrubieszowskim i powstał on tam na miejscu. Spotykamy go jeszcze, ale już w niewielkich kawałkach, jako napływ, na południe od Kowna i na południo-wschód od Maryampola w gub. Suwalskiéj, na zachód od Kolna—w Łomżyńskiéj, pod Radziejowem—w Warszawskiéj, między

rzekami Nerem i Wartą—w Kaliskiéj; nadto tworzy on także wązki pas, który się ciągnie wzdłuż koryta Wisły, a mianowicie: na jéj brzegu lewym—od Puław do ujścia rzeki Pilicy, na prawym od ujścia rzeki Wilgi do Karczewa, i znowu na lewym—około miasta Góry Kalwaryi, zkąd idzie ku okolicy wsi Willanowa pod Warszawą.

Powyżéj opisane napływy, tworzące powierzchnię tutejszego kraju, geologowie rozdzielają na starsze (diluwialne) i nowsze (aluwialne). Napływy starsze po większéj części zawierają jeszcze, większe lub mniejsze zaokrąglone bryły skał finlandzkich i szwedzkich przyniesione przez lodniki, czyli tak zwane głazy narzutowe (gnejs, granit, dyoryt, łupek hornblendowy, porfir felzytowy, kwarcyt itd.). Wspomniane głazy znajdują się na przestrzeni, któréj granica południowa, według Puscha, idzie mniéj więcéj od Częstochowy na Przedbórz, u stoku północnego gór Kieleckich, nad brzegiem rzeki Kamiony, przez Wisłę, Lublin i Lubartów i wchodzi w część południową gub. Grodzieńskiéj. W stronach od powyższéj granicy na północ położonych, ilość głazów narzutowych staje się coraz większą. Jednakże granica ta za ścisłą uważana być nie może, albowiem głazy narzutowe dostrzegałem pod Janowem w gub. Lubelskiéj, w miejscowości zatém o wiele więcéj jak Lublin na południe posuniętéj. W ogóle napływy w Królestwie należą do utworów bardzo niedokładnie jeszcze zbadanych, nie tylko pod względem geologicznym, ale i chemicznym. Nieznajomość składu chemicznego znakomitéj większości napływów niezaprzeczenie bardzo utrudniać musi rolnikowi racyonalną pracę około ziemi.

Skreśliwszy obraz różnorodnéj powierzchni kraju, wypada mi teraz zwrócić uwagę na te utwory, które się pod tąż powierzchnią ukrywają lub z pod niej wynurzają. Zobaczymy niżéj, iż rzeczone utwory są bezporównania różnorodniejsze niż same napływy.

Im więcéj rozszerza się zakres badań geologicznych, tém bardziéj utrwala się przekonanie, że powstawanie pokładów ziemi, od chwili kiedy się one tworzyć zaczęły, odbywało się i odbywa bezustannie, i że życie organiczne, od czasu pojawienia się go na kuli ziemskiéj, nie doznało również żadnéj przerwy. Następnie zauważano, iż w warstwach jednocześnie utworzonych, znajdują się szczątki jednakowych jestestw organicznych. Prawda ta jest prawie bezwzględną dla warstw starszych, chociaż za taką ona uważaną być nie może dla warstw nowszych, powstałych dopiéro wówczas, kiedy już różnice klimatyczne były coraz widoczniejsze. Niezależnie jednak od tego, szczątki jestestw organicznych stały się dla geologów podstawą, na któréj przeważnie opierają swoje wywody o względnym wieku warstw w różnych krajach. Ponieważ każdą rzecz, jaką

człowiek umié odróżniać, potrzebuje i nazwać, więc ztąd powstały rozmaite nazwiska pokładów i okresów w których się one tworzyły. Pokłady, zawierające skamieniałe charakterystyczne szczątki organiczne, otrzymały nazwę *formacyj geologicznych*. Nazwiska tych formacyj mają rozmaite pochodzenie: najczęściéj są wzięte od miejscowości, w któréj najprzód jakaś formacya została zbadaną, np. permska; czasami od charakteryzujących ją skał, np. węglowa, krédowa; czasami od zagrzebanych w niéj szczątków organicznych, np. formacya wapienia muszlowego. Powstała ztąd nomenklatura jest zrozumiałą tylko dla specyalistów, a nic nie mówiąca dla tych, którzy nie zapoznali się bliżéj z formacyami geologicznemi. Nie mam zamiaru wnikać w szczegóły téj nomenklatury, ale trzymając się ściśle założonego przedmiotu przedstawię teraz, jakie mianowicie z tych formacyj w kraju tutejszym występują.

Wszystkie doliny, pagórki i większe wyniesienia w Królestwie Polskiém składają się z utworów mineralnych, osadzonych przez wody; wyjątek stanowi tylko jedna miejscowość, znajdująca się w powiecie Będzińskim na wschód od Gołonoga, tuż przy saméj drodze żelaznéj Warszawsko-Wiedeńskiéj, gdzie na piaskach leżą porozrzucane większe i mniejsze ostre odłamki skały ogniowéj, tak zwanego porfiru felzytowego, widocznie wynurzające się z pod ziemi. Całą zatém przestrzeń kraju zalegają tylko formacye osadowe. Badania Puscha, następnie Zejsznera i innych uczonych pokazały, iż formacye te poczynając od najstarszych są następujące: syluryczna, dewońska, węglowa i permska; tryjasowa, jurajska i krédowa; oligoceniczna i mioceniczna. Z liczby obecnie odróżnianych brakuje tylko czterech: laurentyjńskiéj, huronskiéj, eocenicznéj i pliocenicznéj. Widzimy więc, iż budowa geologiczna Królestwa posiada charakter bardzo różnorodny, skoro do składu jego gruntu weszły utwory mineralne, przedstawiające prawie wszystkie okresy rozwoju ziemi.

Formacya syluryczna była dostrzeżona po raz piérwszy w roku 1866 przez Wład. Zaborskiego w okolicach między Opatowem a Sandomierzem. Odkrycie to dało Zejsznerowi powód do bliższego poznania w roku następnym rzeczonych okolic, gdzie w Kleczanowie, wsi prawie o 2 mile na północo-zachód od Sandomierza położonéj natrafił na obnażenia skał sylurycznych. Drugim punktem, w którym ukazują się również obnażenia formacyi sylurycznéj, dostrzeżone w tymże samym roku przez Zejsznera, jest mała wioska Zbrza, położona w powiecie Jędrzejowskim. W obu tych miejscowościach obnażenia są bardzo nieznaczne i niewielkie, czyli pojawiają się tylko ślady formacyi sylurycznéj.

Formacya dewońska, złożona z wapieni, kwarcytów i piaskowców, rozpościera się w trzech guberniach, w powiatach: Będzińskim, Kieleckim, Opatowskim i Sandomierskim. W gub. Kieleckiéj, były odkryte w téj formacyi pokłady rud żelaznych, ołowianych i miedzianych oraz żyły rud ołowianych, z których przed kilkudziesięciu laty wytapiano żelazo, ołów i miedź; dzisiaj wszakże kopalnie tych kruszców są zupełnie zawalone, ale mam nadzieję, że po zbudowaniu zatwierdzonéj już drogi żelaznéj Dęblińsko-Dąbrowskiéj, exploatacya tych bogactw mineralnych na nowo powstanie.

Formacya węglowa, przedstawiająca tylko piętro górne, występuje w powiecie Będzińskim i Olkuskim. Formacyą tę tworzą piaskowce i gliny łupkowe, pomiędzy któremi spoczywają pokłady węgla kamiennego, odznaczające się niekiedy nadzwyczajną grubością, 54 przeszło stóp wynoszącą.

Opierając się na wynikach badań geologicznych i prac górniczych, można utrzymywać z wielkiém prawdopodobieństwem, że formacya węglowa zajmuje 11 mil kwadratowych, gdzie po części ukazuje się na powierzchni, po części zaś jest pokryta przez utwory późniejsze. Zapas w niéj znajdującego się węgla jest ogromny. Dla pokazania jego wielkości, przytoczę tu obliczenie p. Winc. Kosińskiego, inżyniera górniczego, podane przez niego w roku 1874. Dowiedzionym jest już faktem, że na całéj powyżéj oznaczonéj przestrzeni znajdują się pokłady węgla; ogólna ich grubość, trzymając się najumiarkowańszych przypuszczeń, w południowéj połowie wynosi przeszło 7 sążni, w północnéj około 2, średnio więc około 4½ sążni. Ponieważ 11 mil kwadr. równa się 134.750,000 sążni kwad., zatém obiętość masy węgla wynosi 606.375.000 sążni sześciennych; sążeń zaś sześcienny wydać może 100 korcy węgla, więc zapas węgla w korcach wynosi 60.637.500.000. Przyjąwszy całkowitą produkcyą węgla w kraju w roku 1873 na 3 miliony korcy, wypada, że wspomniany zapas mógłby wystarczyć na 20.000 lat. Od tego wszakże czasu ogólna produkcya węgla w kraju znakomicie się zwiększyła: w roku 1880 wynosiła ona 77.395.000 pudów („Ekonomista“, r. 1881, N. 28 i 29 (1)) czyli 12.899.166 korcy, uważając 6 pudów za korzec. Należy przypuszczać, że w roku bieżącym produkcya węgla jak lat poprzednich wzrośnie także o 1.666.666 korcy czyli o 10 milionów pudów, że następnie po otworzeniu drogi żelaznéj Dęblińsko-Dąbrowskiéj niewątpliwie się

(1) „Produkcya węgla kamiennego w Królestwie Polskiém w roku 1880.“ W artykule tym znajdują się bardzo ważne i ciekawe wiadomości o dzisiejszém u nas kopalnictwie węglowém.

podwoi, a tym sposobem w stosunkowo niedługim czasie dojdzie do 20 milionów korcy czyli do 120 milionów pudów rocznie. Lecz i ta ogromna cyfra nie powinna sprowadzać obaw prędkiego wyczerpania tak wybornego materyału opałowego, bo zapas jego i w tym ostatnim razie jeszcze na 3 000 lat będzie mógł nam wystarczyć.

Niezależnie od węgla, w formacyi téj, pod Będzinem i w okolicy Dąbrowy, spoczywają jeszcze rudy żelazne, tak zwane sferosyderyty gliniaste, w postaci bulw i nerek.

Formacya permska znajduje się w powiatach: Kieleckim, Będzińskim i Olkuskim. W powiecie Kieleckim osady permskie (wapienie), należące do piętra górnego, ukazują się przy wsi Kajetanowie, o 10 blisko wiorst na północ od Kielc, odnoszące się zaś do piętra dolnego (okruchowce wapienne) występują pod Chęcinami; z tych ostatnich, tj. z okruchowca wapiennego (skały zygmuntowskiéj) jest wyrobioną kolumna Zygmunta III w Warszawie.

W powiecie Będzińskim i Olkuskim, pokłady permskie (zlepy i martwice porfirowe) należą do piętra dolnego i tworzą wązki pas, ciągnący się od południowego wschodu na północo-zachód. W formacyi téj nie odkryto dotąd żadnych pożytecznych ciał kopalnych.

Formacya tryjasowa występuje w południowéj i południowo-zachodniéj stronie Królestwa, a mianowicie: w powiecie Opatowskim, Końskim (a właściwie Koneckim), Kieleckim, Stopnickim, Olkuskim i Będzińskim.

Piętro dolne, złożone z czerwonego piaskowca (1), rozpościera się głównie w południowéj części kraju: poczynając od Opatowa idzie na północo-zachód, następnie od północy i zachodu otacza pokłady dewońskie, a nadto ukazuje się jeszcze pod Chęcinami, w okolicach wsi Zbrzy, Pierzchnicy i innych. Piaskowiec ten daje wyborny materyał budowlany, którego oddawna używano do wznoszenia okolicznych kościołów; łamano go także dla budowy filarów przy moście warszawskim, i w tym celu urządzono łomy około Wąchocka i Suchedniowa. W południowo-zachodniéj stronie, piętro dolne, złożone z piasków, kruchych piaskowców i czerwonych iłów, ciągnie się wązkim pasem na przestrzeni pomiędzy Olkuszem a Siewierzem i spoczywa na osadach formacyi węglowéj.

Piętro środkowe formacyi tryjasowéj (wapień muszlowy) występuje w południowo-zachodniéj części kraju, mianowicie na wielu miejscach w powiecie Olkuskim i Będzińskim; w południowéj zaś

(1) Piaskowlec pstry, formacya północnego czerwonego piaskowca, Pusch.

stronie, w powiecie Kieleckim i Stopnickim, środkowe piętro nie zostało dokładnie zbadane, chociaż nie ulega wątpliwości, że składa się ono z tych samych ogniw, co olkuski i będziński wapień muszlowy.

Piętro górne, złożone z piaskowca białego, (1) rozpościera się głównie w południowéj części kraju, mianowicie: w powiecie Opoczyńskim, Końskim, Iłżeckim i Opatowskim, jak to pierwszy okazał p. Kosiński, lecz znajduje się ono także i w południowo-zachodniéj stronie Królestwa, czego znowu pierwszy dowiódł Roemer.

Formacya tryjasowa jest najgłówniejszym źródłem, zasilającém krajowy przemysł górniczy. W jéj bowiem środkowém piętrze, które zalega część południowo-zachodnią kraju, znajdują się obfite zapasy srebrodajnych rud ołowianych, rud cynkowych i żelaznych; rudy ołowiane (2) występują w gniazdach i żyłach nieznacznéj grubości, cynkowe (3) przebiegają żyłkami i przechodzą w jednolitą warstwę, żelazne (4) zaś tworzą nieregularne pokłady i gniazda. W miarę jak żądanie cynku wzrasta a kopalnie jego zagraniczne się wyczerpują, nasze kopalnie galmanu nabierają coraz większego znaczenia. Rząd też mając na uwadze tę okoliczność wyznaczył odpowiedni fundusz na osuszenie dawnych kopalń olkuskich, podług planu sporządzonego przez p. Kosińskiego, i temuż w roku zeszłym wykonanie téj pracy polecił. Kopalnie olkuskie rozpościerają się na przestrzeni 6 wiorst kwadratowych. Osuszenie ich ma być dokonane w ciągu lat trzech, przez zbudowanie sztolni, któréj długość wynosić będzie od 2—3 wiorst; sztolnia ta obniży teraźniejszy poziom wody w kopalniach o 7 sążni. Wkrótce tedy na dzisiejszych polach kopalnianych pod Olkuszem, nad któremi teraz panuje grobowa cisza, rozlegać się znowu będzie stuk kilofów, głos ludzki, słowem, zbudzi się tam dawne życie, a z niém—przemysł i nowe wzbogacenie kraju. Lecz przytém życzyć jeszcze należy, ażeby wznowione kopalnie olkuskie pozostały w ręku krajowców, a jeżeliby nikt z krajowych przedsiębiorców nie podjął się exploatacyi, rząd powinienby zatrzymać je we własnéj administracyi, nie wydając ich w ręce cudzoziemców. W piętrze górném téj formacyi, mianowicie pomiędzy Siewierzem i Kromołowem, spoczywają pokłady tak zwanego ilastego węgla

---

(1) Kajper; formacya północnego białego piaskowca, Pusch.

(2) Srebrzysty błyszcz ołowiany, galena.

(3) Galman.

(4) Żelaziak brunatny.

brunatnego (1) i wyborne rudy żelazne (2), które pojawiają się w gniazdach, albo w postaci buł ułożonych w cienkie warstwy. Węgiel wspomniany nie może wprawdzie iść w porównanie z węglem kamiennym, tak pod względem jego wartości opałowéj, jako téż i wytrzymałości podczas przewozu; dla miejscowego jednak użytku stanowi on materyał, który współubieganie się z węglem kamiennym może wytrzymywać. Za dowód tego służyć mogą dawne fabryki sukiennicze Moesa, które były opalane węglem brunatnym, około Poręby Mrzygłodzkiéj wydobywanym; nadto może on być także używanym do prowadzenia pieców wapiennych, wielkich cegielni, przędzalni, fabryk wyrobów glinianych i t. p.

Równie ważna pod względem górniczym jest także formacya tryjasowa, występująca w południowéj części Królestwa. Jakoż, w jéj piętrze górném, np. w okolicach Szydłowca, Końskich, Drzewicy i in., znajdują się liczne łożyska rudy żelaznéj (3), z któréj pochodzi przeszło połowa wytapianego u nas corocznie surowca; nadto w témże samém piętrze, często postrzegać się dają cienkie warstwy ilastego węgla brunatnego, lecz dotychczas nie natrafiono jeszcze na pokład, którego wydobywanie byłoby korzystném. Piętro to, jak wyżéj już wspomniałem, składa się z białego piaskowca. Piaskowiec ten wytrzymuje zmiany atmosferyczne i dlatego najczęściéj napotyka się na powierzchni. Jest on przytém doskonałym materyałem budowlanym; Szydłowiec i Kunów znane są powszechnie z licznych łomów tego kamienia. Znakomita większość pomników na cmentarzach pod Warszawą z niego jest także wyrobioną. Niekiedy rzeczony piaskowiec okazuje się nawet ogniotrwałym i jako taki bywa poszukiwany do zapraw wielkopiecowych.

Formacya jurajska rozpościera się głównie w południowo-zachodniéj stronie kraju, w powiatach: Olkuskim, Będzińskim, Częstochowskim i Wieluńskim; lecz znajduje się także w okolicach Sulejowa, Opoczna i Tomaszowa, na wschód i północo-wschód od Piotrkowa położonych, jak również na drodze od Szydłowca do Orońska, około Iłży i w okolicach Małogoszczy, zkąd idzie wązkim pasem przez Sobków do wsi Korytnicy w powiecie Jędrzejowskim.

Formacya jurajska u nas rozwinęła się tylko w dwóch piętrach, środkowém i górném. Piętro środkowe (jura brunatna), złożone

---

(1) Węgiel kajprowy; brunatny węgiel bagnisty, Moorkohle, Pusch; węgiel blanowicki, Roemer.

(2) Pospolicie zbity, niekiedy włóknisty żelaziak brunatny, a także sferosyderyt gliniasty.

(3) Sferosyderyt gliniasty, ruda ilasta.

przeważnie z glin żelazistych, zalega przestrzeń posiadającą kształt trójkąta, którego podstawą jest linia prosta, poprowadzona od miasteczka górno-szlązkiego Byczyny do Wielunia, a bokami—linie, łączące dwie powyższe miejscowości z Włodowicami w powiecie Będzińskim.

Piętro zaś górne (jura biała), składające się z białych wapieni zbitych, występuje głównie w okolicach na południe od Olkusza położonych, gdzie przedstawia najpiękniejsze kraju miejscowości—dolinę Ojcowa i Pieskową Skałę, a w Podzamczu około Ogrodzieńca tworzy skalistą górę, na 1470 stóp nad poziom morza wyniesioną, w Olsztynie zaś, na południe od Częstochowy—malowniczą skałę. Oprócz tego w białych tych wapieniach znajdują się wspaniałe jaskinie, jak np. znane w Ojcowie i mniéj znana w Olsztynie.

Pod względem górniczym tylko środkowe piętro formacyi jurajskiéj zasługuje na uwagę: w niém bowiem jedném spoczywają bogate rudy żelazne (1), które są wydobywane w różnych miejscach, pomiędzy Ogrodzieńcem a Pankami, Ogrodzieńcem a Żarkami i na lewym brzegu Warty w powiecie Częstochowskim, oraz pomiędzy Częstochową i Wieluniem. Rudy te wszakże zawierają w sobie fosfór, co ich wartość znakomicie zmniejsza. Tu winienem jeszcze nadmienić, że grunta powstałe z pokładów formacyi jurajskiéj są w ogóle nie wielkiéj wartości: utworzone z brunatnéj jury są żelaziste i w skutek tego mało urodzajne, z białéj zaś jury—suche i mało do uprawy przydatne.

Formacya kredowa, zajmująca największą przestrzeń kraju, występuje w gubernii Piotrkowskiéj, Kieleckiéj, Radomskiéj i Lubelskiéj, a mianowicie: w stronie północno-wschodniéj powiatu Będzińskiego i południowo-wschodniéj Częstochowskiego i Noworadomskiego; następnie w powiecie Olkuskim i Miechowskim; Pińczowskim i Stopnickim, po obu brzegach Nidy; Jędrzejowskim i Włoszczowskim; Opatowskim, Iłżeckim, Kozienickim, Janowskim i Nowoaleksandryjskim, po obu brzegach Wisły; nakoniec w powiecie Lubelskim, Krasnostawskim, Chełmskim, Zamojskim i Hrubieszowskim. Tu wszakże wypada nadmienić, iż formacya kredowa, jak podaje p. Kosiński, znajdować się jeszcze może i w zachodniéj części dawnéj gubernii Warszawskiéj, gdzie na wielu miejscach, np. w Paprotni pod Koninem, spoczywają luźne głazy wapienne, zawierające w sobie skamieniałości rzeczonéj formacyi.

---

(1) Sferosyderyt gliniasty w glinach szarych plastycznych lub ciemnych piaszczystych, a niekiedy także żelaziak brunatny w piaskach żelazistych.

Według Roemera, osady kredowe, spoczywające od strony wschodniéj formacyi jurajskiéj w południowéj części Królestwa, należą do utworów najmłodszych, t. j. do piętra górnego (senońskiego), i przedstawiają dwie grupy, z których spodnia składa się najczęściéj z piasków i piaskowców, wierzchnia zaś—przeważnie z opoki czyli białych marglów kredowych (wapiennych), a oprócz tego niekiedy z wapieni i piszącéj kredy. Cała zaś formacya kredowa w Królestwie jest częścią wielkiéj, baltyckiéj kotliny kredowéj, któréj granica zachodnia idzie wzdłuż krańca wschodniego utworów jurajskich, pomiędzy Krakowem i Wieluniem spoczywających. Nadto tenże uczony utrzymuje: że kotlina kredowa baltycka jest zupełnie oddzieloną od takiéjże kotliny w Saksonii, Czechach i na Szlązku, i że nasze osady kredowe, tak ze skał jako i fauny, daleko więcéj się zbliżają do utworów senońskich, występujących w Rosyi, na wyspie Rugii i na wyspach duńskich, jak w północno-zachodnich lub środkowych Niemczech (1).

W tutejszéj formacyi kredowéj nie znaleziono dotąd żadnych rud i węgli kopalnych, a z tego powodu formacya ta w obecnéj chwili zasługuje tylko na uwagę pod względem rolniczym i poniekąd technicznym. Jakoż białe margle kredowe, które rozpościérają się głównie w okolicach Jędrzejowa i Miechowa, tworzą najurodzajniejsze grunta w Królestwie Polskiém; kreda zaś pisząca, która się znajduje we wschodniéj części gubernii Lubelskiéj, mianowicie w okolicy Chełma, jest używaną do różnych celów technicznych. Od lat kilku, została nawet założoną przez krajowców pod stacyą drogi żelaznéj Chełmem osobna fabryka, produkująca tak zwaną spławianą kredę; odpadki zaś od téjże kredy dają po wypaleniu wyborne wapno.

Formacya oligoceniczna (1) występuje w północnéj i zachodniéj części Królestwa. Formacya ta składa się z gliny plastycznéj lub piaszczystéj z pniami bitumicznego drzewa i bursztynem, z iłów gliniastych, piasków i piaskowców z warstwami węgla brunatnego.

Wymienione osady oligoceniczne, tworzące bardzo prawdopodobnie wschodni skraj formacyi węgla brunatnego kotliny północnoniemieckiéj, pojawiają się w różnych miejscach. Glina plastyczna z licznemi kryształami gipsu znajduje się nad Wisłą, mianowicie przy Włocławku i na drodze od Kowala do Dobrzynia. Iły gliniaste, z nieznacznemi warstwami węgla brunatnego, zalegają prawy brzeg

---

(1) Do zupełnie odmiennych jak Roemer wniosków doszedł prof. Jurkiewicz; wnioski te zamieścił w swojéj rozprawie „Miełowaja formacija w Lublinskoj gubiernii.“ Warsz. 1872, str. 71—75.

(2) Formacya gliny plastycznéj i węgli brunatnych, Pusch.

Wisły od Zakroczymia do Płocka i Włocławka, głównie zaś pod Dobrzyniem. Iły gliniaste, piaski i piaskowce, zawiérające w pośród siebie grube warstwy węgla brunatnego, ukazują się nad Wartą, pod Koninem, Brzeznem, Morzysławiem aż do Koła; utwory te wszakże biorą swój początek aż w Marchii Brandeburskiéj, zkąd ciągną się ku Warcie i nad tąż rzeką, na wielu miejscach w W. Ks. Poznańskiém, znacznie się już rozpościerają, i gdzie z niemi także liczne i grube pokłady węgla brunatnego występują. Nakoniec glina piaszczysta z pniami bitumicznego drzewa i bursztynem tworzy pokłady spoczywające od Mławy do Augustowa, a szczególniéj w lasach pod Łomżą, które daléj ku północy przez całe wschodnie i zachodnie Prusy rozciągają się i w Sambii (zachodniéj części regencyi królewieckiéj) najbogatszy skład bursztynu przedstawiają. Widzimy przeto, iż nasza formacya oligoceniczna, podobnie jak piętro dolne formacyi węgla brunatnego w północno-wschodnich Niemczech, zawiera węgiel brunatny i bursztyn.

Formacya mioceniczna znajduje się głównie w południowéj stronie Królestwa, w powiatach: Pińczowskim, Stopnickim, Sandomierskim, Chełmskim, Janowskim, Zamojskim i Biłgorajskim. Według Puscha, tworzy ona dwa ogniwa: środkowe (formacya wapienia gruboziarnistego) i górne (spodnia grupa formacyi piaskowca muszlowego).

Badania wszakże dokonane przezemnie w r. 1878 w gubernii Lubelskiéj, a w roku zeszłym przez p. p. Kontkiewicza i Michalskiego w gub. Kieleckiéj pokazały, iż nasze utwory mioceniczne są zupełnie podobne do takich że osadów w Galicyi i w kotlinie trzeciorzędowéj pod Wiedniem. Tworzą one dwa piętra: młodsze—sarmackie i starsze—górne śródziemne. W gub. Lubelskiéj oba powyższe piętra zauważyłem dotychczas tylko na wapieniach. W gub. Kieleckiéj, piętro sarmackie, jak podaje p. Kontkiewicz, składa się ze szczególnego rodzaju piaskowców i zlepów, zaś górne śródziemne, występujące tam przeważnie, z glin, margli, wapieni i gipsów. Gipsy, które rozpościérają się około Szkalbmierza i Proszowic, pomiędzy Pińczowem, Buskiem, Wiślicą i Nowém miastem Korczynem w dolinie Nidy, a także przy mieście Staszowie, niekiedy tworzą dość znaczne wyniesienia i odznaczają się szczególną budową, wyróżniającą je od pokładów tego minerału w innych krajach. Warstwy gipsu, leżące bezpośrednio na marglu piaszczystym, składają się z olbrzymich, do sążnia długością swoją dochodzących kryształów, na kształt słupów prostopadłych obok siebie ustawionych, i których ściany łupliwości niezwykłym jaśnieją blaskiem, gdy na nie promienie słońca padają.

Do osadów mioceniczych należy również siarka w Czarkowach, jak to piérwszy okazał Zejszner. W pogranicznéj z nami Ga-

licyi, spoczywają jeszcze w téjże samej formacyi (w piętrze dolném śródziemném) powszechnie znane pokłady soli kamiennéj przy Wieliczce i Bochni, jak również pokłady siarki w Swoszowicach pod Krakowem.

W granicach Królestwa Polskiego soli kamiennéj jeszcze dotychczas nie znaleziono, pomimo jéj licznych poszukiwań, prowadzonych w zeszłém i bieżącém stuleciu w dzisiejszéj gub. Kieleckiéj, a w ostatnich czasach i w okolicach Ciechocinka. Poszukiwania w okolicach Ciechocinka, oprócz wykrycia tylko bogatszych solanek, innego skutku nie przyniosły. Lecz znalezienie przed 10 laty potężnych pokładów soli kamiennéj przy Inowrocławiu w W. Ks. Poznańskiém, w odległości około 3 mil od granicy Królestwa i około 6 od Ciechocinka, zwróciło uwagę rządu, który w skutek tego ustanowił w roku 1872 komisyą do wyznaczenia miejscowości, w jakichby u nas soli kamiennéj poszukiwać należało. Rzeczona komisya zwiedziła téż w okolicy między Ozorkowem i Ciechocinkiem wszystkie miejscowości, gdzie się pokazują źródła słone, jak np. Sliwnik, Wielką Wieś około Parzęczowa, Zgłowiącz i Janiszew około Lubrańca; następnie zaś po obejrzeniu okolicy Inowrocławia i Kruszwicy, zbadała jeszcze miejscowości pomiędzy Radziejowem i Ciechocinkiem, w którychby się także prawdopodobnie sól powinna znajdować. Nie ulega wątpliwości, iż komisya zamieściła w sprawozdaniu swojém wszystkie wiadomości, jakieby rządowi służyć mogły za podstawę do dalszych poszukiwań soli. P. Kosiński, biorący także udział w powyższéj komisyi, utrzymuje, że najgłówniejszą przyczyną nieznalezienia soli kamiennéj, poszukiwanéj w gub. Kieleckiéj tak dawniéj jako téż i późniéj, to jest, pomiędzy rokiem 1818 i 1840, „było niedostateczne zbadanie okolicy pod względem geologicznym, a jeszcze bardziéj nieuwzględnianie okoliczności, przy jakich słone źródła ukazują się na powierzchni. Przy poszukiwaniach ówczesnych nie oznaczono ściśle w jakiéj formacyi geologicznéj soli szukać należy, w skutek tego przebijano pokłady, które przedstawiały mało w ogóle nadziei znalezienia soli, przyczém dochodzono do głębokości 1.400 stóp, nie zwracając uwagi na to, że słone źródła są zimne, i że w skutek tego prawdopodobnie wytryskują z głębokości niewielkiéj, któréj temperatura odpowiada temperaturze źródeł. Poszukiwania prowadzone przez Zejsznera ograniczały się na formacyi trzeciorzędowéj, w któréj bez żadnéj wątpliwości sól powinna się znajdować, i pod tym względem, poszukiwania jego miały niezaprzeczoną wyższość i dlatego mogłyby mieć pomyślny skutek, gdyby były prowadzone daléj.“

Sądzę, iż powyższy zarys jest na tyle już wykończonym obrazem, że powziąć można z niego dostateczne wyobrażenie o całéj różnorodności pokładów geologicznych w Królestwie Polskiém. Ażeby obraz ten jednak mógł jeszcze więcéj uwidoczniać przez siebie wyobrażany przedmiot, dopełnię go następującą uwagą. Widzieliśmy, że z wyjątkiem formacyi oligocenicznéj, która występuje w północnéj, północno-zachodniéj i zachodniéj stronie kraju, wszystkie formacye, a jest ich ośm, zalegają cztery tylko południowe gubernie, a zatém stosunkowo niewielką przestrzeń. Z wymienionych nadto 24 powiatów tych gubernij, połowa tylko ma grunt złożony z formacyi jednéj, pozostała zaś połowa — co najmniej z dwóch. Ztąd téż niektóre z ostatnich powiatów przedstawiają zadziwiającą pod tym względem rozmaitość: w powiecie Opatowskim znajdujemy już trzy, w Kieleckim—cztery, w Olkuskim—pięć, a nakoniec w Będzińskim— aż sześć różnych formacyj geologicznych.

Wyżéj przytoczone wiadomości, zdobyte drogą długich i trudzących badań, prowadzonych rozmaitemi czasy bieżącego stulecia przez różnych uczonych, a w czém największą położył zasługę Pusch a po nim Zejszner, nie mogły nie zainteresować rządu i instytucyj naukowych.

Wspomniałem już o wyznaczeniu w roku 1872 przez rząd oddzielnéj komisyi, mającéj zbadać: gdzie w kraju tutejszym soli szukać należy. W roku zeszłym ministeryum dóbr państwa wydelegowało znowu dwóch inżynierów górniczych, p. p. Kontkiewicza i Michalskiego, do prowadzenia pod kierunkiem p. Kosińskiego poszukiwań soli kamiennéj w gub. Kieleckiéj. Dotychczas nic nie wiadomo o znalezieniu tam soli, przypuszczam więc, że takowéj nie znaleziono; ale jest rzeczą niewątpliwą, że wyniki tych badań nie mało wzbogacą fizyografią gub. Kieleckiéj.

Uniwersytet warszawski pojął także swoje wysokie zadanie w tutejszym kraju i, pomimo szczupłych środków materyalnych jakiemi w zeszłym dziesiątku lat rozporządzał, w roku 1873 i 1878 delegował mnie do wykonania badań geologicznych. Do faktów nowych a stanowiących rezultat tych badań należą:

Niektóre po raz pierwszy przeze mnie dostrzeżone rodzaje skamieniałości w utworach dewońskich gór Kieleckich.

Odkrycie kwarcytów dewońskich, odznaczających się niezwykłém bogactwem skamieniałości, we wsi Kleczanowie.

Odkrycie pokładu formacyi krédowéj w powiecie Łódzkim.

Wskazówki dla oznaczenia ściśléj granicy pomiędzy formacyami dewońską i tryjasową w okolicy Opatowa.

Dokładne oznaczenie wieku względnego wapieni pod wsią Zbrzą i kwarcytów na wschodnim krańcu gór Kieleckich.

Udowodnienie mylności twierdzeń p. Hempla i sprostowanie niektórych nie zupełnie ścisłych wskazówek Roemera, dotyczących porfiru i piaskowców w powiecie Będzińskim.

Odkrycie piętra sarmackiego i górnego śródziemnego formacyi miocenicznéj w gubernii Lubelskiéj.

Nakoniec Cesarskie Towarzystwo Mineralogiczne w Petersburgu delegowało mię w roku bieżącym do zbadania utworów trzeciorzędowych w gubernii Lubelskiéj. Mam nadzieję, iż zebrane przeze mnie w tegorocznych badaniach materyały przyczynić się także będą mogły, chociaż w małéj cząstce, do uzupełnienia wiadomości geologicznych o wspomnianéj gubernii.

Wszystkie powyższe fakty, rozszerzające zakres wiedzy o kraju własnym lub wskazujące na jego bogactwa kopalne, powinnyby zwracać szczególną uwagę naszéj zamożnéj inteligencyi, która jednakże w ogóle bardzo mało dotychczas zdaje się o tych faktach wiedzieć, a przynajmniéj pozwala się na téj drodze prześcigać cudzoziemcom. W ich ręce przechodzi w ten sposób kierunek najżywotniejszych interesów ekonomicznych krajowych. Nie mam zamiaru nawoływać współobywateli, ażeby swój obowiązek względem przyszłego rozwoju bogactwa krajowego lepiéj pojmować chcieli i aby do walki z trudnemi okolicznościami raźniéj się brali, — chciałem tylko zaznaczyć samo położenie rzeczy, z którego jak najgorszych dla nas skutków spodziewać się należy. A więc dokąd dążymy?

Dr. Jan Trejdosiewicz.

Przegląd pedagogiczny.

1) Wypisy polskie. Ułożył Adolf Dygasiński. Część niższa. Warszawa. Nakład B. Lesmana. 1881, str. VII+176. — 2) Wypisy z pisarzów polskich dla szkół męzkich i żeńskich. Ułożył Stanisław Gargulski, przełożony zakładu naukowego. Część wstępna na klasę wstępną i pierwszą. Warsz. Nakład autora, 1881, str. IV + 264. — 3) Toż. Część średnia. 1880, str. IV + 312. — 4) Wypisy polskie. Ułożył Antoni Bądzkiewicz. Część średnia. Warsz. 1881, str. 451+VII: — 5) Wypisy, przykłady i wzory form prozy i poezyi polskiéj. Książka do czytania ułożona przez D-ra Władysława Seredyńskiego i Anastazyą hr. Dzieduszycką. Wydanie drugie. Warsz. 1881. Nakład Gebethnera i Wolffa, str. 882 + VIII.

Musiałbym powiedzieć zużyty ogólnik, gdybym chciał określić trudność ułożenia dobrych wypisów, trudność zaświadczoną licznym szeregiem utworów z téj dziedziny dydaktyki naszéj; wolę już zwrócić uwagę na to, że jeżeli w tym oddziale literatury pedagogicznéj nie widzimy wielkiego postępu w stosunku do pierwszych prób, robionych na początku XIX stulecia, to jedną z bardzo ważnych przyczyn tego faktu był i jest brak sumiennéj kontroli nad wychodzącemi częstokroć w coraz nowych wydaniach Wypisami, Wzorami, Książkami do czytania. Jak dawniéj tak i teraz krytyka tego rodzaju dzieł miała charakter powierzchowny. Jedni, patrząc tylko na nazwisko autora, chwalą lub potępiają ułożoną przezeń książkę; inni przejrzawszy zaledwie spis rzeczy i parę kart w książce saméj, wydają mniéj—więcéj stanowcze wyroki; inni wreszcie, niewątpliwie najoględniejsi i przez to najsumienniejsi zostawiają ocenę Wypisów praktyce pedagogicznéj. Ten ostatni sposób „omawiania“ dzieł dydaktycznych ma niewątpliwie bardzo wiele za sobą; istotnie dopiero używając książki, można dokładnie, z doświadczenia, nabyć należytego, gruntownego pojęcia o wartości utworu, można się przekonać, jakie wrażenie robią na dzieciach opowiadania i opisy, bajki i powiastki. Ale czyż doświadczenie ma być robione ze szkodą umysło-

wą dzieci? czyż one mają służyć za owę *anima vilis*, na której-by pedagog potrzebował eksperymentować; czyż nie ma zasad, któreby posłużyły do oceny mniejszéj lub większéj wartości tego lub owego utworu? Niewątpliwie, praktyka może ostatecznie rozstrzygać, ale rzeczą krytyki jest przyjść w pomoc praktyce i dać jéj pewne wskazówki, które przed użyciem książki, przed doświadczeniem, mogą wyświetlić jéj znaczenie z punktu widzenia teoryi pedagogicznéj.

Ogólne zasady odnoszące się do układu Wypisów są znane. Pod względem treści powinny być nauczające i zajmujące. Niewolno podawać dziecku do czytania rzeczy takich, których-by się późniéj oduczać musiało, czy-to w zakresie umiejętności czy moralności; wychowańcowi należy przedstawiać te prawdy naukowe, które obecny stan umiejętności uznaje; należy weń wpajać takie zasady moralne, któreby mu na całe życie wiernym przewodnikiem być mogły ku ogólnemu doskonaleniu. Obok tego konieczną jest rzeczą, ażeby uczeń mógł z zajęciem odczytywać to, co w Wypisach znajduje, ażeby pokochał tę książkę, która parę lat jest jego towarzyszką, ażeby ją nawet jaką miłą pamiątkę lat młodych nazawsze jeżeli nie w rzeczywistości to we wdzięcznéj pamięci zachował; dlatego téż artykuły w Wypisach zawarte powinny przemawiać do jego uczuć a pobudzać czynność wyobraźni.

Co do stylu, musi on czynić zadość dwom warunkom, musi być zrozumiałym stosownie do stopnia wykształcenia wychowańców, dla których książka jest przeznaczona, i winien być wzorowym stosownie do rodzaju prozy czy poezyi, do którego został użytym. Zrozumiałość jest przymiotem koniecznym, jeżeli książka ma przynieść uczniowi istotny umysłowy pożytek; wzorowość jest równie niezbędna, jeżeli czytanie ma się przyczynić do wytworzenia w wychowańcu możności wyrażania swych myśli jasno i poprawnie i jeżeli ma w nim wyrobić pewien stopień smaku estetycznego w ocenie utworów literackich. Z tego drugiego względu w stylu wypisów nie tylko dbać trzeba o gramatyczną i stylistyczną poprawność, ale także i o piękność, bo choć niekażdy ich czytelnik potrafi kiedyś pisać pięknie, to każdy winienby piękno czuć i choć trochę rozumiéć.

Co do zewnętrznéj wreszcie strony wydania, to, ze względów dydaktycznych, wypisy powinny być wzorem konsekwencyi w podziałach na rodzaje prozy i poezyi, w ortografii i przestankowaniu; a ze względów higienicznych, muszą się odznaczać drukiem wyraźnym i czystym, papierem dobrym, ażeby się czcionki nie przebijały i wzroku nie psuły.

Takie są w najogólniejszém streszczeniu wymagania stawiane Wypisom czy Wzorom; odnoszą się one i stosują do książek w jakim-

kolwiek języku pisanych; co się zaś tyczy wypisów polskich, to każdy zapewne zgodzi się na to, iż wzięte one być winny z dzieł autorów polskich. Można tu zrobić zarzut, że trudno dobrać artykułów w literaturze ojczystéj z niektórych działów wiedzy, mało uprawianych przez nas oryginalnie, że zatém trzeba się posługiwać i pismami autorów obcych, byle tylko podać je w dobrém tłómaczeniu. Zgodzić się można na tę argumentacyą, ale pod warunkiem, że z prawa tego użytkować trzeba jak najmniéj, starając się dokładnie i sumiennie poznać zasoby literatury własnéj. A przedewszystkiém należałoby wyciągnąć całą treść pedagogiczną z pism pierwszorzędnych naszych prozaików i poetów w tym celu, ażeby wielbieni przez naród i ukochani mistrzowie byli zarazem mistrzami naszemi od najpierwszéj młodości. Wprawdzie wielcy pisarze nasi, tworząc dla dojrzałéj części narodu, nie mieli i nie mogli miéć na uwadze uczącéj się młodzieży; mimo to jednak w dziełach ich znaleść można dosyć ustępów przydatnych dla celów pedagogicznych, jeżeli tylko pilnie w tym wyłącznym zamiarze rozczytywać się w nich zaczniemy, nie powodując się dotychczasową rutyną, która wolała nieraz rzeczy lichych pisarków dla lada-jakiego morału aniżeli utwory największych geniuszów, gdy w utworach tych jakiś wyraz lub też wyrażenie nie przypadało do smaku. Mało u nas w tym celu zrobiono, mało przetrząsano dzieła geniuszów i talentów pod względem pedagogicznym i dlatego tak wiele jeszcze śmieci w Wypisach: Zajączkowscy i Paszkowscy mają pierwszeństwo nad Mickiewiczem i Słowackim a bezimienni pseudo-styliści przed Korzeniowskim i Kraszewskim. Wartoby już przejąć się tém przekonaniem, że poczucie piękna kształcić należy od najwcześniejszéj młodości.

I.

Stopniowanie w układzie Wypisów wynika z żądania, żeby były zrozumiałe. Stąd powstaje zwykły podział na Wypisy niższe, średnie i wyższe.

Z roku bieżącego mamy dwie książki należące do kategoryi „niższych“ czy „wstępnych;“ jednę ułożył p. Gargulski, drugą p. Dygasiński.

Wypisy p. G—go pod względem układu, a nawet samych artykułów najwięcéj mają podobieństwa do powszechnie przed laty używanych wypisów Łyszkowskiego; rozpoczynają się one od opowiadań z pisma św. a kończą się na opisach z „historyi naturalnéj.“ W wyborze ustępów tak pod względem treści jak i stylu widać

nie niedbalstwo, ale wielką nieuwagę, brak dokładnego zastanowienia się nad tém, czy wszystko, co się drukuje w książce, będzie odpowiedniém dla dziatwy, która niezbyt dawno wyuczyła się czytać. I tak: umieszczenie w części „wstępnéj“ wyjątków z „Historyi narodu“ Naruszewicza („Wincenty z Szamotuł,“ „Kazimierz W.“) uważam ze względów dydaktycznych za rzecz całkiem niewłaściwą; styl ciężki, częste przekładnie, budowa zdań trochę zawiła, tu i owdzie napotykane archaizmy (*nastąpić* w znaczeniu napaść, uderzyć, str. 135, co nie zostało objaśnione i może upoważnić ucznia do popełniania rusycyzmów), tok wogóle dla dzieci nieobsłuchanych z dawną polszczyzną dziwny—powinny były stanowić dostateczną pobudkę do pominięcia tych ustępów w części wstępnéj; zapoznanie się z prozą Naruszewicza pozostawić wypadało na lata późniejsze, w części średniéj lub nawet wyższéj. Też same względy kazałyby dać pokój wielu anegdotom (1) wypisanym ze starych książek a dość obficie w wypisach nagromadzonym (jest ich 47). Niektóre zaś z anegdot tych obok nieudolności stylowéj rozpowszechniają wiadomości niedorzeczne jak np. wyprowadzanie nazwy Trzebnica od słów: *trzeba nic* (str. 69).

Ale usterki takie są drobne w porównaniu z innemi. Chcąc przedstawić staropolskie obyczaje wybrał p. G. najniefortunniéj dwa ustępy, jeden z Kaczkowskiego, drugi z Chodźki, a oba wystawiają wcale nie budującą butę i bynajmniéj nie umoralniające pijatyki, w których słychać bezmyślne wołania: „Staroświecka poczciwość! Staropolska cnota! Schlachecka krew!“ Potrzeba być bardzo nieoględnym, ażeby takie obrazy przedstawiać młodzieży dla obudzenia w niéj poszanowania i zamiłowania przeszłości; jest-to postępowanie przeciwne zasadom wychowawczym zarówno bezwzględnie jak niemniéj ze względu na ducha, jakim przejęte są niektóre podręczniki szkolne w języku rosyjskim pisane.

Nie można téż w żaden sposób pochwalić pomieszczenia klechdy „o kmiotku Biedoklepie,“ w któréj jako ideał moralizatora przedstawiony jest kij-samobij, poprawiający skutecznie wszystkich, a między innemi i „języczliwą“ żonę Biedoklepa, przemawiający do niéj nie tylko nader dobitnemi razami ale i nie mniéj dosadnemi słowy: „Nie bij się, złośnico! Nie kłóć się, kłótnico! I nie zrzędź, świegotko! A z wieścią czy z plotką do kumek nie biegaj! Mężowi ulegaj! ulegaj! Ulegaj!“ Stosunki rodzinne nie mogą być wobec dzieci w ten

(1) P. Gargulski pisze: anekdoty zapewne ze względu na etymologią, ale jeżeli piszemy ichu zam. dchu, nie widzę dostatecznéj przyczyny zachowywania większéj względności etymologicznéj w wyrazach obcych dawno przyswojonych.

jaskrawy sposób malowone, a umoralnienie nie powinno być wystawiane jako zależne od kija. Jeżeli niektórzy wychowawcy uważają „Panią Twardowską“ Mickiewicza za nieodpowiednią karm dla wieku dziecinnego z powodu roli nadanéj żonie czarodzieja, to cóż powiedzieć o téj tu klechdzie, w któréj jeden brzydki obraz zespolony jest z niemniéj brzydkim środkiem poprawy!

Są wreszcie artykuły, podające uczniom rzeczy niezgodne z prawdą, których zatém poźniéj oduczać się będą musieli. Artykuły te osłonięte są wprawdzie poważném w pedagogii naszéj nazwiskiem Klementyny z Tańskich Hofmanowéj, ale zważyć potrzeba, że pisane one były albo przed laty 56 (jak Listy Elżbiety Rzeczyckiéj), albo przed 40 (jak Jan Kochanowski w Czarnolesie), i że co wówczas mogło nie razić, jakkolwiek było błędném, to dziś rozpowszechniane już być nie powinno. Błędy-to napozór nie wielkie, dotyczą bowiem chronologii; w jednym ustępie przedstawiony jest Konarski w r. 1754 jako autor dzieła o Skutecznym rad sposobie, chociaż ono dopiero od r. 1760 wychodzić zaczęło pojedyńczemi tomami; w drugim opisana jest uczta poetów u Kochanowskiego w czasie, kiedy niektórzy tam biesiadujący już nie żyli (Rej, Bielski). Kiedy później wychowaniec uczyć się będzie historyi literatury, przypomni sobie te ustępy i zwątpi o wiarogodności zarówno Wypisów, jak Tańskiéj i nauczycieli, którzy mu ustępy te do czytania podawali. Jeżeli zaś nauczyciele zechcą prostować błędy w artykułach tych zawarte, to zachwieją powagę autorki a obudzą nieufność względem tego, kto Wypisy układał. Tańska zostawiła poddostatkiem rzeczy dobrych, ażeby w nich wybór dobry zrobić było można; a jeżeli szło o poznanie poetów XVI w. lub działalności Konarskiego, to można było innego użyć środka.

Są znowuż ustępy pod względem treści dobre, bo nauczające i zajmujące, ale pod względem stylu ułomne. P. G. nie chciał czy nie umiał poprawić stylu. Nie może mu służyć wymówka, że pragnął poszanować sposób pisania autorów, z których czerpał, bo autor wdzięczny byłby za poprawienie istotnych błędów, témbardziéj, że to się oczywiście odnosi do pisarzów, co jako styliści nie słyną. Tak np. str. 67: gramatycznie złém jest wyrażenie „Trzech wędrowników... przyby**li** do domu,“ podobnież na str. 81: „Największa część tych wysp **jest** gołemi, nieurodzajnemi skałami, str. 82 „w odległości **ośm** do dziesięciu godzin,“ str. 84 „przewłóczą“ jako czas teraźniejszy. Stylistycznie poprawne nie są frazesy, str. 61: „przypatrując się raz pałacowi pewnego senatora, *który* (a więc senator) był piękny i obszerny;“ str. 80: „Częstokroć ojciec rodziny **dla** zdobycia pożywienia **dla** drobnych dziatek“ i t. d., str. 89: „przywrócili do **życia** za **uży**-

ciem środków stosownych," str. 82: „ludzie ci *zdolni są*... na trzaskającym mrozie czatować," str. 83; „był on zbudowany z drzewa, *jak to ma miejsce* w całéj Szwecyi północnéj;" str. 80: „głowa *mnie* paliła." Trudno téż usprawiedliwić takie np. rozpoczęcie bajki: „Nie wiem, gdziem ja to czytał, ale to do rzeczy nie należy. Pewien młynarz miał osła" i t. d. (str. 47), albo téż takie: „Dziad lirnik na tle mogiły stepowéj—oto prawdziwa ilustracya *tamtych* okolic" (str. 98). Czyżby p. G. życzył sobie, żeby uczniowie ćwiczenia swoje w ten sposób rozpoczynali?

Ortografia i przestankowanie są w wysokim stopniu zaniedbane. Pisownia jest chwiejna; obok zwykłych dziś zakończeń przymiotnikowych znajdujemy: „na swoim stanowisku" (str. 86), „pracowitym wieśniactwem" (str. 137) obok myśliwstwo spotykamy myślistwo. Rażące błędy, których nauczyciele nie zwykli przebaczać swym wychowańcom, znajdują się obficie: nużać się, jerzyny, Nieświerz, characz, Sapiecha, szałaszy (1-szy przyp. l. mn. str. 108), kapłun (dwukrotnie na str. 110), uprzykszona (str. 127), Sebestyan (139). Prócz tego, opuszczenia czcionek i wyrazów, niekonsekwencya w używaniu dużych liter, przestankowanie zupełnie dowolne, nie kierowane żadnemi stałemi zasadami, wywołują przykre uczucie zaniedbania, które jeżeli w kim to w pedagogu na surową naganę zasługuje.

O wiele korzystniéj przedstawiają się wypisy p. Dygasińskiego. Układ ich nie ma prawie nic spólnego z dawniejszą rutyną, a jakkolwiek możnaby się posprzeczać z autorem co do zasadności postawienia na czele książki—opisów z historyi naturalnéj, które są wprawdzie dobre, bo jasne, zrozumiałe i prawdziwe, ale mało mają pierwiastku dającego karm wyobraźni; ponieważ jednak każdemu nauczycielowi wolno wybierać ustępy do czytania według swych poglądów, nic to więc nie stanowi, że odłożywszy to, co jest wprzód umieszczone na czas późniejszy, weźmie naprzód powieści np. Rozmaitość artykułów, pomimo szczupłéj stosunkowo objętości książki, jest znaczna; są takie, co przemawiają do rozumu i takie, co działają na serce i wyobraźnię, z powodu tych drugich należy wyróżnić, obok rzeczy znanych z innych wypisów, nowo wprowadzone: „Polowanie na tygrysy," „Szalony słoń" a mianowicie „Wyspa pływająca." Uznanie téż należy się pomysłowi wprowadzenia pieśni ludowych do wypisów, ażeby mowę literacką odżywić świeżym, pełnym życia pierwiastkiem. Z pomiędzy opisów i opowiadań naukowych zasługują na zaznaczenie ustępy wzięte z zoologii Maksymiliana Nowickiego tudzież obrazki historyczne, przedstawiające cnoty obywatelskie „Arystydes," „Mucyusz Scewola," „Wierność i stałość Regulusa." Trudno sobie tylko wytłómaczyć pomieszczenie artykuliku „Mikołaj Rej," bo ani treścią ani formą nie zaleca się wcale. Są w nim błędy

faktyczne: data urodzenia 1515, data śmierci 1568: („na rok przed śmiercią wydał *Zwierciadło* 1567,) Żórawno nad *Dnieprem* (!). Styl jest lichy; a niepoprawność napotyka się nierzadko: „*Pod* panowaniem Zygmunta I wyszła pierwsza *po polsku drukowana* książka“ (str. 123) „wszystkie pisma Reja *oddychają* szlachetną myślą“ (str. 125). Trudno téż domyśléć się, po co wydrukowana została anegdotka „za co biją leniwca,“ (str. 88) w któréj batożenie przedstawione jest jako środek wychowawczy, do pracy pobudzający. Nazywanie świętego Wojciecha autorem „Boga-Rodzicy“ (str. 104) niezgodne jest z wynikami badań naukowych; powinno to było być usunięte z artykułu, albo należycie zmodyfikowane. Przyjęcie do Wypisów wiersza napisanego przez Mieczysława Romanowskiego p. n. „Śmierć Żyżki“ nie da się usprawiedliwić. Pod względem dykcyi poetycznej jest-to rzecz słaba („ *We* setne aż pokolenia,“ str. 117), pod względem moralnym—niewłaściwa dla dzieci, głosi bowiem nienawiść śmiertelną względem Niemców, co starsi zrozumiéć mogą jako rzecz bardzo naturalną w ustach wodza husyckiego, ale dzieciom trudno jest stanąć na tém przedmiotowém stanowisku; słowa nienawiści zrozumiane więc być mogą jako nakaz moralny.

Ze względu na styl książki wogóle, można go uznać za dobry, wyraziłbym tylko zdziwienie, że artykuł o Konarskim rozpoczyna się od tych słów: „Za panowania Augusta III mędrsi obywatele przewidywali, że **ten** nieład musi przyprowadzić ojczyznę do zupełnego upadku“ (str. 138). Gramatycznie rzecz rozpatrując, trzeba wytknąć niektóre usterki; drugi przyp. l. m. *wybrzeż* mniéj jest dobry niż „wybrzeży,“ *szczątka* (str. 69: „nie pozostało szczątki“) w rodz. żeń. nie używa się, tylko w rodz. męskim: szczątek. Indyanie jest-to nazwa przyjęta dla dzikich mieszkańców Ameryki; mieszkańcy zaś Indyj nazywają się Indusami, o czém zapomniano w całym artykule p. n. „Szalony Słoń.“ Wyraz portugał (str. 143) oznacza monetę a nie naród.

Ortografia i przecinkowanie dość staranne, chociaż wzorowemi nazwać ich nie można; w użyciu **j** zachodzą sprzeczności, w pisaniu wyrazów razem lub oddzielnie—niejednostajności, pisanie wielkich liter zupełnie dowolne: europejczyk przez *e* a tuż obok **A**pasz przez **A**, toż **K**lasztor obok kościół i t. p. Błędów drukarskich jest kilka ciężkich, str. 34: *nedlieij* zam. nie jedli; str. 43: „suche role się p**o**dają“ (zam. p**a**dają), str. 69; najprzód zam. naprzód! Kazimierz W. zakłada akademią w r. 1354 (zam. 1364).

Tak Wypisom p. G—go jak p. D—go wspólném jest to, że mało w nich zużytkowano poetów pierwszorzędnych; a mianowicie, ze względu na stopień przygotowania wychowańców, mało jest wyjątków

z Mickiewicza. P. D. wziął łylko „Powrót taty“ balladę, która począwszy od r. 1830 ma już stale zapewnioną w Wypisach siedzibę. P. G. zużytkował „Alpuharę“ i dał trafnie dobrany wyjątek z Pana Tadeusza przedstawiający Zosię w otoczeniu ptastwa domowego. Przeciwko „Alpuharze,“ jakkolwiek również od r. 1830 do wypisów przeniesionéj możnaby nadmienić, że uczy zemsty, ale ponieważ Almansor nie jest przedstawiony jako ideał (jak Żyżka w wierszu Romanowskiego), czyn więc jego nie może wpływać uniemoralniająco, a piękność formy balladę tę zaleca. Wyjątek z Pana Tadeusza zasługuje na bezwarunkową pochwałę, dodam tylko, że możnaby z tegoż arcytworu daleko więcéj nawet dla części „wstępnéj“ wyciągnąć. Z bajek Mickiewicza możnaby śmiało do téjże części wziąć dwie: „Przyjaciele“, „Lis i kozioł“, a nawet bajka „Osioł i pies“ nie byłaby zdaje się za trudną do zrozumienia i wygłoszenia, zwłaszcza gdy zważymy, że tak powszechnie używane bajki Krasickiego z powodu zwięzłości słowa a niekiedy z powodu nieprawidłowéj konstrukcyi niemałą przedstawiają trudność dla młodocianych umysłów, jednakże ani pedagogów ani dzieci nie zrażają. Niechże się tedy łamią dzieci z pewnemi trudnościami i w bajkach Mickiewicza, a korzyść, mianowicie z powodu świeżości, siły i barwności wyrażeń, plastyki w opisach będzie nierównie większa aniżeli przy uczeniu się na pamięć bajek Krasickiego lub mniéj jeszcze poetycznych Jachowicza.

Druga cecha ujemnie obie książki charakteryzująca jest ich strona wydawnicza; nie postarano się o dobry wyraźny druk ani téż o trwały nieprzebijający papier. Linie z odwrotnéj stronicy widać w połowie na poprzedniéj; a to na wzrok oddziaływa szkodliwie; témbardziéj, że wiersze bardzo często nierówno są odbite.

II.

Wypisów obejmujących zakres „średni“ mamy do porównania troje: pp. Gargulskiego, Bądzkiewicza oraz Seredyńskiego i Dzieduszyckiéj. Najmniejszą pod względem objętości jest książka p. G-go. Na pierwszy rzut oka zastanawia w niéj ta okoliczność, że znajdujemy tu wiele bajek tych samych, jakie są pomieszczone w części wstępnéj („Dwa żółwie,“ „Furman i motyl“, „Dziecię i zegar“ itd.). Dowodzi to bądź-co-bądź braku zastanowienia, co jakiemu wiekowi odpowiada; jeżeli bowiem bajki owe są zrozumiałe dla dzieci młodych, to pocóż je powtarzać dla starszych; jeżeli są za trudne, pocóż je było w części wstępnéj umieszczać? Jeżeli zaś jest to dowodem

wahania się, to nie przemawia na korzyść pedagoga taka niepewność w rzeczach będących pierwszą potrzebą dydaktyczną. Może jednak p. G. przytoczyć na usprawiedliwienie swoje fakt, że część średnią wydał wprzód aniżeli wstępną i że w przeciągu roku zmienił swoje zapatrywania. Zgódźmy się i na to; ale równocześnie zapytajmy, dlaczego takie drobne i bardzo dobrze dla dzieci zrozumiałe powiastki jak: „Bławatki,“ „Pleban i Kmiotek,“ „Miłość prawdy“ w części średniéj pozostawił, zamiast je do wstępnéj przenieść? Są-to jednak usterki niewielkie, gdyż nie wyprowadzają na manowce ani téż nie oddziaływują źle na moralność wychowańca. Nie brak wszakże błędów i téj drugiéj kategoryi. P. G. pomieszcza artykuł Bohomolca o Kochanowskim. Pomijając już styl, którego wzorowym nazwać nie można, są tu omyłki, których wpajać w pamięć niewolno pedagogowi. Kochanowski, według tego artykułu, urodził się w Siczynie roku 1532, umarł mając lat 52, matka była z Białaszowa, jeden z przyjaciół K-go nazywał się Fogelwerk, umarł w Zwoleńcu, „w języku polskim tak się wydoskonalił, iż ani przedtém ani *potém* równego mu w téj mierze nie mieliśmy.“ P. G. zapomniał, że Bohomolec pisał swoję przedmowę do wydania dzieł Kochanowskiego w r. 1767, kiedy wielu szczegółów biograficznych o poecie naszym nie wiedziano, i kiedy o Mickiewiczu mowy być nie mogło. —Jak ten artykuł wykracza przeciw prawdzie, tak opowiadanie o Głonce, ostatnim wodzu opryszków w Karpatach, nie może się przyczynić do obudzenia uczuć szlachetnych w młodzieży. Opowiedziano tu jako rzecz godną pochwały zabicie opryszka przez podstęp i zdradę, do czego obywatel Sieciech używa takiego środka: „Gdy zasłyszał o Głonce, rozkazuje w téj wsi zamieszkałego przywołać rodzonego brata Głonki, zapowiadając mu, że, jeżeli nie odkryje, gdzie się brat opryszek ukrywa, mścić się na nim i na całéj jego rodzinie nie omieszka“ (str. 62). Mogłoby to być najzupełniejszą prawdą, ale czyż p. G. zamieszczając ustęp w swoich wypisach nie uczuł oburzenia na wspomnienie pomysłu Sieciecha, którego wykonawcą miał być brat Głonki i młodzi parobcy? czyż mógł przypuścić, że opowiadanie to uszlachetni serca wychowańców?

Z dwunastu tomów Korzeniowskiego nie potrafił p. G. wybrać ani jednego ustępu przydatnego dla młodzieży, a z kilkuset tomów Kraszewskiego dał jeden kruciutki artykulik o Bocianie i znany wiersz humorystyczny „Dziad i Baba“. Czyż doprawdy ci pisarze nie dostarczają dla naszéj młodzi nic, coby na pamięć zasługiwało, coby ich uczucia ku ideałom podnosiło? Ale natomiast, znajdujemy trzy artykuły pióra p. Gargulskiego: „Druk“, „Kompas“, „Głowonóg“. A jakie-to artykuły! Przypatrzywszy się jednemu, poznamy wartość

innych. Weźmy pod uwagę *Druk*. „Wynalazek sztuki drukarskiéj, (sic) zawdzięczamy Janowi Gutenberg (!). Mając lat 20, udał się on do Sztrasburgu (!) jako szlifierz, gdyż temu rzemiosłu poświęcił swą młodość i ono miało zapewnić mu utrzymanie... Pokup był wielki na te ryciny, gdyż każdy łatwo mógł je *pojąć*; naród w ogóle *przejęty* był duchem religijnym... Biblia ubogich złożona z 40 rycin, z krótkim opisem rzeczy wyobrażonéj *rysunkiem*.. Szeffer uczynił wielki postęp *wynalazkiem* głosek (zam. czcionek) lanych, co *dawało je kształtniejsze* do druku... Drukowali biblię łacińską, któréj 12 arkuszy *było już poczęte*... *Księża klasztorni*, nie mogąc pojąć sztuki drukarskiéj, tak łatwo zastępującéj mozolne przepisywanie, *poczytywali* w niéj udział złego ducha... Pierwsze księgi sławiańskie drukował Świtopełek Fiol literami Cyrylickiemi... Oto jest skrócony obrazek języka, stylu, ortografii i korekty tego artykuliku na 2 stronicach druku. Takież same zalety znaleść można i w dwu innych utworach p. G-go. Zdaje mi się, że kto nie włada dobrze językiem ojczystym, ten za wzór podawać się nie może.

Jest to jednakże rzecz zrozumiała; miłość zaślepia, miłość własna tém bardziéj; ale co trudne do zrozumienia, to nieuwaga czy pobłażliwość doświadczonego pedagoga, który takie wypracowania, za które uczniowi z trudnością trójkę zapisać-by przyszło, do Wypisów swoich bierze, mało co je ogładziwszy. A zdarzył się ten wypadek p. Bądzkiewiczowi. W jego książce znajdujemy dwa wspomniane już artykuły p. Gargulskiego: „Druk“ i „Kompas“. Są one ulepszone jedynie pod względem przestankowania a tu i owdzie pod względem odmian gramatycznych, chociaż bez zachowania konsekwencyi; słusznie poprawił p. B. wyrażenie: „Janowi Gutenberg“ na „J. Gutenbergowi“, ale zostawił „Andrzejowi Drycen“ (str. 271), zostawił wszystkie niepoprawne lub nieudolne wyrażenia, co więcéj nawet na błąd drukarski: „Kurfist Moguncyi“ (str. 272) targnąć się nie ośmielił na jednéj stronicy, chociaż na następnéj już odważniéj pisze Kurfirst przez duże K, ale natomiast wierny wzorowi, litery Cyrylickie czci należycie. W artykule o „kompasie“ przestarzałe wyrażenie „kamień magnesowy“ (str. 258) zachowuje nietkniętém. Nie kusząc się o rozwiązanie zagadki, dlaczego p. B. uznał te nieszczęśliwe artykuły za wzorowe, dodam tylko, że uwagę powyższą z prawdziwą przykrością musiałem zapisać; wogóle bowiem biorąc, książka p. Bądzkiewicza odznacza się starannym układem, dbałością wielką o dobrą korektę, o konsekwencyą w przeprowadzeniu jednostajnéj ortografii. Konsekwencya ta nawet raz okazała się niewłaściwą, p. B. bowiem w jotacyi tak daleko zaszedł, że nawet wyraz Benjamin pisze: Benijamin, choć nie ma po temu najmniejszego powodu, gdyż imię to ja-

ko złożone z dwu wyrazów *Ben* i *jamin*, może i powinno się pisać przez samę jotę.

Powtarzam jednak, że z książki p. B—a widać wyraźnie, iż układana była starannie, z prawdziwém zamiłowaniem przedmiotu. Są w niéj przeoczenia i omyłki (przypisywanie hymnu *Omni die Dic Mariae* itd. ś. Kazimierzowi); ale te w tomie mającym 451 stron jeżeli nie są do wytłómaczenia to do wybaczenia przynajmniéj. Jest jednak w samym układzie książki téj błąd ważny, który w praktyce dydaktycznéj może się dla niéj szkodliwym okazać. P. B. dbał prawie wyłącznie o naukę i moralizowanie czytelników, a bardzo mało się troszczył o ich zainteresowanie. Podaje on bardzo dobre artykuły historyczne, niektóre cenne opisy zjawisk przyrody, przedstawia ważniejsze wynalazki, zamieszcza rozumne napominania do cnoty; słowem uczy dużo, zajmuje rozum, ale do serca i wyobraźni przemawia rzadko. Nawet pod względem stylu więcéj niewątpliwie znajdziemy w książce p. B-a poprawnych aniżeli prawdziwie pięknych ustępów. Może to wynika z zasady, jaka p. B-wi przewodniczyła w układzie wypisów; może on istotnie chciał za ich pośrednictwem wpływać na rozwój zdolności rozumowania i na zwiększenie zasobów pamięci; zauważyć jednak muszę, że zasada taka byłaby jednostronną, a więc nie pedagogiczną. Zdaje mi się, że o to wszystkim wychowawcom idzie, ażeby uczniowie lubili książki szkolne, ażeby nie przymusowo tylko do nich zaglądali i przez to wstrętu ku nim nabierali, ale żeby z istotném zajęciem czytaniu ich z własnéj woli się oddawali. Wtedy dopiéro mogłoby do pewnego przynajmniéj stopnia zmniejszyć się czytanie pokątne nie tylko rzeczy zdrożnych, ale wogóle żywiących fantazyą i uczucie. P. B. nie zrobił nic albo prawie nic, żeby cel ten osiągnąć. Pominął powieść zupełnie, jakby nie istniała. Z dzieł Korzeniowskiego, Rzewuskiego, Kaczkowskiego, Żmichowskiéj nie umieścił ani jednego ustępu, z olbrzymiéj ilości utworów Kraszewskiego zamieścił krótki wyjątek z opisu Polesia. A nawet w dziale, będącym z natury rzeczy karmią dla uczuciowości tj. w poezyi p. B. tak potrafił dobierać artykułów, żeby tę karm uszczuplić jaknajbardziéj. Z Pana Tadeusza zamieścił dwa tylko wyjątki: „Śniadanie w domu pana sędziego“ i „Grzybobranie.“ P. B. wolał pomieścić słabe a nawet liche wiersze Jachowicza, jak: „Potęga słowa“ lub „Wieczór Kochanowskiego w Czarnolesiu“ aniżeli dać miejsce kilku sonetom krymskim lub „Zeglarzowi“ (w skróceniu) albo „Dumie o Wacławie Rzewuskim“ lub „Hymnowi o zachodzie słońca“ Słowackiego. Nie można zaprzeczyć, że to, co p. B. podał z poezyi, należy do rzeczy dobrych i pięknych, ale trudno nie spostrzedz, że brak tu wzniosłych.

Do charakterystyki książki p. B. należy i to, że najdłuższe w niéj ustępy mieszczą się na 4 kartach, a takich jest zaledwie kilka, najczęstsze zaś są kartkowe, stronicowe, a nawet półstronicowe. Dowodzić chyba nie potrzeba, że artykuliki półstronicowe (z wyjątkiem anegdot) są odpowiednie dla młodszéj dziatwy, nie mogącéj jeszcze dostatecznie objąć większéj całości, ale w Wypisach dla „średnich" klas są niestosowne, gdyż najprzód drażnią tylko ciekawość, nie dając jéj zaspokojenia, a powtóre na tak szczupłéj przestrzeni trudno rozwinąć myśli głębsze potrzebujące obszerniejszego obrobienia.

Pozostaje nam jeszcze do ocenienia najobszerniejsza z tegorocznych książka do czytania, praca składkowa p. Seredyńskiego i pani Dzieduszyckiéj. Zawiera ona 882 stronic ścisłego druku, poezye są odbite petytem. Z saméj już objętości wnosić można, że materyału do czytania i rozwagi książka ta dostarcza podostatkiem. Wszystkie niemal rodzaje prozy i poezyi zostały w niéj uwzględnione, rozmaitość zatém jest wielka, wypisy te zawierają treść zarówno wzbogacającą pamięć i rozum jak zajmującą wyobraźnię i kształcącą uczucia Książka ta służyć ma głównie dla szkół wyższych żeńskich a mianowicie dla seminaryów nauczycielskich, jak to wyczytujemy u dołu każdego arkusza i przedmowie, zwrócono więc w niéj uwagę na zajęcia i losy kobiece. Dążność ta przebija się w powieściach (Marta, Cecylia), w szkicach z dziedziny obyczaju i pracy, we wspomnieniach (Życie ziemiańskie kobiét, Ostatnia uroczystość weselna starego kroju, Zajęcia niewiasty polskiéj w XVIII wieku, Wiadomości o rozwoju haftu, o koronkach, Zapiski młodéj nauczycielki, Z pamiętników Klementyny Tańskiéj), daléj w życiorysach i wizerunkach (Matka Jagiellonów, Marya Teresa, Katarzyna Wapowska, Katarzyna Jagiellonka, Klaudyna Potocka, Marya Pope-Carpantier) w zarysach dziejowych (Wychowanie dziewcząt w Chinach, w Egipcie, w Judei, w Grecyi, w Rzymie), w rozprawach wreszcie i mowach (Praca kobiét, O kształceniu kobiét w Anglii, Mowa na nabożeństwie za duszę Zofii Potockiéj). Prócz tego, nawet w artykułach ogólniejszéj treści, takich jak: „Marzycielstwo", „Jest prawda w poezyi, jest poezya w prawdzie" rozumowanie zwrócone jest ku temu, ażeby usposobienie kobiéty dla niéj saméj wyjaśnić i nadać mu dobry kierunek. Nawet w oddziale poezyi starannie wyszukiwano takie utwory, któreby najłatwiéj do serc niewieścich przemówić mogły; a trzeba przyznać, że wyboru dokonano z istotną znajomością rzeczy. Książka więc odpowiada swemu celowi: uczy i zajmuje umysły kobiéce. Rzeczywiście, jest dobrą, zwrócę tylko uwagę na pewne szczegóły, które może przy drugiém wydaniu uwzględnione będą.

Zadziwia najprzód w książce dla kobiét przeznaczonéj brak nazwiska Żmichowskiéj (Gabryelli), nie ma go ani w dziale prozy, ani w dziale poezyi, nie ma go jako podpisu autorskiego, ani jako nadpisu nad życiorysem lub charakterystyką. Czy-to zapomnienie, czy zgóry postanowione wykluczenie? W pierwszym wypadku byłoby rzeczą naganną, w drugim jednostronnością poglądu na umysłowość kobiécą i zakres jéj działalności. Brak życiorysu Żmichowskiéj jako nauczycielki i gienialnéj autorki wobec panegiryku na cześć Zofii z Branickich Potockiéj „co niby kokosz nad pisklęty rozciągnęła opiekuńcze skrzydła“ nad rozrosłą rodziną (str. 613) co najmniéj razić musi. Ze względów nawet czysto dydaktycznych, dla porównania, wypadało obok hymnu na morzu Słowackiego dać wiersz Gabryelli: „Czemu mi smutno“; a prześliczny obrazek p. n. „Burza,“ nie mówiąc już o większych utworach, wart był miejsca w książce, która energią i wytrwałość w duszy kobiécéj zaszczepić pragnie.

Powtóre, zbyt wielka jest liczba przekładów z obcych języków. W dziale poezyi prawie połowę zajmują tłómaczenia: Odysei, Antygony, Grafa Habsburga. Przeciwko zamieszczeniu tych utworów nie podobna zrobić żadnego zarzutu, ale wolno wskazać nieproporcyonalność w stosunku utworów oryginalnych do przekładów; Odyseja zajmuje 90 stron, gdy wyjątki z Pana Tadeusza—zaledwie 12. Antygonę dano całą a z Lilli Wenedy—ani jednego ustępu. Ale tu przynajmniéj piękność tłómaczenia daje pewne zadośćuczynienie; w przekładach zaś z prozy musimy się raz-po-raz gniewać na niepoprawność stylu. Na 7 ustępów powieściowych, jest oryginalnych tylko 3; a tłómaczenia są rażąco złe pod względem gramatycznym i stylowym; czytamy tu o „znikomych“ (zam. przelotnych) uśmiechach, co przemykają po surowéj twarzy (94), o Lili, która była „dzieckiem domu“ (tamże), przypatrujemy się, jak w „rozważone usta“ wsączają po parę kropli bulionu (100), jak ludzie spostrzegają się „nieobecności“ Wintera (tamże), słyszymy o „zcierpniętym“ (104) mózgu pomijając rzecz już o *jak żeby* (zam. jak gdyby) o bułce *ze* szynką i tym podobnych specyałach.

Bardziéj usprawiedliwione są ustępy tłómaczone z dziedziny techniki, gdyż w naszém piśmiennictwie trudnoby coś podobnego znaleść, ale wcale nie są usprawiedliwione takie całkiem niepolskie wyrażenia jak: „Nie wypada jak tylko przyklasnąć (str. 255), lub: brzeżki o „pojedyńczym“ (zam. prostym) rysunku (254).

Wreszcie nie możemy pochwalić wyboru dość obszernego wyjątku z kursu estetyki p. Seredyńskiego (str. 487—505), gdyż ustępy te nie odznaczają się ani gruntownością i jasnością wykładu, ani téż stylem, który jest niepoprawny, a niekiedy usiłuje być kwiecistym

a jest tylko napuszonym. Niech o tém zaświadczy choć mały wyjątek: „Z tych samych wyobrażeń wysnuły się w umyśle człowieka i inne jeszcze myślne postaci, urobiły się pojęcia, sądy i wnioski, które stanowią istotną treść owego mnóstwa podjętych (?) wyobrażeń, z pomocą których zdobywamy dopiéro poznanie prawd *tkwiących zasadą* w zjawiskach i rozumienie *wszystkiego* (zam. całego) otaczającego nas życia" (str. 489).

Druk i papier Wypisów tych jest dobry; możnaby tylko zaprotestować przeciwko petytowi w poezyach; korekta natomiast bardzo wiele pozostawia do życzenia; są tu wierzyczki, są takie daty jak r. 1569 za czasów Batorego itp.

Jeszcze parę słów o podziale na rodzaje prozy i poezyi we wszystkich wzmiankowanych tu książkach. Z wyjątkiem p. Seredyńskiego i pani Dzieduszyckiéj, którzy rozumieją dydaktyczną ważność podziałów tych, inni układacze wypisów zdają się je lekceważyć. Tworzą oni najdowolniéj i najfantastyczniéj rozdziały i ustępy, nie troszcząc się prawie wcale o umiejętną zasadę. Jestto objaw zostający niewątpliwie w związku z dość rozpowszechnionéin u nas lekceważeniem stylistyki, którą uważają za rzecz przestarzałą, scholastyczną, nie mającą dzisiaj racyi bytu, pozbawioną praktycznego znaczenia. A jeżeli inne części stylistyki są lekkomyślnie pomijane, to témbardziéj rzecz o podziałach, gdyż, jak twierdzą, rodzaje prozy i poezyi tak zachodzą na siebie, że o rozgraniczeniu ich ani myśléć. A przecież do gruntownego wykształcenia potrzebne jest niewątpliwie uogólnianie, bez którego prawdziwa wiedza istniéć nie może, tylko luźne, chaotycznie pomieszane wiadomostki. Przyjąwszy to za rzecz pewną, zgodzić się będziemy musieli, że zdolność do rozumnego uogólniania od najpierwszéj młodości kształcić wypadnie. Choćbyśmy więc od ucznia nie wymagali ścisłych definicyj co do różnych gatunków prozy i poezyi, powinniśmy dbać o to, żeby książka, którą ma przed oczyma, była wzorem ładu należycie obmyślonego; przypatrując się porządkowi temu, nabierze on powoli, przy odpowiednich wskazówkach, jaśniejszego pojęcia o różnicy działów, z których książka jego się składa, przyzwyczai się do systematycznego myślenia. Jeżeli zaś w książce ładu nie znajdzie, to jakże ma go sobie przyswoić?

P. Gargulski, na wzór Łyszkowskiego, nie troszczy się wcale o jakiś wymotywowany podział; daje on napisy, jakie mu się na myśl nawiną: 1) Ustępy z pisma ś. 2) nauki i obrazy moralne, 3) przypowieści i powiastki moralne, 4) bajki prozą, 5) anegdoty, 6) opowia-

dani z życia społecznego, 7) legendy i baśnie, 8) obrazy i opowiadania historyczne, 9) opisanie miejsc, 10) historya naturalna. Tak jest w części wstępnéj; w części średniéj niektóre tytuły zatrzymano, inne przechrzczono, albo dodano nowe w tym rodzaju jak np. „Zwyczaje", „Blizkoznaczne słowa," „Wynalazki". Nie jest to podział, ale chaos.—P. Dygasiński poezyą dzieli podług rodzajów (na nauczającą, opisującą, liryczną), prozę zaś według przedmiotów wziętych pod rozwagę (nauki przyrodnicze i ziemioznawstwo, moralność i obyczaje, historya i biblia). Brak tu zatém jednostajnéj zasady podziału.—P. Bądzkiewicz daje ogólny podział według *jednéj* zasady podziału, wyróżniając prozę 1) „opowiadającą i historyczną" (!) 2) „opisową i podróżopisarstwo" 3) „rozumową i dydaktyczną" a poezyą epicką i liryczną, ale w szczegółach prozę dzieli według przedmiotów a więc idą osobno: igrzyska, zwyczaje, zjawiska przyrody, ustępy religijno-moralne, wynalazki itp. I znowu robi się zamieszanie. Najwięcéj systematyczności posiadają Wypisy p. Seredyńskiego i pani Dzieduszyckiéj; są one ułożone według rodzajów literackich; ale w rozmieszczeniu pojedyńczych ustępów popełniono niekonsekwencye rażące, do prozy opisowéj zaliczono artykuły należące właściwie do prozy dydaktycznéj (np. o hafcie, o koronkach, o kruku, o bocianie, o strusiu itd.); do prozy historycznéj wtłoczono „Zapiski młodéj nauczycielki", które właściwsze miejsce znaleźć by mogły w prozie powieściowéj, gdyż kolorytu ściśle historycznego nie mają wcale.

Dziwna rzecz, jak u nas liche wzory są aż do bezmyśli naśladowane, a dobre—lekko cenione. Słaba kompilacya Łyszkowskiego dziś jeszcze ma swych wielbicieli; gdy tymczasem od lat już dwudziestu kilku mamy w trzytomowym zbiorze p. Jana Rymarkiewicza i w jego Prozaice bardzo dobrze i rozważnie obmyślany i do praktyki zastosowany podział wszystkich form prozy; a do téj pory żaden z „autorów" książek do czytania nie zechciał pójść w jego ślady i ulepszając w szczegółach, zatrzymać zarys ogólny. Zapewne wybitna indywidualność tych Wypisów budzi w układających nowe wypisy, obawę, żeby ich o kopiowanie nie posądzono i powstrzymuje od pójścia za dobrym przykładem. Czyż przy takiém postępowaniu może się u nas wyrobić dobra, zdrowa tradycya pedagogiczna, jeżeli *dobre* prace poprzedników nie są dla nas wskazówką?

P. Chmielowski.

ROZBIORY, SPRAWOZDANIA

I WRAŻENIA LITERACKIE.

Wojciech Oczko.—Przymiot i Cieplice, opatrzone życiorysem i oceną stanowiska naukowego W. Oczki przez dr. Edwarda Klinka oraz rozprawą o języku dzieł przez Ad. Ant. Kryńskiego. Wydanie jubileuszowe, Warszawa 1881. Str. V, CXXXV i 554, nakładem Towarzystwa lekarskiego warszawskiego.

Niejeden z czytelników naszych przypomina sobie zapewne piękny poemat Syrokomli: „Zgon Acerna," w którym jako szlachetny przyjaciel i pocieszyciel gasnącego poety występuje Wojciech Oczko, słynny w XVI w. lekarz i pisarz znakomity. Z osobistością i uczonemi pracami tego właśnie męża zaznajamia szerszą publiczność dr. Edward Klink, w dziele p. t. wyżéj przytoczonym. We wstępie dowiadujemy się historyi powstania tego dzieła. Dr. Klink pracując oddawna nad chorobami wenerycznemi i widząc ubóstwo literatury naszéj w dziedzinie historyi medycyny, postanowił zająć się zbadaniem dzieła Oczki p. t. *Przymiot* (syfilis); a zbadawszy je zaproponował w r. zeszłym Towarzystwu lekarskiemu uskutecznienie przedruku rzeczonéj pracy, która téż jego nakładem a staraniem projektodawcy pojawiła się w r. b. jako edycya jubileuszowa w 300 letnią rocznicę 1-go wydania, poświęcona zaś dr. Józefowi Majerowi, prezesowi Akademii umiejętności krakowskiéj, którego jubileusz obchodzono na świeżo odbytym zjeździe lekarzy i przyrodników polskich w Krakowie.

W wydawnictwie tém oprócz przedruku głównéj pracy Oczki: *Przymiot* i drugiéj mniejszych rozmiarów: *Cieplice*, znajduje się życiorys znakomitego syfilidologa i ocena jego stanowiska naukowego, skreślone przez dr. Klinka, oraz rozprawka o języku Oczki pióra Ad. Ant. Kryńskiego.

Osobistość Oczki była nam dotąd znana, lubo niedostatecznie, głównie z prac Sobieszczańskiego i ks. J. T. Lubomirskiego. Szczegółową jednak i bardzo dokładną biografią, a także wiadomość o rodzinie jego podał nam dopiéro dr. Klink, oparłszy swą pracę zarówno na dziełach drukowanych, jako téż, i to przeważnie, na źródłach rękopiśmiennych (akta radzieckie staréj Warszawy, akta zjazdowe v. konwencyonalne, akta kapituły warszawskiéj, księgi skarbowe i księgi metryki koronnéj), przy pomocy których, pracą skrzętną i mozolną wyświetlił wiele stron niejasnych i wyszperał mnóstwo drobiazgów interesujących. Długo mniemano, iż Oczko (który własnoręcznie podpisywał się: Ocko a i na pierwszych wydaniach w téjże postaci znajduje się jego nazwisko) był rodem z Czech lub téż z Morawii; dopiéro ks. Lubomirski dowiódł, iż urodził się w Warszawie, a dr. Klink wykazał na podstawie źródeł rękopiśmiennych, że rodzina Oczków jest czysto-polska, mieszczańska (chociaż w XVI w. spotyka się Oczków i wśród szlachty), osiadła głównie w Warszawie i że była już znana w XV w. Dziad Wojciecha Maciej i ojciec Stanisław byli stelmachami, w rodzinie prócz rzemieślników byli i uczeni; brat naszego doktora Rościsław i synowiec Wincenty. O stosunkach familijnych i majątkowych całego rodu dostarcza dr. Klink wiele wiadomości ciekawych i cennych, przytaczając z aktów oryginały łacińskie i dosłowne przekłady polskie. Oprócz wykazania rodowitości polskiéj Oczków, sprostował jeszcze dr. Klink datę urodzenia i śmierci Wojciecha. Bibliografowie i historycy literatury utrzymywali aż dotąd, że urodził się r. 1545 a umarł 1608. Tymczasem biograf nasz na podstawie dokumentów wnioskuje nieomylnie, iż umarł albo w ostatnich dniach Grudnia r. 1599 albo téż na samym początku Stycznia r. 1600 w Lublinie, gdzie go téż pochowano; a że wedle napisu na grobowcu Oczki, zachowanym w kościele Bernardynów lubelskich, żył lat 63, więc ur. r. 1537. To są dowody niezbite. Inne zaś przytoczone przez dr. Klinka (str. XI—XII) na poparcie, iż nie mógł się urodzić r. 1545 nie wytrzymują krytyki. Gdyby albowiem ur. r. 1545, to wypadałoby stąd, na mocy odnośnych i pewnych danych, iż w r. 16 życia studyował już filozofią, w r. 24 został dr. medycyny, a w 31 lekarzem nadwornym i sekretarzem królewskim, czego autor życiorysu nie przypuszcza i nie wierzy, aby te odznaczenia mogły spotkać Oczkę w tak młodym wieku. Tymczasem faktem jest powszechnie znanym, że wielu nawet w latach wcześniejszych otrzymywali stopnie doktorskie; przypomnę tu tylko Pico Mirandolę, który już w r. 14 życia studyował prawo kanoniczne, w 23 wystąpił ze swemi sławnemi 900 tezami; a syt sławy zgasł w r. 31 a i nasz Janicki w r. 24 życia już był zaszczycony godnością dr. filozofii. Więc

nie na mocy tych wnioskowań, ale na podstawie rzeczonych wyżéj dowodów, sprostowaną datę uważamy za niewątpliwą, co istotną stanowi dr. Klinka zasługę. Dowiadujemy się daléj, iż Oczko, ukończywszy nauki początkowe w szkołach miejskiéj i katedralnéj w Warszawie, następnie wspierany funduszami kapituły, studyował od 1559 lub 1560 przez lat 2—3 filozofią w Krakowie, że w końcu 1562 wrócił do Warszawy jako bakałarz, 1562—65 uczył w szkole katedralnéj, od 1565 (znowu wspomagany przez kapitułę) poświęcał się nauce medycyny we Włoszech i Francyi (Montpellier), zawadził téż o Hiszpanią, 1569 wrócił jako dr. medycyny i filozofii do grodu rodzinnego; od 1576 był lekarzem nadwornym Stefana Batorego a potém Zygmunta III oraz sekretarzem królewskim; Batoremu towarzyszył na wyprawach wojennych. Żonaty był dwukrotnie (1574 i 1596), ale dzieci nie zostawił. Rozległa praktyka nie przeszkadzała mu pracować naukowo. Był Oczko nietylko znakomitym lekarzem, ale i obywatelem zacnym, filantropem szlachetnym, hojnym mecenasem i mężem wylanym dla dobra społeczeństwa, które całą umiłował duszą. Zdolnościami swemi, pracą, nauką, podniosłością umysłu, przywiązaniem do kraju pozyskał uznanie powszechne; choć syn stelmacha, jest jedną z gwiazd na firmamencie nauki polskiéj i świetnym jaśnieje blaskiem na skreślonym przez dr. Klinka obrazie umysłowości naszéj w. XVI. Nie darmo téż nazywał go Batory *vir excellentissimus* (mąż znamienity—nie *najwyśmienitszy*, jak tłómaczy biograf).

Skreśliwszy pięknóm piórem życiorys Oczki, maluje daléj dr. Klink stan wszelkich gałęzi wiedzy lekarskiéj a w szczególności nauki o chorobach wenerycznych w Europie i u nas w wieku XVI, następnie, aby ułatwić czytelnikowi zrozumienie dzieł Oczki, daje obszerne ich streszczenie, w końcu zamieszcza ocenę jego stanowiska naukowego. Oczko wydał 6 dzieł, z których 4 w języku łacińskim znane są dziś jedynie z tytułów, dwa zaś napisane po polsku doszły czasów naszych, a mianowicie: *Cieplice* (Kraków 1578) i główne *Przymiot* (Kraków 1581); ostatnie należy do rzędu białych kruków. Dzieło p. t. *Przymiot* składa się z 2 ksiąg; we wstępie, do ks. I kreśli Oczko, jak mówi wydawca, „ogólny pogląd na przymiot, jego powstanie, rozwój objawów i leczenie, przyczém podane są niektóre wskazówki, odnoszące się do przebiegu przymiotu w Polsce“ (str. LXXXIII), daléj „opisuje najrozmaitsze metody leczenia przymiotu, zalecane w owym czasie, szczegółowo zaś przedstawia leczenie przymiotu za pomocą wcierań maści szaréj i rozbiera wszystkie następstwa, jakie wynikały z nadmiernego użycia merkuryuszu, przyczém podaje jednocześnie sposoby leczenia tych następstw; w ks. II poda-

je opis szczegółów wszystkich objawów przymiotu i wszelkich powikłań i następstw, najczęściéj napotykanych u chorych syfilitycznych" (str. LXXXII). Dzieło to napisał Oczko nie tylko dla lekarzy, ale i dla pacyentów, jak przypuszcza wydawca. Podług dr. Klinka, Oczko, uczeń sławnych mistrzów włoskich i francuskich, jest znakomitością jako lekarz praktyczny i naukowy. Posiadał on gruntowną znajomość chorób syfilitycznych, których leczeniem głównie się zajmował; jest wybornym dyagnostą i terapeutą; niektóre działy, jak np. dyetetyka, opracowane są tak świetnie, że i dzisiejsza nauka nie wiele co do nich dodać może. Dzieło jego świadczy, że doskonale był obeznany z całą literaturą współczesną europejską, dotyczącą chorób wenerycznych, oraz z Hipokratesem, Galenem i lekarzami arabskimi, na których oparł swoję terapią; nadto umiał sam spostrzegać i badać; niektóre części obrobił zupełnie oryginalnie. Jakkolwiek spotykamy u niego i bałamuctwa, które na karb wieku policzyć trzeba, to jednakże „on pierwszy założył w Polsce podstawę dla nauki chorób wenerycznych i słusznie należy mu się miano ojca syfilidologii polskiéj" (str. CVIII). „*Przymiot* jest dziełem pomnikowém" mówi dalej dr. Klink, „stoi ono wyżéj od bardzo wielu współczesnych dzieł traktujących o chorobie syfilitycznéj; niewątpliwie doznałoby europejskiego powodzenia, gdyby po łacinie było napisane, ale my upatrujemy w tém wielką zasługę Oczki, że je po polsku wydał; znajdujemy bowiem dowody jego wielkiéj miłości dla kraju i języka ojczystego" (str. CIX).

Drugie dziełko: „*Cieplice*," przez które rozumie się wszelkiego rodzaju źródła mineralne, nietylko gorące, ale i zimne, siarczane, słone, żelaziste itd. przeznaczone podobno dla pacyentów, uzupełnia *Przymiot*; opracowane jest naukowo i systematycznie, a z powodu wielu uwag praktycznych może i dziś jeszcze dla leczących się u wód służyć za podręcznik. Interesuje nas ono i z tego względu jeszcze, iż zawiera w sobie wzmianki o różnych zdrojowiskach w Polsce.

Oba dzieła napisane wyborową polszczyzną. Znamionują ją naturalność i właściwa wiekowi XVI prostota, piękność obrazowania, jędrność i dosadność wyrażenia oraz, z wyjątkiem zwykłych owym czasom konstrukcyj łacińskich, czystość wzorowa. Cechuje ją nadto jakiś wdzięk ponętny a niewysłowiony, który miłe sprawia wrażenie w porównaniu z mdłością i bezbarwnością języka wielu pism dzisiejszych. Zbogacił Oczko język polski mnóstwem wyrazów lekarskich i oczyścił go od innych mniéj właściwych. Tak więc jest Oczko, nie tylko pierwszorzędnym uczonym, ale i znamienitym stylistą stojącym na równi z najcelniejszymi prozaikami epoki Zygmuntowskiéj. Nad właściwościami języka zarówno wspólnemi Oczce i literaturze szesna-

stowiecznéj, jako téż jego indywidualnemi: a to pod względem głosowni, fleksyi, składni, etymologii i stylu zastanawia się w cennéj lubo pobieżnéj rozprawie p. Kryński, dołączywszy także słowniczek niektórych wyrazów. Żałujemy jednakże, iż p. Kryński podając przedewszystkiém charakterystyczne znamiona języka, wyróżniające go od mowy spółczesnéj, niektóre tylko zjawiska językowe objaśnia, tłómaczenie zaś innych pomija milczeniem; jak np. przyczynę zmiękczenia *rz* na *śrz* lub *jrz*, oraz *sr* na *śr* lub *śrz* (str. CXV—CXVI); sądzilibyśmy, iż dla wielu czytelników wyjaśnienie takie nie byłoby zbyteczne. Wyrażenia *lecie*, *zimie* (str. 231) są zdaniem naszém miejscownikami bez przyimka użytymi, które, jak w starosłowiańskim, tak i w polszczyźnie XVI w. nie utraciły bynajmniéj znaczenia rzeczownika i nie były przysłówkami, jak to utrzymuje autor przy wyrazie *lecie* (str. CXXIV); nie wyłuszcza daléj takich form jak *miali* nie *mieli* (425), w których *a* wbrew dzisiejszéj polszczyźnie nie ulega osłabieniu czyli zwątleniu; nie zwraca uwagi na formy: *rádczéy* (str. 25) obok *rádniéy* (str. 488), *mieśce* (str. 490) obok *mieysce* (str. 491), *skámieniały* (27) obok *zákamáły* (22), obok zaznaczonego bezokolicznika *przyść* pomija *vydź* (str. 433), podobnież zamilcza brak asymilacyi fonetycznéj w rzeczowniku *widchnienie* (str. 5) itd. Dodany słowniczek jest téż bardzo niedokładny; nie znajdujemy w nim wielu wyrazów dziś niezrozumiałych, jak np. szarucha (6), blocha (11), sciatyka (13), niprzecz (22), grámatka (26), onaki (102), owcug (6), trazon (97) consus (98), tawta, lész, miętkiew (153), nadejść (str. 493) w znaczeniu zdybać, znaleść itd. Nie jest téż należycie objaśniona rozmaitość w pisowni Oczki. Zdaje nam się, iż większa dokładność w traktowaniu różnych szczegółów ułatwiłaby znacznie czytelnikowi zrozumienie dzieł Oczki.

Pod względem wydawniczym odznacza się dzieło okazałością i przepychem. Format ćwiartkowy, papier wyborowy, druk wyraźny i czysty. Przyozdobione jest drzeworytem (wedle rysunku dr. Peszkiego), wyobrażającym grobowiec Oczki, podobizną autentycznego listu Oczki do podskarbiego Młodziejowskiego, oraz homografiami karty tytułowéj *Przymiotu* podług ed. z r. 1581 i przedmowy autora do czytelnika. Korekta obu dzieł Oczki, zmudna i uciążliwa, przeprowadzona bardzo starannie; zajmowali się nią pp. Badowski, Włodarski i profes. Przyborowski. „Przymiot“ przepisał p. Komarnicki, a Cieplice p. Włodarski. Na marginesach cytowani są autorowie, na których Oczko się powołuje lub z których czerpał. Brak, zdaniem naszém, wydawnictwu jednéj i to bardzo ważnéj rzeczy, mianowicie objaśnień czyli komentarzy zarówno rzeczowych, jak leksykalnych, zwłaszcza, że załączony słowniczek jest niedostateczny. Komentarze

takie wiele materyj fachowych, zwykłemu czytelnikowi niezrozumiałych, wyjaśniłyby i treść samę uczyniłyby przystępniejszą. Jakkolwiek zresztą świetnie i z wielkim nakładem pracy dokonane, nie jest ono przecież wolne od pewnych usterek. Przedewszystkiém razi nas wielce, a szpeci dzieło, brak jednostajnéj pisowni w rozprawach dr. Klinka i p. Kryńskiego. P. Kryński odstępuje od zasad pisowni dotychczasowéj; wprowadza bowiem w swéj pracy *i* jotowane (jimiona, jistoty, zajimków, swojich, historyji), przyimek z oznacza literą *s*, zamiast podwójnych pisze spółgłoski pojedyńcze (klasyczny), w narzędniku i miejscowniku l. p. r. m. i n. przymiotników i zaimków stale daje końcówki *ym* (lubo znajdujemy: po zmiękczeniu pop*rzedniém* (CXV), a w narzędn. l. m. wyszystkich rodzajów *ymi* itd. Dr. Klink tymczasem zasad tych nie uznaje, a co więcéj dopuszcza się samowolności. Tak np. miejscownik i Narzędn. l. p. r. n. przymiotn. i zaim. pisze przez *em* zam. zwykłego dotąd *ém*, a dopeł. celow. i miejscow. l. p. r. ż. tychże wyrazów *ej* zamiast éj; wogóle jest stanowczym nieprzyjacielem *é* (pochylonego); daléj: biernik l. p. r. ż. rzeczowników żeńskich z tematową *j* raz pisze przez *ę*, np. propozycyę (III) filozofię (V), małmazję (CII), drugi raz przez *ą* np. herezyją (VIII); w tychże rzeczownikach raz tematową zatrzymuje np. opozycyja, (cywilizacyja (VIII), kwestyja (CVI), to znowu ją wyrzuca np. propozycyę (V), kwestyę (CVI), a w. dopełn. l. m. zam. końcówki *j* znajdujemy *i* np. elegii (X), uncyi (LXXIX); z tą nieszczęsną jotą dzieje się coś podobnego i w innych wyrazach albowiem obok: studyja (IX) dyjeta (LXXXVI) mamy dieta (LXXXV), terjaka (XCI); obok kwestyę spotykamy małmazję; spółgłoski w jednych słowach zachował podwójne: kolledzy (II), korrekta (IV), professorów (VI), w innych pojedyńcze: profesor (IV), korespondencyja (VI); obok: zaląc (LXXXV), wyląc (CVIII) widzimy strzedz (LXXXVIII); dziko téż wygląda pisanie moją propozycyę (III) zam. moję propozycyą, owe prawo (VIII), wszystkie ciało (LXXXIII) zam. owo, wszystko. Czy mamy to złożyć na karb fantazyi ortograficznéj, czy niedbałości korektorskiéj? Tę ostatnią widać znowu w innych razach i w obu rozprawach, tak np. medyk włoski zowie się na str. XXVI Aranziusz a na str. LIV Arantiusz; na str. XXVI spotykamy pozostawali zam. pozostawili, str. LXXXIV miętki zam. miękki; str. LXXXVI narzędn. l. p. r. m. jedném zam. jednym str. CXVI emonologia zam. etymologia itd. W ustępach przytoczonych z Oczki p. Kryński trzyma się wiernie pisowni oryginału, dr. Klink zaś zwykle własnéj swéj ortografii a niekiedy Oczkowéj. Dr. Klink dopuszcza się niekonsekwencyi w używaniu nazwiska *Oczko*; raz albowiem rzeczownik ten odmienia, drugi raz uważa go za nieodmienny lub źle odmienia np. po Stanisławie Oczku, zam Oczce

(XVII), przez W. Oczko (XVIII), pracowitego Stanisława Oczko (XXIII), Wojciechowi Oczko (XXVII), co sprzeciwia się już duchowi języka. Spotykamy nadto i inne uchybienia językowe u wydawcy, jak: *władza* senatu upadła (VII), powinno być *powaga*, *znaczenie*; nauka Galena się *rozpadła* (LV) zam. upadła; wikaryusz *wiekuisty* (LIV) zam. stały (po łacinie *perpetuus*), *stelmachy wystąpili* (XVI) zam. stelmasi lub stelmachowie wystąpili, albo wreszcie stelmachy wystąpiły; *najbardziéj szczegółowe* (LI), *najbardziéj krytyczne* (LI) zam. najszczegółowsze, najkrytyczniejsze; niepoprawna téż konstrukcya np. taka: pomimo tego że bardzo wiele poglądów etc. było jeszcze w powszechném poszanowaniu, *ale* (?) etc (LI) zamiast *ale* powinno być: jednak, wszelako. Sądzimy także, że należałoby pisać *syfilidyczny* zam. syfilityczny, jeżeli piszemy prawidłowo: syfilidolog, syfilidologia.—Ośmielilibyśmy się wreszcie zwrócić uwagę szanownego wydawcy, że nie Krzycki ułatwił Janickiemu wyjazd do Włoch (VI), lecz Kmita; Janicki albowiem wyjechał za granicę 1538 r. w rok po śmierci Krzyckiego, o czém przekonywa nas sam Janicki w elegii VII ks. II i elegii VI ks. I oraz Węclewski w broszurze: „Wiadomość o życiu, o pismach, wydaniach i przekładach poezyi Janickiego“ (1869, str. 5—8); wątpimy także, iżby piękna biblioteka Raczyńskich miała się znajdować w Toruniu (LXXXI), chyba że świeżo przewieziono ją tamże z Poznania.

Mimo zaznaczonych usterek wydawnictwo dzieł Oczki jest istotnie pomnikowe; a uboga w źródłowe opracowania i poprawne edycye pisarzów dawniejszych literatura nasza zbogacona została pięknym nabytkiem. Kilkoletnią mozolną pracą dobrze się zasłużył piśmiennictwu ojczystemu i nauce dr. Klink, któremu należy się od nas słusznie publiczna podzięka. Nie możemy również pominąć obywatelskiéj zasługi Towarzystwa lekarskiego, które nie pożałowało znacznego nakładu. Obyśmy więcéj mieli prac takich, a umysłowość przeszłości naszéj w jaśniejszych o wiele przedstawiłaby się barwach. Dzieła Oczki czytać może i powinien nie tylko lekarz, ale każdy, kto prawdziwie miłuje język ojczysty. Nie wątpimy więc, że znajdą one szerokie koło czyt lników.

St. M.

Jan Žižka, o sepsáni životopisu jeho pokusil se Wácslaw Wladiwoj Tomek, Praha 1880. 8-o, str. 228.

Autor tego dzieła cieszy się wielką popularnością u swoich ziomków, którą mu zjednały liczne prace na polu dziejopisarstwa,

szczególniéj zaś historya uniwersytetu Praskiego i historya miasta Pragi, z któréj dotychczas wydał 4 duże tomy a doprowadził ją dopiéro do roku 1436. Pisząc ostatni tom tych dziejów, obejmujący historyą miasta od roku 1420, potrącał w nim autor nieraz i obszernie nawet o głównego bohatera owéj epoki Jana Żyżkę i z tego względu szczególną musiał zwracać uwagę na źródła, odnoszące się do historyi jego osoby. Dlatego po ukończeniu 4-go tomu historyi Pragi, p. Tomek postanowił dopełnić studya nad materyałami, tyczącemi się Żyżki i osobny życiorys jego napisać, mając na uwadze wielką rolę, jaką w historyi odgrywa dzielny przywódzca husytów. Takim sposobem powstało niniéjsze dzieło skromnie zatytułowane — próba biografii.

„Jan Żyżka“ odznacza się temi samemi zaletami co i poprzednie prace autora: objektywnością przedstawienia i malowniczością wykładu, stylem przytém i językiem tak łatwym i przystępnym, że polak lub słoweniec bez trudności może je czytać, choćby nawet bardzo mało obznajmiony był z językiem czeskim. W opowiadaniu swém autor zupełnie usuwa się na stronę: podaje czytelnikowi wierne i krytyczne przedstawienie wypadków i samemu pozostawia sąd o nich; raz tylko jeden (str. 37—38) p. Tomek daje poznać swoje sympatye dla narodowego bohatera, biorąc go w obronę i uwalniając od bezpośredniéj odpowiedzialności za okrutne nieraz postępki i czyny Taborskiéj jego drużyny. Na to nie można się zupełnie z autorem zgodzić: broni on Żyżkę tylko argumentami, przeciwko którym jednak pozwalają się postawić wprost o przeciwném świadczące... fakty. Raz Żyżka bezpośrednio zapewne wpłynął na spalenie 24 pikardów (str. 88); drugi raz sam domagał się, ażeby konsulowie prascy spalili dwóch księży pikardów: Loquisa i Prokopa (str. 110); inne podobne dane można znaleść na str. 167, 186, nie tylko w tych razach ale i w wielu innych Żyżka mógł bezwątpienia przeszkodzić barbarzyńskim postępkom, mając taką władzę i wpływ w swojém stronnictwie, gdyby sam był zwolennikiem zupełnie humanitarnego postępowania z swoimi politycznymi i religijnymi przeciwnikami, gdyby się odznaczał bardziéj tolerancyjném usposobieniem.

Malowniczość wykładu, opierająca się na dokładnéj znajomości ogólnéj historyi Czech i miejscowości, w których się wypadki odgrywały, podnosi wartość dzieła i tych mianowicie rozdziałów (6, 7 i 8), w których są opowiadane, dosyć jednostajne w szczegółach, wyprawy Żyżki w różne strony kraju i które bez niéj byłyby suche i mało zajmujące. Oprócz źródeł już wydanych, autor czerpie niektóre szczegóły z rękopiśmiennych materyałów; w wykładzie trzyma się ściśle

chronologicznego porządku, dzieląc rzecz całą na 16 rożdziałów a w 17-tym opowiadając „O Żyżce po śmierci.“

Ponieważ zbrakło-by mi tu miejsca na szczegółowy rozbiór każdego rożdziału, przeto uchylam się od tego (nawiasem zauważywszy, że autor mylnie na str. 103 i 139 nazywa Witołda bratankiem Władysława Jagiełły) i poprzestaję tylko na rozpatrzeniu kwestyi, która nas bliżéj obchodzi.

Nim jeszcze ukazało się to dzieło rozeszły się wieści (autor miał przedtém odczyt o Żyżce w Towarzystwie historyków czeskich w Pradze), że prof. Tomek odrzuca zupełnie podanie o bytności Żyżki w bitwie pod Grunwaldem. Ponieważ u nas każdy, kto czytał Szajnochę („Jadwiga i Jagiełło,“ Lwów 1861, tom IV str. 287—288) uważał to za pewne i ponieważ Matejko—nie bez racyi, jak przypuszczać należało—spopularyzował bardzo to podanie, umieszczając Żyżkę na obrazie, przedstawiającym wiekopomne zwycięztwo szlachetnego i gnębionego „barbarzyństwa“ nad zbójecką i najezdniczą „cywilizacyą,“ niecierpliwie oczekiwałem samego dzieła, ciekawym będąc w jaki sposób p. Tomek wspomiane podanie krytykować będzie. Autor tymczasem w gruntowną krytykę się nie bawi i poświęca temu faktowi na str. 11 krótki tylko przypisek następującéj dosłownéj treści: „Żeby Żyżka stracić miał oko w bitwie pod Tannenbergiem (1410, 15 lipca), w któréj zjednoczeni Polacy i Litwini odnieśli walne zwycięztwo nad niemieckimi rycerzami w Prusach, jest czystym wymysłem uczonych bardzo późnych. Jeżeli się nie mylę, twierdzi to pierwszy dopiéro Beckowsky (1700). Czesi i Morawianie przyjmowali wprawdzie w téj bitwie udział, według opowiadania Długosza, ale Żyżka, Długoszowi przed innymi dobrze znany, nie wzmiankuje się między nimi. Długosz jako dowódzcę czeskiego wspomina tylko Sokoła, to jest Jana Sokoła z Lamberku i Zbysławka, także Salawę, z Morawian zaś Jana Jenczykowic z arystokratycznego rodu, używającego herbu, zwanego Odrowąż.“ Cały ten wywód jest mylny i dowodzi, że szanowny autor, zajmując się historyą Żyżki i jego czasów, nie czytał, co o tém pisze Długosz, chociaż tego z wielu powodów pomijać nie należało. Wprawdzie Długosz przy opisie Grunwaldzkiéj bitwy nie wspomina wcale o Żyżce, ale o kilkanaście kart niżéj pod rokiem 1419 (wydanie Lipskie, tom I, str. 408), opisując wypadki czeskie, tak dosłownie powiada: „Johannes Zischka, qui superiori tempore apud Poloniae Regem in Prussia, bellis assiduis exercitatus fuit, uno carens oculo, quem pridem strenue pugnans amiserat, Hussitarum veneno infectus et rapidarum avidus etc.“ Tak więc świadczy o tém nie żaden późniejszy historyk, ale sam Długosz; że zaś jego świadectwo odnosić się może tylko do woj-

ny Pruskiéj w 1410 r. tego nie trzeba dowodzić, gdyż to wypada i z porównania innych danych z życia Żyżki. Sądziłbym nawet, że właśnie za zasługę i męztwo w téj bitwie Żyżka został dworzaninem królewskim, któréj to łaski inaczéj sobie umotywować nie można, skoro przyjęcie go do dworu królewskiego przypada na ten czas, kiedy z Polski mógł do Czech powrócić.

Teodor Wierzbowski.

Mein Polen. Reise-Erinnerungen aus dem Jahre 1879 von Maria Teresia Gräfin (hrabianka) Ledochowska, Graz 1881, 8-o, str. 158.

Wspomnienia z podróży po Polsce, pisane przez Polkę w języku niemieckim są, że tak powiem, w zasadzie rzeczą ciekawą. Z zajęciem też czytelnik weźmie książkę do ręki i z większém jeszcze czytać ją zacznie, gdy z pierwszéj strony dowie się, że są to wspomnienia autorki, wychowanéj w Austryi i poraz pierwszy odbywającéj wycieczkę do rodzinnego kraju. Obiecuje więc sobie znaleść tu sprawozdanie o tém, jak się obecny stan kraju, życie społeczne i t. d. i t. d. przedstawiają autorce, obserwującéj nieprzyzwyczajoném okiem, jakie na nią sprawiają wrażenie. Tymczasem spostrzega, że próżne są jego oczekiwania, gdyż książeczka ta ma wartość jedynie dobrego i gładkiego geograficzno-stylistycznego ćwiczenia.

Autorka powiada na str. 4, że „rozważanie piękności natury jest najczystszą i najwspanialszą radością“ i stosownie do tego, najwięcéj miejsca, bodaj czy nie $^3/_4$ całości, opisom przyrody poświęca: drobiazgowo opisuje terren, po którym biegną szyny kolei żelaznéj od Wiednia aż do Wilna i drogę do Poszyrwincia wsi o kilkanaście mil za Wilnem, którą to przestrzeń autorka jednym tchem przebyła; opisuje następnie szeroko swą posiadłość, miejsca, po których się przechadzała, pojedyńcze kamienie, drzewa, górki, laski, rzekę (w duchu Wincentego Pola, który na Litwie nic więcéj nie znalazł godnego poezyi, jak tylko ryby, grzyby i wędzonki), nie pomija pouczyć nas, gdzie tam stoją budynki folwarczne, stajnie, kuchnia i spichrz i inne przytacza szczegóły, interesujące może dla osób familii, ale nic nie obchodzące szerszego ogółu, czytające się bez zajęcia, tém bardziéj, że wszystko opowiedziane jest wprawdzie gładko ale bardzo prozaicznym stylem i językiem. Inne spostrzeżenia autorki są dosyć powierzchowne i niezbyt zajmujące lub znane (np. opis dożynek, obrzędów pogrzebowych) a niektóre własne zdania autorki nawet nieco naiwne gdy powiada: „*ich glaube*, dass sich noch Mauerüberrste von ehemaligen Wällen dort (w Częstochowie) befinden

müssen" — resztki murów z wałów, czyli tak samo, jakby ktoś powiedział: kawałek końskiéj skóry z barana—albo: „*ich glaube* es (obraz Matki Boskiéj Ostrobramskiéj) ist mit Oelfarben und auf Holtz gemalt, albo téż gdy wypowiada zdanie, że pieśni śpiewane przez lud przy dożynkach musiały oczywiście powstać przed zniesieniem poddaństwa i pańszczyzny! Toż samo co o spostrzeżeniach, powiedzićć można i o wrażeniach autorki: są średnio przeciętnéj miary; gdy zaś wspomnienia, wywołane widzianemi przedmiotami (str. 20, 27) silniéj wzruszają istotę autorki, nie umie doznawanemi wrażeniami owładnąć, uporządkować je, by piórem następnie opisać.

W powrotnéj podróży z Poszyrwincia do Wiednia, autorka zatrzymuje się dzień w Wilnie i dwa dni w Warszawie i w krótkości opisuje nam, co w tych miastach widziała. Opis niektórych miejscowości jak np. Łazienek, Saskiego ogrodu jest samodzielny i dosyć malowniczy, co zaś się reszty tyczy (przedewszystkiém kościołów) robi na czytelniku wrażenie, jakby był wyjęty z jakiegoś przewodnika podróży—takim pisany jest stylem suchym i konwencyonalnym.

Mimo że autorka, jak przypuszczać można, urodziła się za granicą, tam była wychowaną i tam stale przebywa, przedstawia się czytelnikowi jako gorąca patryotka—polka. Bezstronność jednak każe mi przyznać, że jéj patryotyzm osobliwszego nieco jest rodzaju—a najprzód, pojmuje go nie inaczéj jak tylko, jeżeli jest w zgodzie z dekretami Trydenckiego soboru i innych. Wylewy patryotycznych uczuć, jakie kilkakrotnie czytamy są piękne, ale ckliwe robią na czytelniku wrażenie, gdy z innych miejsc książki dowiaduje się, że autorkę dziwią zwyczaje lub ceremonie, obserwowane w Polsce, że jéj przeszkadzają w nabożeństwie śpiewy kościelne, wykonywane według innéj melodyi niż w Austryi, że austryackim łokciem mierzy to, co widzi w Polsce, że geografia i historya polska są jéj tylko z imienia chyba znane. Geografia polska nie zna miast: Czenstochow i Wilna i nie wie, żeby w Wilnie był obecnie jaki uniwersytet. Historyczne wspomnienia na str. 28—33 są tak oklepane, że wiedzą o nich u nas nieledwie dzieci, które mówić zaczynają, autorka tymczasem dowiedziała się o nich, przyjechawszy dopjéro na miejsce i opowiadać się zdaje jako nowość. W którym podręczniku lub dziele polskim z zakresu historyi wyczytała autorka, że Kościuszko, padając w bitwie pod Maciejowicami, miał wymówić słowa... które mu tylko potwarcy kładą w usta i które ona powtarza? Jest to niegodne kłamstwo!—zaprzeczył temu sam Kościuszko własnym listem, który można czytać choćby przy końcu życiorysu jego, wydanego w r. 1876 w Poznaniu przez Teodora Żychlińskiego.

Pewną okrasą tych wspomnień z podróży jest tłómaczenie czterech ludowych pieśni, któreby nie zawadzało przytoczyć i w oryginalnym języku, dając zarazem możność ocenienia o ile przekład ich jest wierny; można-by zaprotestować tylko przeciw zdaniu autorki, że są one łabędzim śpiewem ludu, w którego ustach dziś żyją; gdyż, zdaje się, że lud, co je powtarza, nie jest skazany na los amerykańskich indyan, ale ma jeszcze przed sobą przyszłość, w której gdy te jego pieśni zamilkną — powstaną zapewne czyny, według parafrazy poety.

Teodor Wierzbowski.

Etyka Mikołaja Reja z Nagłowic. — Księgi wtóre żywota poczciwego człowieka.

Tak zatytułowaną pracę zamieściły w 1880 roku „Kłosy“ w Nr. Nr. 793 do 804. Jest-to studyum p. Romana Plenkiewicza, obiecujące, jak widzimy z napisu, odsłonić nam poglądy moralne jednego z najdzielniejszych pisarzów naszych, którego możemy poczytywać za przedstawiciela szlachty z połowy w. XVI. Tu mimowoli nasuwa się pytanie, czy autor przysporzył nam cokolwiek materyału świeżego, nieznanego? czy nam przedstawił całość zasad Reja? czy wykazał, o ile tenże wyróżniał się od innych współczesnych?

Kto chce pisać i opracowywać specyalną działalność jakiegoś autora, np. etyczną, nie powinien jak p. P. wnioskować o tak rozległym przedmiocie z „Ksiąg wtórych żywota poczciwego człowieka,“ bo to jest nie tylko lekceważeniem spuścizny literackiéj po Reju, ale zarazem i do błędów prowadzi.

Z powodu niezużytkowania całego materyału, wnioski autora o poglądach Reja są niepełne, niedostateczne, a częstokroć fałszywe, bo czyż można z „ksiąg wtórych“ a zatém z jednéj trzeciéj części jednego dzieła wnioskować o całéj etyce Mikołaja Reja, nie uwzględniając ani „Krótkiéj rozprawy“ ani „Postylli“ ani „Apokalypsis“ ani „Wizerunku?“ Niewłaściwość takiego postępowania wskażę na kilku przykładach:

„Dosyć — powiada p. P. — porównać rozdziały o wychowaniu, życiu dworskiém, pochlebcach, *a przedewszystkiém o zbytkach w szatach, pokarmach i napojach*, o pysze i jéj rozmaitych odcieniach, by się przekonać, jak dalece Rej korzystał z Modrzewskiego.“

Tymczasem księgi *de Republica emendanda* wyszły dopiéro w roku 1551; a Rej już w „Krótkiéj rozprawie,“ (1543 rok) wyśmie-

wał to wszystko, co późniéj na poważną naganę Modrzewskiego zasłużyło. Czytamy tu:

Ukaż ten kołnierzyk, siostro!
Bo nań trzeba patrzyć ostro,
Bo w nim wzorek bardzo drobny—
Ale wżdy przecie nadobny.
. . . .
Jednak chodzę by łektuszka
Ni perełki ni łańcuszka!
A jako dzisiaj upstrzony—
I uboższych mężów żony!...
i t. d.

Takiż drugi ustęp znajdujemy w „Postylli,“ tylko zupełnie inaczéj wypowiedziany:

„Iż ja widzę córy syońskie, co to już możemy rozumieć córy chrześcijańskie, a nie chodzą z wyciągnionemi, a z podniosłemi głowami krążąc, a rozlicznie stawiając nogi swoje, mrugając na stronę, obracając oczy, a w pysze podnosząc głowy swoje. A dlatego powiada Pan, że Ja każę odrzéć i obłysić te marne głowy ich, te perły, te proste baranki“ etc.

Trzeci ustęp znany z „Żywota poczciwego człowieka!“ Otóż jest myśl, myśl jedna i taż sama wypowiedziana trzykrotnie. Autor nie uwzględniając „Krótkiéj rozprawy,“ pomysły nietylko Reja przyznał Modrzewskiemu, ale jeszcze nie rozróżnił i nie wykazał, jak się one w Reju rozwijały kolejno. Młody Rej satyrycznym uśmiechem chciał wywrzéć z początku wrażenie! ale widząc, że satyra nie skutkuje, wystąpił jako moralista.

„Nie odrzeczy będzie—mówi p. Plenkiewicz—oznaczyć czas, w którym (Rej) zerwał z panującym kościołem. Ogół pisarzów zajmujących się Rejem a przedewszystkiém W. A. Maciejowski i J. I. Kraszewski chwilę tę dosyć wcześnie, bo na rok 1533 naznacza, gdy ukazało się w druku jego tłómaczenie psalmu 113. Tymczasem zdaje się, iż przejście jego do kalwinizmu nie mogło przed rokiem 1545 nastąpić. Nasze zaś domniemanie opieramy na następnych wywodach. W roku wyżéj wymienionym, Rej wydał utwór dyalogowy pod tytułem „Żywot Józefa“ podzielony na spraw XII. W nim używa on wyrażenia „Matko Boża“ i o mszy świętéj wzmiankuje. Otóż ten podwójny anachronizm, uważamy za nader charakterystyczną wskazówkę. Gdyby Rej bowiem wtedy swe przekonania religijne odmienił, nie byłby pewnie, owiany duchem prozelityzmu, kładł w usta Józefa wezwania orędownictwa Boga rodzicielki, gdyż się kalwinizm stanowczo temu sprzeciwiał.“

Gdyby był p. Plenkiewicz znał „Postyllę,“ gdyby był znał „Krótką rozprawę“ nie przyszedłby zapewnie do tego wniosku i nie popełniłby błędu!

W „Postylli“ w III-ciéj części „w któréj się zawierają postępki i żywoty świętych niektórych i rozmowy onych, które Pan nasz ku nauce naszéj z nami mawiać i sprawować raczył“ zamieścił Rej 17 ewangelij na wszystkie uroczystości „Matki Boskiéj“ i innych świętych, których tytuły tu przytaczam:

1) „O wcieleniu panny Maryi;“ 2) „Na dzień Jędrzeja świętego i Jana świętego;“ 3) „Na dzień świętego Jana Apostoła;“ 4) „Na dzień nawrócenia świętego Pawła;“ 5) „Na dzień Macieja świętego;“ 6) „Na dzień Filipa Jakóba i Jana świętego;“ 7) „Na dzień narodzenia Świętego Jana;“ 8) „Na dzień Piotra i Pawła;“ 9) „Na dzień urodzenia Najświętszéj Maryi Magdaleny przeciwko niedbałości grzechów“ i t. d. Widzimy więc, że w „Postylli“ wyszłéj w roku 1556 a zatem w 11 lat po „Żywocie Józefa“ Rej nie popełnia anachronizmów tylko, ale pisze długie ewangelie, w których nieraz, ale kilkadziesiąt razy powtarza: „Matko Boża,“ „Najświętsza Panno“ i t. p.

Cóż więc z tego wnosić możemy? Przecież nie to, że Mikołaj Rej nie był do owego czasu dyssydentem...

Wszakże potrzeba było tylko wziąć do ręki „Krótką rozprawę“ a z niéj można było nabrać przekonania, że już przed rokiem 1543 Rej do dyssydentów musiał się liczyć.

W jednym z ustępów téj satyry, Rej występuje przeciwko opiece świętych patronów, zastosowanéj, przez ówczesne duchowieństwo do czuwania nad domowemi zwierzętami.

Alboć ci wzmą (wilcy), alboć co daj,
Tak kazał święty Mikołaj,
Bo jeśli mu barana dasz—
Pewny pokój od wilka masz.
Dobry też Lenard dla koni,
Dla wieprzów święty Antoni,
Więc świętego Marka chwali,
Więc Piotra, co kopy pali,
Więc Michał, co leczy dusze.

Na stronicy 302-giéj p. Plenkiewicz cytuje „Zwierzyniec“ i „Figliki“ coby mogło stanowić dowód, że autor jeżeli nie z całego, to przynajmniéj korzystał ze znacznéj części materyału.

Nie pojmuję tylko, dlaczego przypisuje p. Plenkiewicz Rejowi, iż ten dalekim jest od potępienia statutu z roku 1496, który kmieci przykuł do gleby i w ręku pana złożył wymiar sprawiedliwości nie

określonéj inném prawem, nad poczucie sumienia. A przecież w „Zwierzyńcu znaleść można wierszyk na liście 132 zatytułowany:

Zając na ubogiego kmiotka.

Zajączek, jako kmiotek, iż ma kąsek mięsa
Więc go goni, koło płotka, choć nie krzyw ni kęsa.
Także ubogi kmiotek, drapie go, co żywo;
Daj panu—czynsz, pani—gęś, staroście—na piwo.
A snać, by ich nie skubli, więcéj-by ich mieli
Bo i ci nam przez zimę ledwie przesiedzieli
I zajączków gdyby tak nie często gonili,
Każdyby ich więcéj miał, by się rozrodzili.

Co się zaś tyczy „Figlików" i „Żartów" to tam „chłopów z głupia frantów" nie można brać za rzeczywistych wieśniaków, tylko za przedstawicieli jakiegokolwiek-bądź człowieka. Nie zestawiając „wtórych ksiąg" *Żywota* z innemi pismami Reja, autor natomiast zadał sobie pracę porównywania ich z poglądami Montaigne'a.

Mnie się zdaje, że całe to porównanie zupełnie nie było na miejscu. Montaigne urodzony 1533 roku wydal swoje „Essais" w 1580 r., a więc w 11 lat po śmierci Reja. Nie było więc można wykazać w żaden sposób wpływu Montaigne'a na Reja, a tém pewniéj Reja na Montaigne'a.

Może nam autor zarzucić, że Mickiewicz pierwszy zrobił to porównanie. Prawda. Ale Mickiewicz wykładał w Paryżu i aby dobitniéj dać poznać naszego poetę i pisarza, wskazał Francuzom: patrzcie oto jest on takim jak wasz Montaigne. My zaś nie znamy lepiéj Montaigne'a od Reja; u nas porównanie to nie może przynieść pożytku. Montaigne był człowiekiem starych zapatrywań, bronił kościoła katolickiego. Rej—był postępowcem, z kościołem katolickim zerwał i tylko niektóre ekonomiczne względy zmuszały go do pewnego konserwatyzmu.

Co się tyczy twórczego i poetycznego talentu Reja i na to w etycznéj swojéj pracy położył nacisk p. Plenkiewicz, cytując często ustępy. Wiele tych ustępów, ktore przypisuje autor etyki Rejowi, nie są tegoż z własnością jak np. (Nr. 797, str. 237, szp. II). „Wszakże jakby nie dosyć było Rejowi—mówi p. Plenkiewicz—tak widocznego i z taką prawdą nakreślonego obrazka, przedstawia on jeszcze rodzinę w porównaniach nacechowanych iście stylem biblijnym: Bo żona—słowa Reja—w tak dobrym małżeństwie, będzie jako winna macica, podawając p. Bogu wdzięczne gronka ku czci, a ku pociesze onemu towarzyszowi swemu. Dziatki będą, jako oliwne gałązki około stołu jego. A sam w swéj dbałości stanie jako drzewo cedro-

we, nad pięknym zdrojem pięknie stojące, które już żadnym wichrem poruszane być nie może.“

Otóż porównania tego nie stworzył Rej, jak utrzymuje p. Plenkiewicz, ale jest-to wyjątek z psalmów Dawida.

Rownież na następnéj stronie, opisanie ogrodu wzięte jest z Palingeniusa (księgi trzeciéj).

O innych wadach studyum p. P. jak np. o zupełnie zbytecznym a szeroko lecz sucho rozprowadzonym przeglądzie reformacyi w Polsce, bez umiejętnego grupowania faktów, przemilczam; zwrócę tylko uwagę na dwie jeszcze okoliczności.

W ustępie o Hozyuszu (Nr. 793, strona 175, szpalta I) autor mówi: „Mikołaj Dzierzgowski, prymas-arcybiskup gnieźnieński, przybyły świeżo z Trydentu, zwołuje w roku 1551 synod w Piotrkowie, na który oprócz innych biskupów, zjechał Stanisław Hozyusz, kardynał biskup warmiński, przybyły świeżo z Trydentu.“ Hozyusz był jednym z młodszych biskupów, gdyż dopiero w roku 1538 otrzymał kanonią krakowską i sandomierską, dopiero w roku 1549 został biskupem chełmskim, a w 1551 roku warmińskim. Sława jednakże młodego biskupa, po wykonaniu zlecenia włożonego nań na owym piotrkowskim synodzie, które tak znakomicie wypełnił w swojéj *Confesio fidei*, wzrastała szybko. W roku 1558 obdarzony od papieża Pawła tytułem „kolumny wiary“ a w roku 1591-szym dnia 26-go lutego został kardynałem. W rok późniéj otrzymał nobilitacyą i herb.

Zwraca też uwagę ustęp (Nr. 794, str. 186, szp. II), w którym autor, tak jak o Postylli i Apokalypsisie, mówi o katechizmie rejowskim.

Jak można było tak postąpić? Postylla i Apokalypsis to dzieła istniejące—a „katechizm“ znamy tylko z tytułu. Jakże nie widząc go i nie znając zupełnie możemy go równać z dziełami religijnemi. Czy same tytuły nie mogą nas mylić? Cóżbyśmy wnioskowali z przekazanych dwóch słów, zawierających w sobie niedokończony tytuł np. „*Gościniec pewny*“ nie znając jego końca? ale za to znając imię ich autora, którym był biskup Wereszczyński? Nie sądzilibyśmy zapewne, że w téj księdze znajdziemy: „niepomiernych moczygębów i wydmikuflów.“ Bądź-co-bądź o „Katechizmie Rejowskim,“ nie mamy prawa mówić z tą pewnością, z jaką mówi o nim pan Plenkiewicz.

Kończąc te uwagi musimy zaznaczyć, że materyał był do pracy, przedsięwziętéj przez autora, świetny i obszerny! Choćby samo przedstawienie „wolności,“ która tak różnie była pojmowana w XVI wieku, jakie-by ciekawe studyum dać mogło. Na tém tle możnaby

jedynie wykazać poglądy Reja, przedstawiciela potężnéj partyi szlacheckiéj.

W. Czajewski.

= Tomu drugiego **Encyklopedyi Wychowawczéj** wyszły już dotąd trzy zeszyty obejmujące artykuły na literę b, od *Basedow* do *Borowski*. Nie powtarzając tu ogólnych spostrzeżeń, jakieśmy dawniéj o tém szacowném a wielce pożytecznóm wydawnictwie zrobili, zaznaczymy tylko uwag kilka, które nam przejrzenie rozprawek zawartych w trzech ostatnich zeszytach nastręczyło. Najpożyteczniejszą, zwłaszcza dla zajmujących się historyą pedagogiki w Polsce, pracą tu zamieszczoną jest niewątpliwie starannie zebrana i ułożona przez d-ra Władysława Wisłockiego „Bibliografia pedagogiczna polska,“ przedstawiająca w pięciu arkuszach petytowego druku w dwie kolumny spis dzieł i broszur, jakie od najdawniejszych aż do najnowszych czasów wyszły z pod pióra Polaków, w zakresie nie całéj wprawdzie pedagogiki, ale, najważniejszych jéj części. Znajdziemy tu więc rzeczy traktujące o wychowaniu i nauczaniu zarówno wogóle, jak w szczególności oraz materyały do historyi szkół w Polsce; brak tylko wymieniania podręczników szkolnych, ce może odłożono albo do osobnego artykułu albo téż do tych, które o oddzielnych naukach traktować będą, jak to widzieliśmy w artykule *Arytmetyka*, gdzie z bibliografią połączono i ocenę podręczników, z tego działu matematyki. Nie potrzeba być bezwzględnym czcicielem bibliografii, ażeby uznać jéj ważność, u nas zwłaszcza, gdzie znajomość źródeł w pracach historyczno-literackich jest tak bardzo ograniczona. Potrzeba tedy sprawiedliwém uczcić uznaniem zmudną pracę D-ra Wisłockiego, która niejednemu spółpracownikowi Encyklopedyi Wychowawczéj zrobi istotną przysługę. Możeby historyk pedagogiki w Polsce wolał, ażeby dzieła uszeregowane były nie alfabetycznie ale chronologicznie; możeby pracujący nad historyą Szkół życzył sobie, ażeby różne programata, popisy, wykłady nauk, akty uroczyste, i t. p. zebrane były nie pod temi nazwami, ale ułożone według nazwy szkół, do których się odnosiły; nie należy jednak zapominać, że wszystkim względom na-raz zadośćuczynić niepodobna, a układać spisy podwójne lub potrójne, jakkolwiek rzeczą jest dla bibliografa łatwą, ale złączoną z kwestyą ilości arkuszy druku, przeznaczonych na artykuł. Z rozprawek teoretycznych, których dotąd było bardzo mało, wymienić należy wybornie pod względem stylu, a gruntownie pod względem treści, napisane artykuły p. Juliana Ochorowicza p. n. „Bezinteresowność“ i „Bojaźliwość,“ oraz słabszą stylowo, ale ze

znajomością przedmiotu skreśloną rzecz o „Bonach“ przez Henryka Wernica. Zanotować téż należy pamiątkę po Aleksandrze Tyszyńskim—„Bojaźń bożą.“ Najwięcéj, jak zwykle dotychczas, znajdujemy prac z historyi pedagogiki powszechnéj a zwłaszcza polskiéj. Mamy tu zarys wychowania w Belgii; mamy obszernie przedstawioną działalność Bella i Lankastra (przez Henryka Wernica), Benekego (przez J. K. P.) mniéj obszernie ale dobrze—poglądy Basedowa, Berquin'a, Bernardina Saint-Pierre (przez L.), Bazylego W-go, Wincentego z Beauvais (przez F. J.). Z polskich pedagogów zwraca mianowicie uwagę Franciszek Bohomolec, którego zapatrywania i praktykę szkolną opracował nader starannie i szczegółowo p. Floryan Łagowski, jest-to pierwsza praca w naszéj literaturze wnikająca w głąb przekonań tak wydatnéj osobistości pedagogicznéj, jaką był niewątpliwie Bohomolec w połowie XVIII stulecia; autor ustrzegł się szczęśliwie zwykłych u nas szkopułów literackich t. j. przeceniania lub niedoceniania téj doniosłości, jaką miała działalność wziętych pod uwagę osób. W zestawieniu z tym artykułem jakże rażąco się przedstawia biograficzno-bibliograficzna notatka o Feliksie Bentkowskim. Na półtoréj stronicy opowiedziano tu życiorys, na pół stronicy skreślono, naturalnie ogólnikowo, działalność profesorską w uniwersytecie, przyczém poprzednia 14 letnia praca nauczycielska w Liceum warszawskiém została pominiętą, gdyż wzmiankowano o niéj w życiorysie jedynie; wreszcie na dwu stronicach wyliczono drukowane przez Bentkowskiego dzieła oryginalne, tłómaczenia i katalogi. We wszystkich zdaniach o pracach naukowych i działalności pedagogicznéj panują ogólniki powierzchowne, niczego nie uczące. A przecież Bentkowski jako pedagog zasługiwał na ocenę szczegółowszą i gruntowniejszą; do poznania jego działalności początkowéj dostarczają obfitego materyału programata Liceum Warszawskiego, w których można dokładnych zasięgnąć wiadomości zarówno o szczegółach treści jak i o metodzie, jakéj w wykładach swoich trzymał się Bentkowski. Powtóre jego historya literatury, będąca wiernym obrazem wykładów licealnych, zasługiwała na ocenę pod względem dydaktycznym, a jako pierwszy zbiór utworów piśmiennictwa na szerszą skalę, który wpływ wywarł wielki, domagała się sumiennéj charakterystyki. Redakcya Encyklopedyi Wychowawczéj, pomieszczając pierwszy artykuł biograficznéj treści (Agrykola) pisała: „Wykształcony pedagog powinien nie tylko poznać dokładnie wszystkie zjawiska pierwiastkowego rozwoju sztuki pedagogicznéj, ale powinien zrozumieć ich wzajemny związek, powinien ocenić sprawiedliwie ich wzajemny stosunek, tudzież ich wpływ na ogólny rozwój kultury i oświaty narodu; bo tylko w ten sposób zdoła dokładnie zrozumieć zadanie

pedagogiki w chwili teraźniejszéj.“ Wobec tego, usprawiedliwioném jest pytanie, czy artykulik o Bentkowskim da jaką karm umysłową temu „wykształconemu pedagogowi...“

= **Wydawnictwo Elizy Orzeszkowej w Wilnie** nie przestaje przypominać się ogółowi coraz to nowemi drukami. Ostatnie siedm książek i książeczek (od ósméj do szesnastéj) mają napisy następne: 1) *Przesądy w wychowaniu*, studyum pedagogiczne przez *Waleryą Marrené* (str. 178); 2) *Typy i obrazki krakowskie* przez *Michała Bałuckiego* (str. 262), jest-to zbiór 16 szkiców po większéj części nader wdzięcznie skreślonych; 3) *Zarys literatury polskiéj z ostatnich lat szesnastu* (tj. od r. 1865 do 1880) przez *Piotra Chmielowskiego* (str. 217); 4) *Poezya w wychowaniu* przez tegoż (str. 42); 5) *Wady naszych sadów* przez *Edmunda Jankowskiego* (str. 36), który nie tylko wskazuje tu braki sadownictwa naszego, ale podaje także rady, jak braki te usunąć, a w końcu proponuje założenie „towarzystwa ogrodniczego,“ któreby rozsyłało po kraju wędrownych nauczycieli ogrodnictwa, urządzało „Kursa sadowników“ zakładało „muzea żywych roślin,“ wydawało i rozpowszechniało czasopisma i dzieła ogrodnicze i t.p. — 6) *Szkice nie z natury* (str. 22) przez *Włodzimierza Spasowicza*, obejmujące znane czytelnikom „Ateneum“ rozprawy: o Syrokomli, Matuszewiczu, Polu i Hamlecie; 7) *Choroby duszy i odpowiedzialność moralna* (str. 38) przez *Antoniego Skórkowskiego*, przedstawiającego popularnie zarówno stan dzisiejszych poglądów na kwestye zaznaczone w napisie jako téż i dziejowy ich rozwój.

= **Wykaz pseudonymów** używanych przez autorów polskich ułożył *Edward Minkowiecki*, (Warszawa, 1881, str. XIX). Edward Minkowiecki należy do tych skromnych i cichych pracowników, których nazwisko rzadko wspominają dzienniki, ale którzy, obrawszy sobie pewien przedmiot badania, sumiennie i wytrwale nim się zajmują. Do bibliografii XIX wieku p. Estreichera dostarczył on niejednego cennego szczegółu; w „Przeglądzie bibliograficzno-archeologicznym“ czytaliśmy jego spis *kryptonimów* polskich, wiemy nadto, że ułożył wykaz wszystkich *pamiętników* zarówno wydanych przez Polaków jak odnoszących się do dziejów polskich, przygotował nadto do druku *bibliografią roku 1830 i 1831*, rzecz obszerniejszych rozmiarów, która mogłaby niemały pożytek przynieść zarówno historykowi politycznemu jak i historykowi literackiemu téj chwili dziejowéj. Obecnie ogłoszony „Wykaz pseudonymów“, skrzętnie zebrany, zawiera w alfabetycznym spisie najprzód nazwiska autorów z ich pseudonimami obok, a potém pseudonimy z właściwemi nazwiskami autorów obok. Nie jeden znajdzie tu ciekawą informacyą, a przyszły historyk literatury nie będzie potrzebował narzekać, że właściwego nazwiska autora

odszukać mu się nie udało, bo praca p. Minkowieckiego ułatwi mu oryentowanie się nie tylko wśród pseudonimów napotykanych na tytułach książek ale i wśród tych, które się w czasopismach z lat ostatnich zagęściły. Pożądaną byłoby rzeczą rychłe wydanie w osobnéj odbitce spisu kryptonimów, stanowiący uzupełnienie wykazu pseudonimów.

— Znakomite dzieło Langego przedstawiające dzieje materyalizmu zbliża się w przekładzie polskim ku końcowi. Miło nam zaznaczyć, że wyrażone przez nas przy ukazaniu się pierwszego zeszytu życzenie co do zmiany tytułu „Historya filozofii“ zostało ziszczone. Przy końcu pierwszego tomu dodano nowe karty tytułowe. Dziś więc książka Langego w polskim przekładzie nazywa się zgodnie z oryginałem: „**Historya filozofii materyalistycznéj** i jéj znaczenie w teraźniejszości.“ Przekładu tomu drugiego dokonał dobrze znany tłómacz wielu poetyckich utworów z literatury angielskiéj i niemieckiéj pan *Feliks Jezierski*. O ile w kilku miejscach sprawdzaliśmy, tłómaczenie jest wierne, a mimo to czyta się bez przymusu i bez tego nieprzyjemnego uczucia, jakiego się doświadcza, kiedy widzimy, że język tłómacza obraca się jakby w okowach. Możnaby się tylko o niektóre wyrażenia posprzeczać. Mówić o „zgniłym“ pokoju, jakkolwiek jest wiernym przekładem wyrażenia oryginału (der faule Frieden), nie wydaje nam się dobrą przenośnią w języku polskim; *der Fortbestand* tłómaczy p. J. przez „ciągłość“, co nie nasuwa myśli wyrażonéj przez autora, że trwanie religii, o któréj w tym ustępie jest mowa, i w dalszéj przyszłości jest niewątpliwém;—„poddawać się *pod* forum“ (str. 133) jakiekolwiek dla wygrania sprawy nie jest wyrażeniem gramatycznie poprawném. Przykrą omyłkę druku znajdujemy w nazwie rozprawy Milla: o **a**teizmie, gdyż ma ona napis: o *teizmie*.

Wydawca, **W. Spasowicz**.—Redaktor, **Piotr Chmielowski**.